

Gustav Meyrink
Noc Walpurgi



GUSTAW MEYRINK

Noc Walpurgji

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

W PRZEKŁADZIE

Bolesława Jacka Frühlinga



1 9 2 6

IV. I. IV.

WARSZAWSKI INSTYTUT WYDAWNICZY
w WARSZAWIE
38, Łucka, 38

Aktor Zrcadlo

Rozległo się ujadanie psa. Raz, drugi. Po nim bezdźwięczna cisza, jakby zwierzę nasłuchiwało w noc, co się stanie.

— Zdaje mi się, że Brok czekał — rzekł stary baron Konstanty Elsenwanger — zapewne nadchodzi pan radca dworu.

— No, to nie powód do szczekania — rzekła hrabina Zahradka, staruszka o śnieżnobiałych lokach, ostrym nosie orlim i brwiach krzaczastych, wznoszących się nad wielkimi, czarnymi, błędnie patrzącymi oczyma. Mówiła głosem surowym, jakby gniewając się na tego rodzaju nieprzyzwoitość; zaczęła tasować talię kart do wista jeszcze prędzej, aniżeli to dotychczas już od pół godziny czyniła.

— Cóż on właściwie robi przez cały dzień? — zapytał medyk nadworny, Tadeusz Flugbeil,

Siedział skulony w głębokim fotelu, jak mała podciągnąwszy aż pod brodę swoje długie, cienkie nogi. Ze swą mądrą, wygoloną starannie, pooraną zmarszczkami, twarzą, wyrastającą ze staromodnego żabotu koronkowego, wyglądał wypisz wymaluj jak protoplasta hrabiny.

Studenci na Hradczynie nazywali Flugbeila Pingwinem i zawsze śmiali się serdecznie, gdy punktualnie o godzinie dwunastej wsiadał do zamkniętej dorożki, stojącej na podwórzu zamkowym. Zanim ulokował w niej swoją postać, prawie na dwa metry wysoką, trzeba było zawsze kilkakrotnie podnosić i spuszczać budę dorożki. Równie skomplikowana była procedura wysiadania, gdy dorożka zatrzymywała się przed odległą o kilkaset kroków gospodą

„Schnell”, gdzie pan medyk nadworny spożywał prędkimi, ptasimi ruchami drugie śniadanie.

— O kim mówisz — zapytał baron Elsenwanger — o Broku czy o panu radcy dworu?

— Oczywiście o radcy dworu. Cóż on robi po całych dniach?

— Bawi się z dziećmi w parku Chotek.

Znowu pies zaszczekał w parku. Tym razem głucho, prawie z jękiem.

W chwilę potem otworzyły się wykładane, ciemne drzwi mahoniowe i stanął w nich radca nadworny Kaspar Edler von Schirnding; jak zwykle, gdy przychodził do pałacu na wista, ubrany był w ciasne czarne spodnie oraz jasnożółty tużurek stylu biedermeierowskiego, szyty z niezwykle miękkiego sukna; tużurek opinał zaokrąglone nieco kształty.

Ruchem łasicy, nie mówiąc słowa, pobiegł ku swemu krzesłu, postawił pod nim na dywanie cylinder i złożył na dłoni hrabiny ceremonialny pocałunek.

— Ale dlaczego wciąż jeszcze łaje? — mruknął poważnie Pingwin.

— Teraz mowa o Broku — rzekła hrabina Zahradka, rzucając roztargniony wzrok na barona Elsenwanger.

— Taki pan spocony, radco, żeby się pan tylko nic przeziębił — rzekł baron z troską w głosie, po czym zakrakał nagle w kierunku pogrążonego w ciemnościach pokoju sąsiedniego, który zajaśniał jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

— Bożeno, Bożeno, Bo-że-no, proszę przynieść kolację.

Całe towarzystwo udało się do jadalni i zasiadło przy wielkim stole.

Tylko Pingwin krążył sztywno wzdłuż ścian, z podziwem przyglądał się gobelinowi przedstawiającemu walkę między Dawidem a Goliatem — jakby go widział po raz pierwszy — i rękami znawcy dotykał cudownych mebli w stylu Marii Teresy.

— Byłem na dole, na świecie — wyrzucił z siebie radca nadworny Schirnding, dotykając skroni olbrzymią chustką w

czerwono-żółte plamy — przy tej sposobności kazałem sobie ściąć włosy.

Po tych słowach przeciągnął palcami wzdłuż kołnierza, jakby go swędziała szyja.

Uwagę, odnoszącą się do nadmiernego porostu włosów, miał zwyczaj wypowiadać co kwartał w tym obłądnym przekonaniu, że nikt nie wie, iż nosi peruki, raz długowłose, raz krótko strzyżone. Zawsze też po tej uwadze rozlegał się szmer podziwu. Tym razem jednak stało się inaczej; słuchacze byli zbyt przejęci tym, co słyszeli.

— Co, na dole? Na świecie? W Pradze? Pan? — zawołał ze zdumieniem pan medyk nadworny, Flugbeil. — Pan?

Pozostali rzekli tylko:

— Na świecie, na dole, w Pradze?

— W takim razie — musiał pan — przejść — przez most — wyjąkała wreszcie hrabina. — A gdyby się zawalił?

— Gdyby się zawalił...! Serwus — wykrztusił baron Elsenwanger, blednąc.

— Tfu, tfu — podszedł cały drżący do pieca, przed którym leżało jeszcze z zimy polano, i wrzucił je do kominka. — Tfu, tfu, na psa urok.

Służąca Bożena, w wystrzępionej bluzeczce, z chustką na głowie i, wedle zwyczaju panującego w praskich domach patrycjuszowskich, bosą, wniosła imponujący półmisek z masywnego srebra.

— Aha, zupa z kiełbaskami — mruknęła hrabina, wypuszczając z ręki lorgnon.

Hrabina była przekonana, że kiełbaskami są wiszące nad zupą palce dziewczyny, które tkwiły w rękawiczkach glansowanych i zbyt szerokich.

— Jechałem... tramwajem elektrycznym — wydobył z siebie radca dworu, ciągle jeszcze pod wrażeniem przeżytej przygody.

Pozostali spojrzeli po sobie, widocznie wątpili w prawdziwość słów pana radcy. Tylko pan medyk zachował kamienny wyraz twarzy.

— Byłem ostatni raz tam na dole, w Pradze, przed trzydziestu laty — jęknął baron, obwiązując szyję serwetą; obydwaj węzły, wystające spoza uszu, nadawały mu wygląd dużego, lękliwego, białego zająca. — Było to w dniu, w którym brata mego pochowano w kościele.

— Nigdy w życiu nie byłem jeszcze w Pradze — rzekła hrabina Zahradka, wzdragając się cała. — Niedoczekanie ich. Przecież przodkom moim ścięli głowy na starym rynku.

— To było dawno, podczas wojny trzydziestoletniej — starał się Pingwin uspokoić hrabinę. — To już zamierzchłe czasy.

— Cóż z tego, odczuwam je tak, jak gdyby to było dzisiaj. W ogóle ci przekłęci Prusacy...

Hrabina patrzyła bezmyślnie w swój talerz zupy, zmartwiona, że nie ma w nim kielbasy; potem przyłożyła lorgnon do oczu, jakby chcąc zbadać, czy to aby nie panowie zabrali kielbaski.

Zatonęła na chwilę w głębokich rozmyślaniach i zaczęła mruzczyć przed siebie:

— Krew, krew... Jak bucha ta krew, kiedy się człowiekowi ścina głowę. — Że się też pan nie bał, panie radco. A co by było, gdyby pan tam na dole wpadł w ręce Prusaków? — zawołała, zwracając się do von Schirndinga.

— W ręce Prusaków? — Przecież to nasi sprzymierzeńcy.

— Tak? A więc wojna skończona. No tak, pewnie ten Windischgraetz pokazał im znowu.

— Nie — łaskawa pani, idziemy razem z Prusakami — meldował Pingwin — już od trzech lat frontem przeciw Rosji; jesteśmy sprzymierzeńcami i... (tu baron potwierdził: — sprzymierzeńcami)... i walczymy z nimi ramię w ramię. Więc — tu przerwał na widok ironicznego, niedowierzającego uśmiechu hrabiny.

Rozmowa urwała się. Przez pół godziny słychać było tylko dźwięk noży i widelców albo odgłos kroków Bożeny, która obchodziła stół z coraz to nowymi potrawami.

Baron Elsenwanger otarł usta: — Moi państwo. Przejdziemy do wista?

Głuche, długie ujadanie rozległo się z ogrodu śpiącego wśród nocy letniej i przecięło słowa barona...

— Jezus, Maria — zły znak. Śmierć w domu!

— Brok, zwierzę przeklęte, kusz! — rozległy się z ogrodu słowa służącego, gdy Pingwin odsunął ciężkie atlasowe portierey i otworzył drzwi szklane, prowadzące na werandę.

Do pokoju wpłynęła fala poświaty księżycowej; chłodne tchnienie przesyconego zapachem akacji powietrza poruszyło płomieniami świec, które paliły się w szklanych świecznikach.

Po wąskim jak dłoń gzymsie szerokiego muru parkowego, za którym wznosiło się ku gwiazdom różowawe światło od Moldau¹, drzemiącej po drugiej stronie Pragi, chodził powoli i sztywno jakiś człowiek; ręce miał wyciągnięte jak ślepiec; chwilami ukrywały go upiornie cienie — sylwety gałęzi drzew; zdawałoby się, iż wyrósł ze lśniącej poświaty księżyca; chwilami widać go było jasno, jakby płynął wśród ciemności.

Medyk nadworny Flugbeil nie wierzył własnym oczom. Przez chwilę zdawało mu się, że śni, ale nagle, wściekłe szczekanie psa wróciło mu równowagę. Usłyszał przeraźliwy krzyk; zobaczył, że postać na gzymsie chwieje się i, jak gdyby zwiana bezdźwięcznym powiewem wiatru, znika.

Trzask łamiących się gałęzi i krzaków nie pozwalał wątpić, że tajemnicza postać spadła do ogrodu.

— Morderca, włamywacz. — Trzeba zawołać wartę... — zaczął biadać von Schirnding, który usłyszawszy krzyk, skoczył wraz z hrabiną na równe nogi i pośpieszył ku drzwiom.

Konstanty Elsenwanger rzucił się z jękiem na kolana, ukrył twarz w poduszkach swego fotela i odmawiać zaczął Ojczy nasz, trzymając jeszcze w rękach pieczoną nogę kury.

¹ Moldau (niem.), Mołdawa – Wełtawa.

Na przeraźliwy alarm nadwornego medyka, który na balustradzie ganku jak olbrzymi ptak nocny wykonywał w kierunku ciemnej przestrzeni szereg rozmaitych ruchów, zbiegła się do parku służba mieszkająca w domku portiera i poczęła przeszukiwać ciemny gaj, świecąc pochodniami.

Pies znalazł zapewne natrętnego przybysza, teraz bowiem szczekał głośno i wytrwale w regularnych odstępach.

— No więc, cóż się stało, czy macie wreszcie tego pruskiego kozaka? — rzekła gniewnie przez otwarte okno hrabina, która od początku całej sceny nie okazywała ani śladu wzburzenia czy lęku.

— Matko Boska, złamał kark — rozległ się lamentujący krzyk Bożeny.

Potem służba przeniosła spod muru bezwładne ciało na tę część trawnika, którą jasno oświetlały światła pokoju.

— Nieście go na górę. Prędko! Zanim krwawić zacznie — rozkazała hrabina chłodno i spokojnie, nie zwracając wcale uwagi na jęki pana domu, który, z obawy, aby umarły nie ożył, rozpaczliwie protestował i żądał przerzucenia go przez mur, w przepaść.

— Wnieście go przynajmniej tu, do pokoju z obrazami — błagał Elsenwanger. Wypchnąwszy do pokoju przodków staruszkę i Pingwina, trzymającego w ręku kandelabr, zamknął drzwi za nimi.

Oprócz kilku rżniętych krzeseł z wysokimi, złożonymi poręczami oraz stołu w długiej komnacie nie było żadnych mebli; zატęchły zapach starzyzny i gruba warstwa kurzu na posadzce świadczyły, że pokoju nie wietrzy się nigdy i że już od dawna nikt nie przestąpił jego progu.

Na portretach naturalnej wielkości, wciśniętych w ściany, bez obramowania, namalowani byli mężczyźni w skórzanych koletach, we władnych rękach trzymający zwoje pergaminu; widać było również kobiety w stuartowskich kołnierzach i rękawach bufiastych, jeźdźca w białym płaszczu z krzyżem maltańskim, popielato-blond damę z *boutons d'amour* na policzkach i brodzie, ze zmysłowym, słodkim uśmiechem na zniszczonych rysach, o rę-

kach cudownych, o nosie prostym i wąskim, o delikatnych, wysokich brwiach nad zielono-niebieskimi oczami; zakonnice w habitach, pafia, kardynała o palcach ascetycznych i chudych, o szarych jak ołów powiekach i zgaszonym wzroku. Zdawałoby się, że przyszli wszyscy do pokoju z ciemnych korytarzy, zbudzeni ze stuletniego snu blaskiem świec i niepokojem w domu, że się pochylają tajemniczo, ostrożnie, aby nie zdradzić się szmerem szat, aby nie okazać, jak poruszają wargami, jak drżą. Im palce, jak twarze ich okrywa jakiś wyraz człowieczy, chociaż zmieniony w martwość, zastygły pod wpływem wzroku dwojga żyjących, który dotknął ich przelotnie.

— Nie będzie go pan mógł uratować, Flugbeil — rzekła hrabina, wyczekująco spoglądając ku drzwiom. — Tak samo, jak wtedy. — Pan wie. — Sztylet tkwi mu w sercu. — Powie pan znowu: — Tutaj, niestety, kończy się moc ludzka.

Nadworny medyk nie rozumiał z początku, o czym hrabina mówi. Po chwili jednak uprzytomnił sobie, o co chodzi. Znał przecież te objawy. Nie odróżniała przeszłości od terażniejszości — zdarzało się jej to nieraz.

Ożyło w nim nagle to samo wspomnienie, które i jej pamięć zmaćniało: przed wielu, wielu laty w zamku na Hradczynie wniesiono do pokoju syna jej, przebitego sztyletem. — Ten krzyk przedtem w ogrodzie, to szczekanie psa — zupełnie jak dziś. I jak teraz wisiały na ścianach portrety przodków, a na stole stał srebrny kandelabr.

Przez krótką chwilę medyk nadworny zapomniał zupełnie, gdzie jest. Wspomnienie trzymało go w swych szponach tak mocno, że gdy nieszczęśliwego rannego wniesiono i ułożono ostrożnie, on nie odczuł w tym rzeczywistego zdarzenia. Zaczął mimo woli, bezwiednie, jak niegdyś, szukać słów pociechy dla hrabiny, aż nagle uświadomił sobie, że ten, co tu leży, nie jest przecież jej synem, i że zamiast młodego zjawiska sprzed lat stoi przed nim staruszka o białych, kręconych lokach.

Uświadomił sobie prędzej, niż zdołał pomyśleć i zrozumieć, że „czas” jest w gruncie rzeczy komedią, którą przed mózgiem ludzkim odgrywa jakiś wszechpotężny, niewidzialny wróg.

Świadomość ta pozostawiła w nim jedno: błyskawicznie, wycuciem wewnętrznym zrozumiał to, czego przedtem nigdy nie był zdolny pojąć dokładnie: — dziwne stany duchowe hrabiny, która chwilami odczuwała jako terażniejszość momenty historyczne z czasu swoich przodków i łączyła je ze swym życiem codziennym.

Pod jakimś nieodpartym przymusem powiedział:

— Wody, opatrunków...

Pod tym samym również przymusem schylił się jak wtedy i zaczął szukać w kieszeni przyrządu do puszczenia krwi, który z niepotrzebnego przyzwyczajenia nosił zawsze przy sobie.

Wrócił do pełnej równowagi dopiero wtedy, gdy wprawne jego palce poczuły oddech zemdlonego, a wzrok padł na gołe, białe uda Bożeny, która z całą bezceremonialnością chłopek czeskich usiadła z podniesioną spódnicą nad nieprzytomnym. Obraz przeszłości, jak gdyby zasłonięty welonem, ustąpił w obliczu budzących grozę kontrastów, jakie tworzyły kwitnące, młode życie, śmiertelna sztywność nieprzytomnego, upiorne postacie portretów przodków i naznaczona stygmatem starości twarz hrabiny.

Kamerdyner postawił na ziemi kandelabr z płonącymi świecami; blask ich niesamowicie oświetlił znamieną twarz nieszczęśliwego; wargi, spopieliałe pod wpływem omdlenia, odbijały upiornie od policzków naszminkowanych rumianym barwnikiem. Sprawiał wrażenie raczej woskowej figury z jakiejś budy jarmarcznej aniżeli człowieka.

— Święty Waclawie, to przecież Zrcadlo! — zawołała służąca i spuściła spódnicę za kolana, jakby czując na sobie pożądliwy wzrok pazia na portrecie, który ją ujrzał w blasku świec.

— Któż to taki? — zapytała hrabina zdziwiona.

— Zrcadlo, czyli lustro — rzekł kamerdyner, tłumacząc z czeskiego — tak nazywamy go tutaj, na Hradczynie, ale nie wiemy, czy to jego prawdziwe nazwisko. Jest lokatorem u tej — u

tej... — zatrzymał się na chwilę — ... no, u tej czeskiej Elżbietki.

— U kogo?

Dziewczyna zaczęła chichotać, reszta służby z trudem tłumila śmiech.

Hrabina tupnęła nogą o podłogę i rzekła:

— U kogo? Muszę o tym wiedzieć.

— Czeska Elżbietka była kiedyś sławną... heterą — rzekł medyk nadworny, zbliżając się do nieszczęśliwego, który zaczął dawać oznaki życia i zgrzytać zębami. — Nie wiedziałem wcale, że dotąd żyje i ugania się jeszcze po Hradczynie; musi być bardzo stara. Mieszka zapewne...

— Przy ulicy Martwej, tam gdzie mieszkają te wszystkie dziewczyny — rzekła Bożena gorliwie.

— Niech więc idzie i sprowadzi tę osobę — rozkazała hrabina.

Dziewczyna wyszła posłusznie.

Tymczasem Zrcadlo wracał do przytomności; popatrzawszy przez czas jakiś tępym wzrokiem w płomień świecy, podniósł się powoli, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie.

— Czy przypuszczacie, że się chciał włamać? — półgłosem zapytała służbę hrabina.

Kamerdyner zaprzeczył ruchem głowy i dotknął znacząco czoła, aby wskazać, że uważa go za obłąkanego.

— Według mego zdania zachodzi tu wypadek somnambulizmu — rzekł Pingwin. — Takich chorych opada przy pełni księżyca jakiś pęd do wędrowania, w którym zupełnie nieświadomie dokonują czynów dziwaczkowych, wdrapują się na drzewa, domy, mury i często stąpają z niesłychaną pewnością po najwęższych pomostach, zawieszonych zawrotnie wysoko, po rynnach dachów; pewności tej nie mieliby bez wątpienia, gdyby nie pozostawali w stanie sennym.

— Hola, panie Zrcadlo — zwrócił się do pacjenta — czy uważa pan, że może pójść teraz o własnych siłach do domu?

Lunatyk nie odpowiedział; mimo to miało się wrażenie, że pytanie usłyszał, choć go nie zrozumiał, gdyż wolnym ruchem odwrócił głowę ku medykowi nadwornemu i spojrzał mu w twarz pustymi, nieruchomymi oczami.

Pingwin cofnął się mimowolnie, kilka razy przeciągnął ręką przez czoło, jakby chcąc przywołać jakieś wspomnienie, i mruknął:

— Zrcadlo? Nie. To imię jest mi obce. — A jednak znam tego człowieka. — Nie wiem tylko, gdzie go widziałem.

Intruz był wysokiego wzrostu, chudy, cerę miał ciemną. Długie, suche, siwe włosy zwisały mu bezładnie dokoła głowy. Twarz miał wąską, bez brody, z ostro wykrojonym nosem haczykowatym, czoło lotne, zapadnięte skronie, zaciśnięte wargi, policzki uszminowane; ubrany był w czarny, znoszony płaszcz z aksamitu. Na skutek tych kontrastów zdawało się, że nie życie samo, ale jakiś sen zagmatwany sprowadził jego postać do komnaty.

Wygląda jak staroegipski faraon, który wdział przybranie komedianta, aby mumię swoją ukryć pod maską — strzeliło do głowy nadwornemu medykowi. — To niepojęte, że sobie przypomnieć nie mogę, gdzie i kiedy spotkałem już te uderzające rysy twarzy?

— Ta bestia nie żyje — mruknęła hrabina, na pół do siebie samej, na pół do Pingwina i jak gdyby miała przed sobą statuetkę, zaczęła przez lorgnon śmiało i bez żenady studiować z bliska twarz stojącego przed nią człowieka: — tak zwężone źrenice może mieć tylko trup. — Mam wrażenie, Flugbeil, że w ogóle nie może nimi poruszyć. — Nie bójże się, Konstanty, jak stara baba — zawołała głośno w kierunku drzwi jadalni: otworzyły się wolno, nieznacznie, ukazując blade, przerażone twarze radcy dworu Schirndinga i barona Elsenwängera — chodźcie tu obydwaj, przecież nie kasa!

Imię Konstanty podziałało na przybysza jak wstrząśnienie duchowe. Drżał przez chwilę od głowy aż do stóp, wyraz jego twarzy zmienił się błyskawicznie niby u człowieka, który idealnie i nieprawdopodobnie panując nad mięśniami twarzy, stroi gryma-

sy przed lustrem. — Kości nosa, policzków i brody jakby zmiękły nagle i stały się elastyczne; twarz przybysza, niedawno jeszcze była dumnie spoglądającą maską króla egipskiego, przechodząc przez cały szereg dziwnych zmian nabrała z wolna wyrazu niezaprzeczonego podobieństwa do typu rodziny Elsenwangerów.

Utrwalona w niespełną minutę fizjonomia wyrugowała do tego stopnia jego wygląd poprzedni i tak zakrzepła w rysach, że obecni byli ku swemu najwyższemu zdumieniu przekonani, iż stoi przed nimi ktoś zupełnie inny.

Z głową pochyloną na piersi, z policzkiem podniesionym jakby wskutek wrzodu na zębie ku lewemu oku, które zmniejszyło się i miało wyraz kłujący, wysunąwszy dolną szczękę, dreptał przez chwilę niezdecydowanie dokoła stołu, potem chwycił się za kieszenie, jakby szukał w nich czegoś.

Wreszcie ujrzał barona Elsenwangerę, który w niemym przerażeniu stał oparty kurczowo o ramię swego przyjaciela Schirndinga, skinął mu głową i zaczął beczeć jak koza:

— Kostusiu, dobrze, że przychodzisz, cały wieczór cię szukam.

— Jezus, Maria — ryknął baron, uciekając ku drzwiom. — Śmierć jest w domu. Ratunku, pomocy; to mój zmarły brat Bogumil!

Von Schirnding, medyk nadworny i hrabina, którzy znali zmarłego barona, Bogumila Elsenwangerę, drgnęli na dźwięk głosu somnambulika — tak był podobny do głosu zmarłego.

Nie troszcząc się o nich zupełnie, zaczął Zrcadlo krążyć ruchliwie po pokoju i dotykać przedmiotów, widzianych oczywiście tylko przez niego samego; ruchy, za pomocą których podnosił je i odstawiał, były tak plastyczne i dobitne, że w soczewce duchowej widzów zdawały się nabierać kształtów cielesnych.

Nagle zaczął nasłuchiwać, podreptał do okna, gwizdząc kilka taktów jakiejś melodii, nachylił się jakby nad klatkę z ptakiem i, jak gdyby siedział tam jakiś ptak w klatce — z wyimaginowanej kasety wyciągnąwszy mącznika, również wyimaginowanego, ukazał go ukochanemu ptakowi; wszyscy na chwilę zapomnieli,

gdzie są: zdawało się im, że przeniesiono ich w otoczenie, w którym żył tutaj baron Bogumił.

Zdjęło ich przerażenie dopiero wtedy, gdy Zrcadlo, wróciwszy od okna, stanął znowu w świetle; widok zniszczonego czarnego płaszcza z aksamitu rozwiął iluzję; w niemym osłupieniu, bezbronni, czekali, co pocznie dalej.

Zrcadlo namyślał się przez chwilę, kilkakrotnie pociągnął z jakiejś niewidzialnej tabakierki, postawił potem jedno z rzeźbionych krzesel na środku pokoju przed wyimaginowanym stołem, usiadł na krześle i zaczął z głową pochyloną naprzód, wykrzywioną, pisać coś w powietrzu; przy tym wziął jeszcze wyimaginowane pióro gęsie, zatemperował je, znowu z tak przerażającą wyrazistością, że słyhać było niemal zgrzyt noża.

Obecni patrzyli na niego z zapartym oddechem — na rozkaz Pingwina służba już przedtem opuściła pokój na palcach. Głęboką ciszę przerywały tylko pełne lęku jęki barona Konstantego, który nie mógł oderwać wzroku od swego

z m a r ł e g o b r a t a.

Nareszcie Zrcadlo skończył z pisaniem listu czy innego jakiegoś zrodzonego z fantazji pisma. Poznać to było można po skomplikowanych zakrętasach, którymi kładł zapewne swój podpis. Bez hałasu odsunął krzesło, podszedł do ściany, zaczął szukać w niszy, w której mieściły się obrazy; w i s t o c i e znalazł tam klucz, r z e c z y w i s t y, odsunął listwę ramy, otworzył zamek, który się za nią ukazał, wyciągnął jakąś szufladę, wrzucił do niej „list” i zamknął szufladę z powrotem.

Napięcie widzów wzrosło do tego stopnia, że nikt nie usłyszał słów Bożeny, wypowiedzianych półgłosem za drzwiami:

— Miłościwy panie! Jaśnie panie, czy nie wolno nam wejść?

— Flugbeil... czy pan to widział? Czy szuflada... którą mój zmarły brat otworzył... nie była prawdziwa? — przerwał milczenie baron Elsenwanger, jākając się i szlochając ze wzruszenia. — Nie przypuszczałem wcale, że się tam jakaś szuflada znajduje. — Załamawszy ręce, mówił dalej: — Bogumile, na miłość boską, przecież nie uczyniłem ci nic złego. Święty Wa-

clawie, może dlatego mnie wydziedziczył, ponieważ od trzydziestu lat nie byłem w kościele!

Medyk nadworny chciał podejść do ściany i zbadać ją, ale zatrzymało go głośnie pukanie do drzwi. W chwilę później stanęła w pokoju wysoka, smukła, otulona w jakieś strzępy kobieta, którą Bożena przedstawiła jako czeską Elżbietkę.

Szata jej, niegdyś bardzo cenna, lamowana złotem i dżetami, zdradzała jeszcze ciągle krojem i sposobem, w jaki układała się na plecach i biodrach, ile pracy i kunsztu wymagało jej wykonanie. Zmięte do niepoznania, pełne brudu obramowanie szyi i ramion, szyte było z prawdziwych koronek brukselskich.

Kobieta musiała mieć dobrą siedemdziesiątkę, mimo to rysy jej twarzy, potwornie wyniszczone przez cierpienia i nędzę, zdradzały ślady dawnej, wielkiej piękności.

Pewność w zachowaniu i spokojny, niemal ironiczny sposób przyglądania się trzem mężczyznom na hrabinę Zahradkę nie raczyła nawet spojrzeć — dowodziły, że otoczenie nic imponuje jej w żadnej mierze.

Przez jakiś czas zdawała się wprost delektować zakłopotaniem obecnych mężczyzn, którzy ją z pewnością znali dobrze z młodych lat, a nie chcieli, aby hrabina to zauważyła — uśmiechała się bowiem znacząco. Po chwili zapytała uprzejmie medyka, który coś bąkał niewyraźnie:

— Państwo posłali po mnie. Czy wolno wiedzieć, o co chodzi?

Hrabinę zdumiał czysty akcent niemiecki i dźwięczny, choć nieco ochrypły głos; wzięła więc do rąk lorgnon i zaczęła lustrować błyszczącymi oczyma starą prostytutkę. Kobięcym, trafnym instynktem wyczuła natychmiast przyczynę zażenowania mężczyzn i ratować jeła niemiłą sytuację:

— Ten człowiek — wskazała na Zrcadla, który z twarzą odwróconą do ściany stał bez ruchu przed portretem damy w stroju rokoko — ten człowiek wtargnął tutaj. Kto to jest? Czego chce? Słyszałam, że mieszka u pani. — Czy to obłąkany? A może jest podpi... — nie mogła dokończyć słowa, na samo wspomnienie

tego, co przed chwilą widziała, ogarnęła ją trwoga — może... może ma gorączkę?... A może jest chory? — złągodziła poprzednie zdanie.

Czeska Elżbietka wzruszyła ramionami i odwróciła się wolno ku hrabinie; pozbawione rzes, zmęczone zapaleniem oczy, które zdawały się patrzeć w przestrzeń, jak gdyby tam, skąd dochodziły słowa, nikogo nie było, nabrały wyrazu dumy i pogardy; hrabinie krew uderzyła do głowy.

— Spadł z muru ogrodowego — wmieszał się prędko do rozmowy nadworny medyk. — Myśleliśmy z początku, że umarł i dlatego posłaliśmy po panią.

— Kim jest i czym się trudni, to nie ma nic do rzeczy — mówił dalej, nie chcąc dopuścić, by się sprawa zaostrzyła. — Według wszelkich pozorów jest somnambulikiem... Pani wie z pewnością, co to znaczy?... Tak, zaraz sobie pomyślałem, że pani to będzie wiedziała... Tak, hm... Musi więc pani w nocy nieco uważać, aby się znowu nie wymknął... Może zechce go pani teraz łaskawie zaprowadzić do domu? Służący lub Bożena chętnie pani pomogą. No tak... Nieprawdaż, baronie, pan się zgadza?

— Tak, tak. Tylko precz z nim — jęczał Elsenwanger — o Boże, zabierzcie go, zabierzcie!

— Wiem tylko tyle, że się nazywa Zrcadlo i że jest zapewne aktorem — rzekła spokojnie czeska Elżbietka. — Chodzi nocami po winiarniach i coś przed ludźmi odgrywa. — Oczywiście, czy — potrząsnęła głową — czy sam wie, kim jest, tego nikt nie dociekł. — Ja zaś nie troszczę się o to, kim są moi lokatorzy i czym się zajmują. — Nie jestem niedyskretna. — Panie Zrcadlo, chodź pan, a żywo. — Czy pan nie widzi, że to nie żadna gospoda?

Podeszła do lunatyka i ujęła go za rękę.

Bezwolnie dał się zaprowadzić do drzwi.

Podobieństwo do zmarłego barona Bogumiła ustąpiło w zupełności z jego rysów. Postać miał znowu wysoką i smukłą, twarz spokojną; świadomość odzyskał niemal zupełnie, mimo to ciągle

jeszcze nie zwracał najdrobniejszej uwagi na obecnych, jakby zmysły jego, podobne do zmysłów zahipnotyzowanego, zamknięte były przed światem zewnętrznym.

Ustały również z twarzy dumne rysy króla egipskiego. Został tylko „aktor” — ale jaki! — Maska z ciała i skóry, napięta w każdej chwili do nowej, niepojętej przemiany, maska, którą nosiłaby śmierć, gdyby postanowiła zstąpić między żyjących. — To twarz istoty — uświadomił sobie medyk nadworny, znowu owładnięty dręczącą myślą, że musiał już widzieć gdzieś tego człowieka — która potrafi być dziś t y m, jutro kimś zupełnie innym — innym nie tylko dla otoczenia, ale i dla siebie samego; — to trup, który się nie rozkłada i ulega niewidzialnym, po wszechświecie błakającym się prądom i wpływom; — to istota, która nie tylko zwie się „zwierciadłem”, lecz może jest nim — w istocie...

Czeska Elżbietka wypchnęła lunatyka z pokoju; medyk nadworny skorzystał z tej okazji i wyszeptał:

— Niech Lizinka idzie teraz; jutro ją odszukam... Ale niech z nikim nie mówi o tym... Muszę dowiedzieć się czegoś bliższego o tym Zrcadle.

Pozostał jeszcze czas jakiś przy drzwiach, nasłuchując, czy oboje schodzący ze schodów rozmawiają. Dobiegał jedynie głos kobiety, która powtarzała niemal bez przerwy:

— Chodźcie, panie Zrcadlo, chodźcie... Przecież widzicie, że to nie gospoda...

Gdy się odwrócił, zauważył, że reszta towarzystwa przeszła do sąsiedniego pokoju i czeka na niego przy stole do gry.

Po bladych, podnieconych twarzach przyjaciół poznał, że myśli ich krążą daleko od kart, a tylko żelazna wola starej hrabiny zmusiła do zajęcia się codzienną rozrywką wieczorną, jak gdyby nic a nic się nie stało.

— Niemiły będzie dzisiaj wist — pomyślał medyk nadworny, nic zdradził się jednak z tą myślą i, złożony lekki ptasi ukłon hrabinie, która drżącą ręką rozdawała karty, usiadł naprzeciw niej.

Nowy Świat

Wszyscy Flugbeilowie, którzy — odkąd pamięć ludzka sięga — byli medykami nadwornymi, wisieli jak miecz Damoklesa nad koronowanymi głowami Czech, gotowi spaść na nie, skoro tylko pokazywały się najmniejsze objawy choroby — oto przysłowie, które krążyło w szlacheckich kołach Hradczynu. (Porównanie miecza Damoklesa z nazwiskiem Flugbeil jest w oryginale grą słów, gdyż „Flugbeil” znaczy po niemiecku „latający topór”.) — Przysłowie zdawał się potwierdzać fakt, że po śmierci cesarzowej wdowy Marii Anny i ród Flugbeilów, reprezentowany przez ostatniego swego potomka Tadeusza Flugbeila, był na wy-
marciu.

Uregulowane, jak mechanizm zegarka, życie kawalerskie pana medyka nadwornego doznało wskutek przygody nocnej z somnambulikiem Zrcadlo niemiłego wstrząsu.

We śnie ukazywały mu się zjawy, dotknął go nawet cień pewnych wspomnień z czasów młodości, w których wdzięki czeskiej Elżbietki — naturalnie z okresu gdy była jeszcze piękna i powabna — miała grały rolę.

Drażniąca, żenująca gra wizji, wśród których dominowało urojenie, że trzyma w ręku laskę górską, zbudziła go o porze nieprawdopodobnie wczesnej.

Co roku na wiosnę, dokładnie pierwszego maja, zwykł był pan medyk nadworny udawać się na kurację do Karlsbadu. Ponieważ nienawidził kolei, uważając ją za wymysł żydowski, podróż odbywał powozem.

Karliczek było na imię bułanemu człapakowi, który miał za szczyt ciągnąć powóz stosownie do energicznych instrukcji starego woźnicy, ubranego w czerwoną kamizelkę. Gdy przybywał do odległego o pięć kilometrów od Pragi przedmieścia Holeszowice, popasywano tam rokrocznie na noc; dalsza podróż rozpoczynała się następnego dnia i trwała około trzech tygodni, z przerwami

zależnymi w zupełności od humoru Karliczka. W Karlsbadzie mógł się Karliczek aż do czasu powrotu odżywiać do syta, więc przed rozpoczęciem drogi powrotnej stawał się podobny do lśniącej różowo kiełbasy, osadzonej na czterech cienkich nogach; podczas gdy Karliczek tył, nie ruszając się z miejsca, pan medyk nadworny odbywał dla ruchu spaceru *per pedes*.

Pojawienie się czerwonej liczby z napisem 1-szy maja na kalendarzu kartkowym umieszczonym nad łóżkiem było zwykle znakiem, że czas najwyższy pakować kufry. Ale tym razem pan medyk nadworny nie popatrzył nawet na blok kalendarza, pozostawił kartkę 30 kwietnia, z napisem „Noc Walpurgi”, nietkniętą i skierował kroki ku biurku; wyjął z niego olbrzymi foliał ze skóry prosięcej, z ozdobami mosiężnymi na rogach, od trzech pokoleń służący każdemu męskiemu reprezentantowi rodu Flugbeilów za diariusz, i zaczął przerzucać kartki zapisane w czasach młodości. Chciał na tej drodze ustalić, czy nie spotkał kiedyś w życiu niesamowitego Zrcadla, ponieważ myśl, że tak być musiało, dręczyła go bez przerwy.

Odkąd skończył lat dwadzieścia pięć, od dnia, w którym odumarł go ojciec, zapisywał dokładnie każdego ranka swe przeżycia, tak samo, jak to codziennie pięknym pismem czynili jego przodkowie. — Dzień dzisiejszy miał kolejną cyfrę: 16117. Ponieważ nie mógł wiedzieć, czy zostanie kawalerem i nie pozostawi potomstwa, notował — idąc również za przykładem przodków — wszystko, co się odnosiło do spraw miłosnych, pismem tajemnym i sobie tylko znanymi znakami, które były zagadką dla niepowołanych oczu.

Miejsz takich było — trzeba to przyznać ku chwale pana medyka — niewiele; stosunek wydarzeń w tej dziedzinie do porcji gulaszu, spożytych w gospodzie „Schnell”, można by wyrazić cyfrowo 1:300.

Mimo że diariusz prowadzony był skrupulatnie, nie mógł pan medyk nadworny znaleźć ani jednego miejsca, które by miało ja-

kikolwiek związek z somnambulikiem; rozczarowany zamknął go wreszcie.

Już w czasie przerzucania diariusza ogarnęło go niemiłe uczucie: odczytując poszczególne notatki uświadomił sobie — po raz pierwszy — jak w gruncie rzeczy monotennie i szaro upłynęły lata jego życia.

W innym momencie byłby dumny z tego, że się poszczycić może życiem tak uregulowanym, niemal odmierzonym cyrklem, co się rzadko zdarza nawet przedstawicielom najbardziej ekskluzywnych szlacheckich rodzin Hradczynu, i pyszniłby się, że krew jego — choć nic błękitna, lecz mieszczańska — nie uległa od pokoleń żadnemu pośpiechowi, żadnej plebejuszowskiej żądzy postępu. Teraz jednak, pod świeżym wrażeniem przeżycia nocnego w domu Elsenwangerów, wydało mu się nagle, że narodził się w nim jakiś pęd, dla którego miał tylko jak najokropniejsze określenia, a mianowicie: chęć do przygód, niezadowolenie z siebie, ciekawość do wyjaśniania rzeczy niewytłumaczalnych i temu podobne.

Poczuł się obco w pokoju. Pozbawione wszelkiej ozdoby, bielone ściany przeszkadzały mu zaczęły. A przecież przedtem nie doświadczał tego nigdy. — Dlaczegoż więc nagle teraz?

Był zły na siebie.

Trzy pokoje, w których mieszkał, mieściły się w południowym skrzydle zamku królewskiego. Gdy został spensjonowany, przydzielił mu je cesarsko-królewski zarząd zamku. Z pochyłonej naprzód balustrady, przy której stała potężna luneta, mógł patrzeć w dół, „na świat”, na Pragę, mógł oglądać ciągnące się za miastem na horyzoncie lasy i faliste, zielone płaszczyzny panoramy podgórskiej. Z drugiego okna roztaczał się widok na górny bieg Mołdawy; wyglądała jak połyskująca srebrna wstęga, ginąca w mglistej dali.

Pragnąc uspokoić nieco myśli wzburzone, nadworny medyk podszedł do teleskopu i obrócił go na miasto, pozwalając, jak zwykle, przypadkowi kierować ręką.

Instrument powiększał niepomierne, a wskutek tego tak uszczuplał pole widzenia, że przedmioty, na które soczewka była skierowana, stawały w bezpośrednim sąsiedztwie obserwatora.

Pan medyk nadworny nachylił się nad soczewką z bezwiedną, ledwie uprzytomnioną, tajemną chęcią zobaczenia kominiarza na dachu lub czegoś innego zwiastującego szczęście; cofnął się jednak po chwili z okrzykiem przerażenia.

Uśmiechała się do niego twarz czeskiej Elżbietki, twarz naturalnej wielkości, okropnie zniszczona, mrugająca powiekami bez rzęs; jak gdyby widziała go i poznawała!

Wrażenie było tak straszne, tak potworne, że pan medyk nadworny zaczął drżeć na całym ciele; patrzył przez chwilę bez lunety błędnym wzrokiem w prześwietlone powietrze, przygotowany na to, że za sekundę stanie przed nim jak żywa stara żebraczka, może nawet jadąc na miotle.

Gdy się wreszcie opamiętał — pełen zdumienia, jak dziwna bywa gra przypadku, ale zadowolony, że rzecz całą może sobie wytłumaczyć zupełnie prosto — i znowu patrzeć zaczął przez lunetę, stara znikła. Przesuwały się teraz przed nim obojętne twarze, odnosił jednak wrażenie, że mają wyraz jakiegoś dziwnego podniecenia i napięcia, które przeszło na niego samego.

Po pośpiechu, z jakim jedna wypychała drugą, po gestach rąk, szybkich ruchach warg, szeroko otwieranych ustach, które zdawały się wydawać okrzyki, poznawał, że powstało jakieś zbiegowisko, którego przyczyny nie mógł ze względu na wielką odległość ustalić.

Trącił lekko teleskop, obrazy ustąpiły. Na ich miejsce wybiegło — w zamazanych konturach — kwadratowe, ciemne „coś”; przy zbliżaniu soczewki przeobrażać się zaczęło to „coś” w otwarte okno poddasza, o szybach rozbitych, zalepionych papierem gazetowym.

W ramie okna siedziała młoda, ubrana w łachmany kobieta, z twarzą trupio zapadniętą i zniszczoną, z oczami głęboko schowanymi w orbitach. Nieruchomy wzrok wparła z tępą, zwierzęcą obojętnością w leżące przed nią, wychudzone jak szkielec, ma-

łe dziecko. Widocznie zmarło w jej ramionach. Jaskrawe światło słoneczne, które otaczało oboje, pozwalało odróżnić każdy drobiazg z okrutną dokładnością i pogłębiało radosnym blaskiem wiosennym okropny kontrast między rozpaczą a radością, który stawał się nie do zniesienia.

— Wojna, tak jest, wojna westchnął Pingwin i trącił teleskop, nie chcąc sobie potwornym widokiem bez potrzeby psuć apetytu do drugiego śniadania.

— Musi to być tylne wejście jakiegoś teatru albo coś w tym rodzaju — mruknął po zastanowieniu, gdy w chwilę później rozegrała się przed jego oczami następująca scena: dwaj robotnicy, otoczeni czeredą chłopców ulicznych i kulejących starych bab, wynosili z jakiejś bramy kolosalny obraz. Widniał na nim starzec z długą, białą brodą; spoczywał na różowych obłokach, w oczach miał wyraz niewypowiedzianej łagodności, prawą rękę wyciągał z błogosławieństwem, lewą obejmował globus.

Nie uspokojony i dręczony sprzecznymi uczuciami, udał się pan medyk nadworny do swego pokoju. Przyjąwszy bez słowa meldunek kucharki: „Wacław czeka na dole”, wziął cylinder, rękawiczki, laskę z kości słoniowej i zszedł po chłodnych, kamiennych schodach na dziedziniec zamkowy, na którym woźnica już był zajęty spuszczeniem budy, aby wysoka postać pana mogła bez zahaczenia dostać się do wnętrza powozu.

Gdy karoca przebyła już większą część stromych ulic, nagle strzeliła Pingwinowi pewna myśl do głowy; pod jej wpływem zaczął tak długo walić w szyby powozu, aż Karliczek raczył zatrzymać się na swych bułanych nogach. Wacław zeskoczył z kozła i, zdjawszy kapelusz z głowy, stanął obok karocy.

Jakby spod ziemi wyrosła, otoczyła w jednej chwili powóz cała gromada chłopców. Zobaczywszy Pingwina i przypomniawszy sobie jego przezwisko, zaczęli wykonywać jakiś taniec ptaków podbiegunowych; naśladowali zgiętymi ramionami niezdarne ruchy skrzydeł i udawali, że się kołą nawzajem ostrymi dziobami.

Pan medyk nadworny nie raczył nawet spojrzeć na kpiarzy, szepnął tylko woźnicy coś, od czego tamten na chwilę dosłownie zdrętwiał.

— Ekscelencjo, jaśnie panie, gdzie Ekscelencja chce jechać, na ulicę Martwą? — wykrztusił wreszcie woźnica półgłosem. — Do tej... do tej... hołoty! — i to o tej porze, tak wcześnie?

— Ależ czeska Elżbietka nie mieszka wcale przy ulicy Martwej — rzekł z uczuciem ulgi, gdy mu Pingwin bliżej wyłożył swe zamiary. — Mieszka przecież przy Nowym Świecie, chwała Bogu.

— Przy... Świecie? Na dole? — zapytał pan medyk nadworny, rzucając przez szybę powozu niezadowolony wzrok na leżącą u jego nóg Pragę.

— Tak, przy Nowym Świecie — uspokoił woźnica — w uliczce, która się ciągnie wokół Jeleniego Rowu.

Wyciągnął przy tych słowach palec wskazujący w kierunku firmamentu i opisał w powietrzu szybkim ruchem ramienia pętlę, jak gdyby stara dama mieszkała w niedostępnych obszarach, w jakiejś krainie astralnej między niebem a ziemią.

W kilka minut potem Karliczek wdrapywał się po stromej uliczce równomiernymi powolnymi krokami muła kaukaskiego, któremu nigdy nie przytrafia się zawrót głowy.

Panu medykowi nadwornemu przyszło na myśl, że skoro przed upływem pół godziny widział przez swój teleskop na ulicach Pragi czeską Elżbietkę, nadarza się teraz dobra sposobność do pomówienia w cztery oczy z Zrcadlem, który u niej mieszka. Postanowił wykorzystać tę okoliczność, choćby kosztem rezygnacji i drugiego śniadania u „Schnella”.

Uliczka zwana Nowym Światem składała się, jak to za chwilę stwierdził pan medyk (powóz został w tyle, by nie wywołać zbiegowiska), z około siedmiu domków, stojących w pewnej od siebie odległości. Naprzeciw tych domków wznosił się mur w kształcie półkola; górną jego część ozdobiła prymitywna ręka chłopaków szkolnych bardzo drastycznymi scenkami z życia erotycznego. Oprócz kilkorga dzieci, które śmiejąc się radośnie, krę-

ciły wirówki na ulicy pokrytej po kostki białym pyłem wapienym, nie było widać nikogo.

Od Rowu Jeleniego, którego stoki pokrywały kwitnące drzewa i krzewy, szedł przepojony zapachem jaśminu i bzu powiew. W oddali drzemał zamek cesarzowej Anny, otoczony fontannami o srebrnobiałej pianie. Wyglądał ze swym brzuchatym, zielonym dachem pokrytym patyną jak olbrzymi, lśniący chrząszcz.

Panu medykowi nadwornemu nagle zabiło serce dziwnie mocno. Miękkie, leniwe powietrze wiosenne, upajający zapach kwiatów, rozbawione dzieci, lśniący w słońcu obraz miasta rozpostartego na dole, strzelająca w górę katedra, a nad nią skrzeczące nad swymi gniazdami masy kawek — wszystko to obudziło w nim na nowo ponure, pełne wyrzutu uczucie z dzisiejszego ranka, gorzkie przeświadczenie, że oszukiwał swą duszę przez całe życie.

Przyglądał się przez chwilę, jak małe, podobne do kręgli, szaro-czerwone krążki wirowały pod uderzeniem batów i szły w górę niby chmurki pyłu; nie mógł sobie przypomnieć, aby w dzieciństwie uprawiał kiedykolwiek tę zabawę; miał wrażenie, że stracił przez to długie lata szczęścia.

Otwarte i martwe były sienie małych domostw, do których zaglądał, aby się dowiedzieć, gdzie mieszka aktor Zrcadlo.

W jednej z nich ujrzał puste przepierzenie z desek, gdzie sprzedawano zapewne w czasach pokoju bułki obsypane niebieskawym makiem, albo — jak zdawała się wskazywać wyschnięta drewniana beczułka — kwaśny sok z ogórków; zwyczajem krajowym maczano w nim zapewne wiszący nad antalkiem rzemień, który za opłatą grosza miało się prawo polizać dwukrotnie. Przed innym domkiem wisiał czarnożółty szyld blaszany; umieszczony był na nim orzeł podwójny oraz fragmenty napisu obwieszczającego, że reflektujący mogą tu otrzymywać sól bez narażenia się na karę.

Wszystko tu przygnębiało, jakby już od dawna wyzbyło się cech rzeczywistości.

Na zdartej do połowy kartce, wypisano niegdyś wielkimi, czarnymi literami

ZDE SE MANDLUJE

co mniej więcej ma znaczyć: tu mogą służące za opłatą dwudziestu groszy przez godzinę maglować białiznę.

Widocznie założyciel przedsiębiorstwa stracił wszelkie zaufanie do swego źródła zarobku. Wszędzie bezlitosna pięść furii wojennej pozostawiła ślady swych niszczących ciosów.

Pan medyk nadworny wszedł na chybił trafił do ostatniego z domków; z komina chaty wił się ku czystemu niebu majowemu długi, cienki robak blade-sinego dymu. Po długim pukaniu, na które nikt nie odpowiadał, otworzył Flugbeil drzwi i niemile zdumiony stanął wprost przed — czeską Elżbietką. Dawna prostytutka trzymała na kolanach miskę drewnianą, napełnioną zupą. Poznawszy go już na progu, zawołała serdecznie:

— Serwus, Pingwin, czyś to ty naprawdę?

Jeśli sędzić po łóżku, składającym się ze starych łachmanów, kawałków słomy i zwojów papieru gazetowego, pokój służący równocześnie za kuchnię i sypialnię, był niebywale brudny i zaniedbany. Stół, krzesła, komoda, naczynia, stały w dzikim nieporządku.

Na wystrzępionych purpurowych tapetach wisiał cały szereg zwiedłych wieńców laurowych, na których widniały napisy w rodzaju: „wielkiej artystce”; obok wieńców wisiała mandolina, ozdobiona wstążkami.

Elżbietka siedziała dalej z oczywistą nonszalancją światowej damy; wyciągnęła tylko rękę, wytwornie się uśmiechając. Rękę tę pan medyk nadworny, purpurowy z zażenowania, ujął wprawdzie i uścisnął, lecz jej nie ucałował.

Udając, że łaskawie nic spostrzega tego braku galanterii, rozpoczęła Elżbietką konwersację paru słowami na temat pogody, przy czym, nic krępując się zupełnie, dopijała zupy. Wreszcie zapewniła ekscelencję o swym ogromnym zadowoleniu, że może powitać tak miłego starego przyjaciela.

— Morowcem byłeś i jesteś, mój Pingwinie — zmieniła nagle ceremonialny ton, przechodząc bezpośrednio do poufałości; porzuciwszy wytworną niemczyznę, rzekła po prostu żargonem czeskim:

— Jesteś *sakramensky chlap*.

Zdawało się, że nawiedziły ją wspomnienia.

Milczała przez chwilę, zamknawszy oczy. Medyk nadworny czekał w napięciu, co też powie.

Nagle zaczęła gruchać zachrypłym głosem:

— Brysiu, Brysiu — i rozpostarła ramiona.

Panem medykiem nadwornym wstrząsnął dreszcz przerażenia; odskoczył w tył, patrząc na nią złęknionym, osłupiałym wzrokiem.

Nie zwracała na to uwagi; rzuciła się ku ramie wiszącej na ścianie, porwała starą, wyblakłą grawiurę, stojącą obok wielu innych, i zaczęła ją obsypywać gorącymi pocałunkami.

Nadwornemu medykowi zaparło niemal oddech: poznał swój własny konterfekt, darowany jej przed jakimiś czterdziestoma laty.

Stara odstawiła z powrotem grawiurę z czułą pieczołowitością; zawstydzona, podniosła cienkimi palcami suknię całą w strzępach i tańczyć zaczęła jakiegoś upiornego gawota; głowa jej z rozwichrzonymi włosami kołysała się, jak gdyby nawiedzał ją sen lubieżny.

Pan medyk nadworny stał jak sparaliżowany, póki zaczął mu wirować przed oczyma. Coś szepnęło mu: *danse macabre*. Słowa te wyrosły jak wizje w ostrych zygzakach w kształcie podpisu pod starym miedziorytem, widzianym niegdyś u antykwariusza.

Nie mógł odwrócić wzroku od cienkich na kształt szkieletu nóg staruchy, które tkwiły w zwisających niedbale, czarnych pończochach o zielonkawym połysku. Doszedłszy do szczytu przerażenia, chciał uciec ku drzwiom, lecz postanowienia tego zaniechał, zanim je zdołał jeszcze powziąć. Przeszłość splatała się w nim z terażniejszością w wewnętrzny i zewnętrzny łańcuch

okropnej rzeczywistości; czuł, że sił mu brak do wydobycia się spod jej ciężaru. Sam już nie wiedział, czy nic jest młodym chłopcem i czy ta, która tu przed nim tańczy, nie zmieniła się nagle z pięknej przed chwilą dziewczyny w strzygonia o bezzębnych ustach i zaczerwienionych, pomarszczonych powiekach. A może to sen tylko, może własna jego i jej młodość w rzeczywistości nigdy nie istniały?

Czy naprawdę te płaskie, wierzące się przed nim do taktu i podskakujące bryły, tkwiące w czarno-szarych, spleśniałych resztkach znoszonych butów, mogły być tymi samymi eleganckimi nóżkami o delikatnych kostkach, które kiedyś budziły w nim namiętność i zachwyt?

— Latami całymi nie ściąga ich, inaczej skóra by się rozpadła: śpi w nich — szepnęło coś, wdzierając się do jego świadomości; po chwili tę myśl połowiczną przepędziła druga:

— To okropne, człowiek jeszcze za życia niszczyje w niewidzialnym grobie czasu.

— Czy pamiętasz jeszcze, Tadeuszu — zaintonowała ochrypłym głosem, jak gdyby na flecie zaskrzeczała w takt melodii:

Tyś taka chłodna, zimna.

Przy tobie płonie każdy.

Płomienie krzeszesz z lodu.

Zatrzymała się, jakby uderzona, padła na krzesło, zgięła się cała pod wpływem napadu bezmiernego bólu i wybuchnąwszy płaczem ukryła twarz w dłoniach.

Pan medyk nadworny ocknął się z osłupienia, okrzepł, na krótko odzyskał panowanie nad sobą, stracił je jednak w tejże niemal chwili. Nagle wyraźnie przypomniał sobie niespokojnie przespaną noc i to, że pijany miłością, trzymał we śnie jako kwitnącą, młodą kobietę, to samo biedne, zniszczone ciało, które leżało teraz przed nim, okryte łachmanami, miotane płaczem i cierpieniem.

Otwierał parokrotnie usta i zamykał je znowu bez słowa, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

— Elżbietko — wydobył wreszcie z trudem z siebie — Elżbietko — czy ci naprawdę tak źle?

Spojrzał na pokój, zatrzymał oczy na pustej drewnianej misce od zupy.

— Elżbietko, czy mogę ci w jakiś sposób pomóc? — Dawniej — pomyślał — jadała ze srebrnych talerzy. Patrząc zaś na brudne, odrażające legowisko, rzekł do siebie: i spała na puchowej pościeli.

Stara potrząsnęła gwałtownie głową, nie podnosząc twarzy. Rękami starała się tłumić łkanie.

Fotografia jego patrzyła nań ze ściany prosto w oczy, odbicie szyby okiennej rzucało ukośny snop światła na cały rząd innych fotografii. Byli tu wysmukli, młodzi kawalerowie — wszystkich ich znał dobrze, a kilku spotykał jeszcze teraz jako sztywnych, okrytych siwizną książąt i baronów, wśród nich zaś on sam, ze śmiejącymi się, wesołymi oczami, w ubraniu wyszywanym złotem, ze stosowanym kapeluszem trójgraniastym pod pachą.

Już przedtem, gdy stwierdził, że fotografia jest jego własną podobizną, powstała w nim chęć zabrania jej po kryjomu; mimo woli postąpił krok jeden w jej kierunku — zawstydził się jednak tej myśli i zatrzymał.

Plecy i kark starej trzęsły się i drżały jeszcze ciągle od tłumionego płaczu; patrząc na nią ogarnęła go głęboka, gorąca litość.

Zapominając o obrzydzeniu, jakie wywoływały jej brudne włosy, położył delikatnie rękę na głowie i — pogłaskał ją prawie nieśmiało.

Elżbietka uspokajać się zaczęła jak małe dziecko.

— Elżbietko — zaczął znowu po chwili zupełnie cicho — Elżbietko, nie rób sobie nic z tego... jeżeli ci się źle powodzi... Wiesz — brakowało mu słów — no wiesz, mamy... mamy przecież wojnę... I... i głód cierpimy wszyscy... podczas tej — wojny; — tu kilkakrotnie przełknął ślinę, czuł bowiem, że kłamie. Nigdy jeszcze nie był głodny, nie wiedział nawet, co to głód. W gospodzie „Schnell” podawano mu nawet po kryjomu pod ser-

wetą świeżo pieczone bułeczki z najbielszej mąki. — No, a teraz, gdy wiem, że ci się źle powodzi, w ogóle nie masz o co się kłopotać, Elżbietko. Samo się przez się rozumie, że ci będę pomagał. No... a zresztą wojna — chciał nadać swym słowom jak najwesełszy ton, by ją pocieszyć — może skończy się jutro, pojutrze... i wtedy będziesz mogła znowu pomyśleć o zarobku — tu przerwał zbity z tropu, uświadomił sobie bowiem, kim była, więc w tym wypadku nie mogło być, ściśle rzecz biorąc, mowy o „zarobku”...

Chwyliła go za rękę i, nie mówiąc ani słowa, ucałowała z wdzięcznością. — Poczul jej łyzy na swych palcach. Chciał powiedzieć: — ależ zostaw — ale nic z siebie nie wy dobył. Patrzył wokoło bezradnie.

Przez chwilę milczeli oboje. Potem słyszał, że stara coś mru-czy, nic rozumiał jednak słów.

— Dzień-ku-ję — wykrztusiła wreszcie łkając, — dzień-ku-ję ci, Ping... dziękuję ci, Tadeuszu. — Ale pieniędzy nie chcę — szybko ciągnęła dalej, gdy znowu chciał zacząć mówić o tym, że jej chce pomóc — nie, nie potrzebuję ich.

Wstała, odwróciła głowę do ściany, aby nie patrzył na jej zżartą bólem twarz. Trzymając mocno rękę jego w swej ręce, mówiła:

— Powodzi mi się zupełnie dobrze, jestem taka szczęśliwa, że... że się mnie nic boisz. — Naprawdę powodzi mi się zupełnie dobrze... W-w-iesz, tylko okropne jest, gdy sobie człowiek przypomina, jak wszystko było niegdyś...

Znowu coś zaczęło ją dusić. Przesunęła ręką przez szyję, jak gdyby jej brakło oddechu.

— Okropne jest, że... że, człowiek nic umie się postarzyć...

Pingwin patrzył na nią przerażony i przekonany, że bredzi. Zrozumiał dopiero, o co jej chodzi, gdy mówić zaczęła spokojniej.

— Przedtem, gdy wszedłeś Tadeuszu, wydało mi się, że jestem znowu młoda i... że mnie jeszcze kochasz — dodała szeptem — to zdarza mi się często. Czasami... czasami trwa to cały kwadrans. Zwłaszcza gdy chodzę po ulicach, zapominam, kim jestem i mam wrażenie, że ludzie przypatrują mi się tak, bo jestem młoda

i piękna. Dopiero potem, gdy słyszę, co za mną wołają dzieci... — ukryła twarz w dłoniach.

— Nie bierz tego tak poważnie, Elżbietko. — Pocięszał ją pan medyk nadworny. — Dzieci są zawsze okrutne i nie wiedzą, co czynią. Nie powinnaś się na nie gniewać, a gdy zobaczą, że sobie z nich nic nie robisz...

— Sądzisz, że gniewam się z tego powodu? Jeszcze się nigdy na nikogo nie gniewałam. Nawet na Pana Boga, choć do niego mógłby w dzisiejszych czasach każdy mieć pretensje... Nie, nie!... Ale tak za każdym razem budzić się jakby z pięknego snu — to okropniejsze, aniżeli płonąć żywcem na stosie.

Pingwin znowu rozglądał się po pokoju.

— Gdyby urządzić jej to wszystko nieco milej, cieplej — pomyślał — może...

Zdawała się zgadywać jego myśli.

— Zastanawiasz się, dlaczego tutaj tak okropnie, dlaczego nie dbam zupełnie o siebie. Mój Boże, ile razy próbowałam nieco uporządkować mój pokój, oczyścić go. Ale, wierzaj mi, gdybym to uczyniła, oszalałabym. Choćbym jedno krzesło postawiła na odpowiednim miejscu, wszystko krzyczy we mnie, że i tak nigdy nie będzie tu wyglądało jak dawniej. Dzieje się to zapewne z wieloma ludźmi, ale ci, którzy nie przeżyli zejścia ze światła do ciemności, nie rozumieją tego. — Nie uwierzysz mi, ale tak jest naprawdę: to coś w rodzaju pociechy, że wszystko wokoło mnie i ja sama tak bardzo jestem zniszczona i wstrętna.

Patrzyła przez chwilę błędnym wzrokiem przed siebie i rzekła nagle:

— Wiem nawet dlaczego. — Tak, bo dlaczego człowiek nic ma się skazać na życie w najgłębszym brudzie, jeżeli dusza jego tkwić musi w ohydnej powłoce trupiej!

— A zresztą... tu wśród brudu — mruzczała półgłosem — może uda mi się kiedyś zapomnieć. — Mówiła teraz jak błędna: — Tak, gdyby nie Zrcadlo...

Na dźwięk tego nazwiska pan medyk nadworny przypomniał sobie, że przybył tu właściwie dla aktora Zrcadlo.

— Tak, gdyby nie Zrcadlo! — Mam wrażenie, że to on jest winien wszystkiemu. Muszę go wyrzucić. Gdyby tylko... gdyby tylko... sił mi starczyło...

Pan medyk nadworny chrząknął głośno, aby zwrócić jej uwagę.

— Powiedz no, Elżbietko, co jest właściwie z tym Zrcadlo? Mieszka wszakże u ciebie — zapytał wreszcie wprost.

Przesunęła ręką po czole.

— Zrcadlo? Skąd ci przyszło do głowy pytać o niego?

— Tak sobie. Po tym, co się wczoraj stało u barona Elsenwanger, interesuje mnie ten człowiek — naturalnie tylko ze stanowiska lekarza.

Elżbietce wracała powoli równowaga. Nagle w oczach jej pojawił się wyraz lęku. Chwyciwszy Flugbeila mocno za ramię rzekła:

— Wiesz, czasami mam wrażenie, że — to szatan. Jezus, Maria, Tadeuszu, nie myśl o nim! A zresztą — zaśmiała się histerycznie — to wszystko głupstwa. Nie ma żadnego diabła. Zrcadlo jest oczywiście tylko obłąkany. Albo... albo jest aktorem. Albo jedno i drugie. — Usiłowała się znowu uśmiechnąć, ale bezskutecznie.

Medyk nadworny stwierdził, że przebiegł po niej zimny dreszcz i że drżą jej bezzębne szczęki.

— Rzecz oczywista, że jest chory — rzekł spokojnie — ale czasami musi być przy zdrowych zmysłach — i wtedy chętnie bym z nim pomówił.

— Nigdy nie jest przy zdrowych zmysłach — mruknęła Elżbietka.

— Wczoraj w nocy powiedziałaś, że chodzi po bajzlach i gra przed ludźmi.

— Tak. To prawda.

— Przecież na to musi być chyba przy zdrowych zmysłach.

— Nic, on jest pomieszany.

— Tak... Hm... — Medyk nadworny rozmyślał. — Ale wczoraj miał szminkę na twarzy. Czy barwi się również w stanie nieświadomości? Kto go szminkuje?

— Ja.

— Ty? Po co?

— Po to, aby go uważano za aktora. Aby mógł w ten sposób coś zarobić... I po to, by go nie zamknęli.

Pingwin popatrzył na starą z niedowierzaniem.

— Przecież to niemożliwe, aby ten Zrcadlo był... jej sutenerem — rozważał. — Uczucie opuściło go, znowu wróciło obrzydzenie. — Zapewne żyje z jego dochodów. Tak, oczywiście, inaczej być nie może...

Elżbietka również zmieniła się nagle. Wyciągnęła z kieszeni kawał chleba i żuć go zaczęła, mruczając coś pod nosem.

Pan medyk nadworny przestępował w zakłopotaniu z nogi na nogę. Zaczął się w nim budzić gniew, że w ogóle tu przyszedł...

— Jeżeli chcesz iść, nie trzymam cię — rzekła stara, przerywając męczące milczenie.

Pan medyk nadworny chwycił szybkim ruchem kapelusz i rzekł z uczuciem ulgi:

— Tak, Elżbietko, masz rację, już późno. — Hm, tak... Kiedyś przy sposobności zajrzę tu znowu do ciebie.

Zaczął szukać w portmonetce...

— Powiedziałam ci już raz, że nie potrzebuję pieniędzy — fuknęła stara.

Pan medyk nadworny cofnął rękę i, zwracając się ku wyjściu, rzekł:

— A więc, Elżbietko, bądź zdrowa.

— Serwus, Tad... — Serwus, Pingwin.

Po chwili pan medyk nadworny stał w pełnym blasku słońca na ulicy i cały przepojony żółcią wsiadł do powozu, aby jak najprędzej wy dostać się z Nowego Świata do siebie, na obiad.

Wieża Głodowa

Na otoczony murami, cichy dziedziniec Daliborki, szarej Wieży Głodowej na Hradczynie, stare lipy rzucały już ukośne cienie. Mały domek wartownika, w którym mieszkał weteran Vondrej z swą chorą na ischias żoną i przybranym synem Ottokarem, dziewiętnastoletnim uczniem konserwatorium, leżał już od jakiejś godziny w chłodnym cieniu popołudnia.

Siedząc na ławce, stary liczył i układał na przegniłej desce stos monet miedzianych i srebrnych, które zdobył w ciągu dnia z napiwków gości odwiedzających wieżę. Gdy dorachował się dziesięciu, żłobił swą protezę kreskę w piasku.

— Dwa guldeny osiemdziesiąt siedem grajcarów — niechętnie mruknął po przeliczeniu do przybranego syna, który, oparłszy się o drzewo, zawzięcie czyścił zaplamione kolana czarnego ubrania. Cyfrę tę rzucił jeszcze donośnym głosem żołnierskim przez otwarte okno do pokoju, w którym leżała obłożnie chora żona.

Po chwili zakrzepł w śmiertelnym niemal bezruchu, pochyliwszy łysą głowę, okrytą szarą czapką feldfeblowską. Wyglądał teraz jak pajacyk, któremu pękły nagle wszystkie nici, łączące go z życiem. Zamarły wzrok jego padał na sypiące się z drzew kwiecie, którym obsiana była ziemia.

Nie mrugnął nawet powieką, gdy wychowanek jego, zabrawszy z ławki pudełko ze skrzypcami i włożywszy na głowę aksamitną czapkę, skierował kroki ku bramie pomalowanej na kolor czarno-żółty, jak gdyby koszarowej.

Nie odpowiedział również na jego ukłon pożegnalny.

Młody muzyk poszedł w kierunku Tuńskiej ulicy, na której mieścił się wąski, ciemny pałac hrabiny Zahradki. Uszedłszy kilka kroków, zatrzymał się pod wpływem jakiejś myśli, spojrzął na zniszczony swój zegarek, zawrócił i, skracając sobie drogę, pośpieszył ku Nowemu Światu, gdzie, nie zapukawszy, wszedł do mieszkania czeskiej Elżbietki.

Stara była tak owładnięta wspomnieniami młodości, że przez długi czas nie mogła pojąć, czego ten człowiek chce od niej.

— Przyszłość, cóż to jest przyszłość? — mruknęła nieprzytomnie, ciągle jeszcze niczego, prócz tych ostatnich jego słów, nie rozumiejąc. — Przyszłość? Przecież przyszłość nie istnieje — przyglądała mu się powoli od głowy aż do stóp — wąski, czarny mundur ucznia konserwatorium budził jej zdziwienie — dlaczego nie ma dziś złotych szamerunków? Jest przecież marszałkiem dworu — rzuciła pytanie w próżnię. — Aha, pan Vondrejcz młodszy chciałby znać przyszłość, aha. — Teraz dopiero uświadomiła sobie, kto przed nią stoi.

Nie mówiąc ani słowa więcej, podeszła do komody, schyliła się, wyłowiła spod niej modelowaną deskę o połysku czerwonym, postawiła ją na stół, podała muzykowi drewniany rylec i rzekła:

— Niech pan dotyka tu rylcem, panie Vondrejcz. Od prawej strony ku lewej. Ale nie licząc. — Tylko o tym proszę myśleć, co pan chce wiedzieć! — Szesnaście rzędów po kolei.

Student wziął rylec, ściągnął brwi, przez chwilę wahał się, po czym zbladłszy nagle pod wpływem wewnętrznego wzruszenia jak trup, zaczął w miękkiej masie wykluwać z ogromnym pośpiechem szereg otworów.

Elżbietka zliczyła je, wypisała na tablicy w szeregu obok siebie i pionowo; podczas gdy z napięciem przyglądał się temu, rezultaty ugrupowane w geometryczne figury wpisała w podzielnym wielokrotnie czworobok i mrużyć zaczęła melancholijnie:

— To są matki, córki, kuzynowie, świadkowie, czerwony, biały i sędzia, ogon smoka i jego głowa. Wszystko, jak tego wymaga stara czeska sztuka punktowania. Tak uczyli nas Saraceni, zanim zostali w pień wycięci pod Białą Górą. Dawno jeszcze przed królową Libuszą. Tak, Biała Góra przepojona jest krwią ludzką. Czechy to ognisko wszelkich wojen. I teraz tak było i będzie tak zawsze. — Jak Žižka, nasz ślepy wódz Žižka!

Cóż jest z Žižką — zapytał student w podnieceniu — czy jest tu coś o Žižce?

Nie zwracała uwagi na jego pytanie.

Gdyby Mołdawa nie płynęła tak szybko, jeszcze dziś byłaby czerwona od krwi. — Nagle zmieniła ton i rzekła z zajadłą wesołością: — Wiesz, chłopie, dlaczego jest tyle pijawek w Mołdawie? Od źródeł jej aż do Elby², gdziekolwiek podniesiesz na brzegu kamień, wszędzie znajdziesz pod nim pijawki. Pochodzi to stąd, że dawniej cała rzeka była strumieniem krwi. Czekają, ponieważ wiedzą, że pewnego dnia nowy otrzymają pokarm. — Co to jest? — przerwała, wypuściwszy z ręki kredę i patrzeć zaczęła to na młodego chłopca, to na figury na tablicy. — Co to jest? — Czy chcesz może zostać cesarzem całego świata?

Popatrzyła badawczo w jego ciemne, błyszczące oczy.

Nic odpowiedział, lecz zauważyła, że trzyma się kurczowo stołu, aby nie upaść.

— Może to z powodu tej tutaj? — zapytała, wskazując na jedną z figur. — Myślałam zawsze, że masz stosunek z Bożeną od barona Elsenwanger...

Ottokar Vondrej zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

— Tak? A więc się znowu skończyło, mój chłopcze? No, czeska dziewczyna nie weźmie ci tego za złe. Nawet, gdyby miała mieć dziecko. Ale strzeż się tej — wskazała znowu na jedną z figur. — Ta wysysa krew. Jest również Czeszką, ale należy do starej, niebezpiecznej rasy...

— To nieprawda — rzekł student ochryłym głosem.

— Tak sądzisz? Pochodzi z rodu Borivojów, to ci powiadam. A ty — popatrzyła długo i z namysłem na wąską, ciemną twarz młodego człowieka — a ty pochodzisz również z rodu Borivojów. Oboje Igniecie do siebie jak magnes i żelazo. Co tu długo czytać w znakach. — Starła rękawem tablicę, zanim student zdołał jej w tym przeszkodzić. — Uważaj tylko, byś nie został żelazem, mój chłopcze, a ona magnezem, inaczej będziesz zgubiony. W rodzie Borivojów morderstwa małżonków, kazirodztwa i mordy pośród rodzeństwa bywały na porządku dziennym. Pomyśl o świętym Waławie!

² Łaba

Młody muzyk próbował uśmiechnąć się:

— Święty Wacław tak samo nie pochodził z rodu Borivojów, jak i ja. Nazywam się tylko Vondrejč, pani, — pani Lizinko.

— Niech mi pan nie mówi ciągle pani Lizinko — rzekła, wściekle tłukąc pięścią w stół. — Nie jestem żadna pani! Jestem prostytutka. Jestem panna!

— Chciałbym tylko wiedzieć, Lizinko, co pani przedtem myślała o tej koronie cesarskiej i o Janie Žižce — zapytał zląkniony.

Przerwało mu skrzyknięcie drzwi.

Odwrócił się i w drzwiach, uchylających się powoli, ujrzał człowieka z wielkimi, czarnymi okularami na nosie, w długim surducie, niezgrabnie wywatowanym na plecach, jakby dla garbu, z nozdrzami nadmiernie rozszerzonymi od tkwiących w nich kawałków waty, z lisio-czerwoną peruką na głowie i brodą tego samego koloru, o sztuczności której nie można było wątpić nawet z oddalenia stu kroków.

— *Prosim, milostpane, laskava* — zawrócił się przybysz wyraźnie zmienionym głosem do Elżbietki — przepraszam, pardon, że przeszkadzam, przepraszam bardzo, czy nie było tu przedtem pana medyka nadwornego Flugbeila?

Stara wyszczerzyła zęby.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, powiedziano mi mianowicie, że był tutaj.

Stara w dalszym ciągu szczerzyła zęby jak trup.

Dziwny przybysz zmieszał się.

— Mam mianowicie, mam pana medyka nadwornego...

— Nie znam medyka nadwornego — zawołała ostro Elżbietka.

— Wynoś się, bydlę!

Błyskawicznie zamknęły się drzwi; mokra gąbka, którą stara oderwała od tabliczki, chcąc nią rzucić w przybysza, spadła na podłogę...

— Był to tylko Stefan Brabec — uprzedziła pytanie młodego muzyka. — Ten szpicel prywatny za każdym razem przebiera

się inaczej, a myśli zawsze, że go człek nie pozna. Ilekroć coś się stanie, już jest na tropie i wietrzy. Chciałby później coś wyszantażować, ale nie wie, jak to zrobić... Pochodzi z dołu, z Pragi.

— Wszyscy tam mniej więcej do niego podobni. Widzi mi się, że płynie to z tajemniczego powietrza, idącego z ziemi. Wszyscy stają się z biegiem czasu tacy sami, jak on. Jeden wcześniej, drugi później; chyba że wymierają przedtem. Gdy jeden spotyka drugiego, śmieje się do niego złośliwie, tylko po to, by ten drugi myślał: aha, wie coś o mnie. Nigdy tego nie zauważyłeś, chłopcze? — Zaczęła w dziwnym niepokoju krążyć po izbic. — Nigdy nie zauważyłeś, że w Pradze wszystko obłąkane z powodu tej skrytości?

— Tyś sam obłąkany, chłopczyku, tylko nic o tym nie wiesz! Oczywiście, tu, na górze, na Hradczynie, panuje inny rodzaj obłądu. Zupełnie inny aniżeli tam, na dole. To obłąd bardziej... zakamieniały. Taki sam, jak wszystko tu na górze. Ale gdy się zrywa ze smyczy, wtedy wydaje się, jak gdyby kamienne olbrzymy ożyły nagle i chciały w gruzy zwalić miasto... tak mi mówiła babka, kiedym była małym dzieckiem. No tak, a Stefan Brabec pewnikiem wietrzy nosem, że coś tu na Hradczynie wisi w powietrzu. Coś wisi w powietrzu...

Student zbladł i z lękiem popatrzył na drzwi.

— Jak to? Cóż to ma być?

Elżbietka mówiła dalej, nie zwracając na niego uwagi:

— Wierz mi, chłopcze, że już dzisiaj jesteś wariatem. Może chcesz naprawdę zostać cesarzem świata? Dlaczegoż nie byłoby to możliwe? Gdyby po Czechach nie wałęsało się zawsze tylu obłąkanych, jakżeby mogły być nieugaszonym ogniskiem wojen?

— Tak, bądź tylko wariatem, chłopcze, do wariatów będzie w końcu świat kiedyś należał... Byłam niegdyś kochanką króla Milana Obrenowicza tylko dlatego, że myślałam sobie: mogę nią być. Niewiele brakowało, a byłabym została królową Serbii.

Zdawało się, że się budzi nagle:

— Dlaczegoż właściwie nie jesteś na wojnie, mój chłopcze?

— No tak, wada serca. Tak, tak... hm... A dlaczego przypuszczasz, że nie jesteś Borivojem? — Nie pozwoliła mu odpowiedzieć. — Dokąd idziesz teraz ze skrzypcami, mój chłopcze?

— Do hrabiny Zahradki. Mam grać przed nią.

Stara zdumiała się, zaczęła długo i dokładnie badać twarz młodego człowieka i skinęła później głową, jak ktoś, kto jest pewny swej sprawy. — No tak, Borivoj... A ta hrabina Zahradka, czy cię lubi?

— To moja matka chrzestna.

Elżbietka zaśmiała się głośno:

— Matka chrzestna, ha, ha, matka chrzestna!

Student nie wiedział, jak sobie ten śmiech tłumaczyć. Chętnie zapytałby znowu o Jana Žižkę, ale zdawał sobie sprawę, że nie otrzyma odpowiedzi.

Za długo znał starą, aby nie poznać po jej zniecierpliwionej nagle minie, że chce skrócić audiencję.

Mrucząc pod nosem coś w rodzaju podziękowania, zaczął się z zakłopotaniem cofać ku drzwiom.

Ledwie zobaczył stary, drzemiący w czerwieni wieczoru klasztor Kapucynów, obok którego musiał przechodzić w drodze do pałacu hrabiny Zahradki, zabrzmiały jak gdyby na przywitanie dzwony kaplicy loretańskiej i dźwiękiem zaczarowanej orkiestry z harf eolskich wciągnęły go w krąg magicznych zaklęć.

Otulony melodyjnie kołyszącymi się falami powietrza, upojony zapachem kwiatów z ukrytych pobliskich ogrodów, który był jak nieskończenie miękki, pieszczotliwy welon z jakiejś niewidocznej krainy niebiańskiej, stanął wzruszony i zaczął nasłuchiwać, aż mu się wydało, że słyszy tony starej pieśni kościelnej, śpiewanej przez tysiące dalekich głosów. Gdy tak słuchał, miał wrażenie, że idą one z jego wnętrza, to znowu, że krążą wokoło głowy, aby umrzeć echem w obłokach; chwilami zdawało mu się, że rozumie łacińskie słowa psalmów, które w cichych akordach dochodziły do niego jakby z podziemnych krużganków.

Pograżony w myślach przeszedł przez plac Hradczynu, ozdobiony świątecznie jasnymi gałęziami brzoź, minął zamek królewski, o którego kamienny rezonator łamały się fale tonów. Słyszał — skrzypce jego wibrowały w drewnianej skrzyni, jak gdyby obudziły się w swym grobie.

Staął wreszcie na platformie nowych schodów zamkowych i zobaczył, jak na morze lśniących od słońca dachów spadało dwieście, otoczonych balustradą, kamiennych schodów; spośród leżących na dole domów wypełzała powoli, podobna do olbrzymiej, czarnej gąsienicy, procesja.

Zdawało się, że podnosi w górę swą srebrną głowę z purpurowymi mackami; pod białym baldachimem, niesionym przez czterech duchownych w komżach, widać było księcia arcybiskupa w czerwonym birecie na głowie, w czerwonych jedwabnych bucikach, w ornacie haftowanym złotem; przodem sunął tłum śpiewający, wstępując ze stopnia na stopień.

Zaledwie dostrzegalne w ciepłym nieruchomym powietrzu wieczornym, jak przezroczyście woale krążyły płomienie nad świecami niesionymi przez ministrantów i ciągnęły za sobą czarne nici dymu, unoszące się wśród wyziewów kadzielnic.

Czerwień wieczoru leżała nad miastem, płonęła w purpurowych pasach nad długimi mostami — krew zmieniona w złoto spływała w nurty rzeki, lśniła w tysiącach okien, jak gdyby domy ogarnął pożar.

Student wpatrywał się w ten obraz. Brzmiały mu w uszach słowa starej kobiety o Mołdawie, o jej czerwonych niegdyś falach. Pod wpływem widoku zbliżających się coraz bardziej po schodach ludzi, ogarnęło go coś w rodzaju osłupienia. Tak musiałoby wyglądać spełnienie jego szalonego snu o koronacji, tylko tak!

Zamknął na chwilę oczy, aby nie widzieć, że zebrali się obok niego ludzie oczekujący nadejścia procesji; przez moment chociażby chciał się bronić przeciw poczuciu czczej rzeczywistości.

Potem odwrócił się i przeszedł przez dziedziniec zamku, aby jeszcze przez wolne od tłumów ulice zdążyć na Tuńską.

Gdy skręcał obok parlamentu, ku zdumieniu zobaczył z daleka, że szeroka brama pałacu Wallensteina stoi na oścież otwarta.

Pośpieszył ku niej, aby popatrzeć w posępny ogród, rzucić okiem na cudowną halę renesansową i historyczną grootę, która się za nią znajdowała. Grota wryła się w jego duszę niezatartym wspomnieniem jeszcze w czasach dzieciństwa, gdy pozwolono mu raz jeden popatrzeć z bliska na wszystkie cuda minionej dawno przeszłości.

Lokaje w liberiach wyszywanych srebrem, z przystrzyżonymi bokobrodami, bez wąsów, w milczeniu wyciągali na ulicę wypchanego konia, na którym niegdyś jeździł Wallenstein.

Poznał konia po purpurowym czapraku i po dzikich żółtych oczach szklanych; przypomniał sobie nagle, że te oczy prześladowały go jako zagadkowa wróżba już w dzieciństwie, podczas snów niejednej nocy.

Teraz koń stał przed nim w czerwonożółtych promieniach zachodzącego słońca, z nogami przyśrubowanymi do ciemnozielonej deski, jak olbrzymia zabawka z krainy marzeń, przerzucona w wiek wyzuty z fantazji, przytępionymi zmysłami chwytający najstraszniejszą ze wszystkich wojen, wojnę maszyn-demonów przeciw człowiekowi, wobec której bitwy Wallensteina są czymś w rodzaju błazeńskiej bijatyki w szynku.

Jak przedtem — w obliczu procesji — podobnie teraz na widok konia bez jeźdźca, który zdawał się czekać, aż jakiś nowy, nieustępliwy pogromca wskoczy na jego siodło, po młodym muzyku przebiegł zimny dreszcz.

Nie słyszał wcale czyichś lekceważących słów, że skórę zjadły mole; pytanie lokaja proponującego mu z ironicznym uśmiechem: — może pan raczy dosiąść rumaka, panie marszałku? — poruszyło go do głębi. Włosy stanęły mu dębem; miał wrażenie, że to władczy głos jego przeznaczenia odzywa się z głębin prabytu.

— Już jesteś wariatem, mój chłopcze, tylko nie wiesz o tym — mówiła stara przed godziną, ale przecież powiedziała w końcu: — może zresztą świat należy do wariatów?

Czuł, że serce mu bije w dzikim podnieceniu: odrywając się od widziadeł, które wysnuwały pod jego czaszką zwoje mózgu, pobiegł w kierunku ulicy Tuńskiej.

Stara hrabina Zahradka zwykle przenosiła się z nadejściem wiosny do małego, ciemnego pałacu siostry, zmarłej hrabiny Morżin. Na pokoje pałacu nigdy nie padał choćby najskąpszy promień światła; hrabina nienawidziła słońca i wiosny z jej ciepłym, musującym oddechem, z radosnymi, przybranymi odświeżeniami ludźmi.

W tym czasie własny jej dom, wznoszący się nie opodal klasztoru Premonstratów w najwyższym punkcie miasta, spał snem głębokim, z okiennicami szczelnie pozamykanymi.

Student wszedł na górę po wąskich schodach ceglanych; kończyły się chłodnym, skromnym korytarzem o marmurowej posadzce, z którego prowadziły drzwi do poszczególnych pokoi.

Nie wiadomo skąd wzięło się podanie, że w gołym domu, zbudowanym na podobieństwo gmachu urzędowego, ukryty jest skarb ogromny i że w tym domu straszy; można by przypuścić, że puścił je w obieg jakiś dowcipniś, aby tym silniej podkreślić jaskrawy kontrast z romantyzmem, wyciśnięty w każdym kamieniu.

W jednej chwili student wyzwolił się zupełnie z wszelkich fantastycznych rozmyślań. Poczuł się tak wyraźnie pozbawiony środków, nieznanym nikim, którym był w istocie, że mimo woli, zanim jeszcze do drzwi zapukał i otworzyć je zdążył, złożył głęboki ukłon.

Hrabina Zahradka oczekiwała go, siedząc w fotelu zaszytym w szary pokrowiec. Pokój sprawiał ogromnie niemiłe wrażenie. Stary komin, sofya, komody, krzesła, kandelabr wenecki na sto świec, biusty z brązu, zbroja rycerska — wszystko było zakrywane jak na licytacji; nawet nad wielką galerią miniatur zakrywających ściany wisiąły zasłony z gazy; student przypomniał sobie, że gdy jako dziecko jeszcze zapytał o powody tak

dziwnego środka ochronnego, hrabina odpowiedziała: to osłona od much. — A może przyśniło mu się tylko? Bywał tu tyle, tyle razy, a nie mógł sobie przypomnieć, aby przynajmniej raz widział choćby jedną muchę.

Często łamał sobie głowę nad tym, co się dzieje za ponurymi szybami okien, przed którymi siedzi stara pani; czy wychodzą na podwórze, czy na ogród, czy na ulicę. Nigdy nic miał odwagi przekonać się o tym. Przecież musiałby przejść obok hrabiny, a już sama myśl o tym wydała mu się nie do pojęcia.

Wrażenie, które pokój ten budził, zawsze jednakowe, nie mogło zrodzić w nim żadnych nowych odruchów. Skoro tylko przestępował próg, natychmiast powracał w myśli do tej godziny, w której musiał złożyć w pałacu pierwszą wizytę. Zdawało mu się, że całą jego istotę również obszywają pokrowce i przesćieradła dla ochrony przed muchami, których wcale nie ma.

Jedynym przedmiotem odsłoniętym, przynajmniej częściowo, był portret naturalnej wielkości, wiszący wśród miniatur. W szarym pokrowcu wycięto dziurę; patrzyła z niego wydłużona twarz zmarłego małżonka starej damy, byłego marszałka dworu, o czasce łysej, podobnej do gruszki, o niebieskich, wodnistych, bezbarwnych oczach rybich, patrzących w pustkę. Opowiadał mu ktoś, tylko już dawno zapomniał kto, słowa jednak dobrze pamiętał, że hrabia był człowiekiem niezwykle okrutnym i bezlitośnie twardym, bezwzględny nie tylko dla otoczenia, lecz i dla siebie samego. Jako chłopak przebił sobie podobno dla zabicia czasu gołą stopę gwoździem żalaznym...

W domu była ogromna ilość starych kotów, które poruszały się bardzo wolno.

Student często widywał w korytarzu całe ich tuziny. Snuły się tam i z powrotem cicho i szaro, jak świadkowie w sądzie, czekający na zawezwanie. Nigdy jednak nie przystępowały progu pokoju, a gdy który z nich przesunął czasami głowę przez drzwi, cofał ją natychmiast, jakby przepraszając, że chciał uprzedzić chwilę, w której mają go wywołać.

Hrabina Zahradka traktowała studenta w zupełnie swoisty sposób.

Chwilami szło od niej ku niemu coś, co go dotykało jak czuła miłość matki, lecz trwało to zawsze tylko kilka sekund — w następnym momencie czuł już falę lodowatego lekceważenia, graniczącego z nienawiścią.

Skąd to pochodziło, nie potrafił sobie nigdy uświadomić. Miał wrażenie, że wyrosło to z jej całej istoty; a może było to dziedzictwo prastarych rodów czeskich, przyzwyczajonych od stuleci do tego, aby je otaczała powolna i pokorna służba...

Miłość jej — jeżeli w ogóle o miłości można mówić — nie przejawiała się nigdy w słowach. Natomiast częstokroć dosadnie występowała pycha nieomal przerażająca, jeżeli nie w samej treści wypowiedzianych słów, to w ostrym ich tonie.

W dzień konfirmacji musiał jej coś zagrać na dziecięcych skrzypcach; była to czeska piosenka ludowa:

*Andulko, mé dítě,
já vás mám rád.*

Później grywał przed nią szlachetniejsze melodie, a w miarę jak doskonalił się, jak ręka jego stawała się pewniejsza, pieśni kościelne i miłosne, nawet sonaty Beethovena, nigdy jednak nie mógł dojrzeć na jej twarzy wyrazu zadowolenia czy nagany, bez względu na to, czy grał dobrze, czy źle.

Do dzisiejszego dnia nie wiedział, czy hrabina umie ocenić jego sztukę.

Chwilami próbował trafić do jej serca przez własne improwizacje. Ze zmieniającego się szybko fluidu, który szedł od niej, starał się wyczuć, czy tony znalazły wierny oddźwięk w jej duszy. Często jednak wyczuwał przy najmniejszym dysonansie coś jakby miłość, przy wydobywaniu zaś najczystszych tonów — nienawiść.

Może pochodziło to z bezgranicznej pychy krwi błękitnej, która w doskonałości jego popisów wyczuwała atak na przywileje swej rasy i wybuchała nienawiścią, może przyczyną był instynkt Słowianki, która kocha tylko to, co słabe i mizerne, może wresz-

cie była to zwyczajna gra przypadku, w każdym razie istniała między hrabiną a nim jakaś granica nie do przekroczenia. Zrezygnował bardzo prędko z usunięcia jej, tak samo, jak nie przychodziło mu na myśl podejść do okien i wyrzeć przez nie.

— No więc, panie Vondrejce, niechże pan gra — rzekła hrabina codziennym, jałowym tonem, gdy po złożeniu niemego, pełnego czci ukłonu otworzył pudło i wyjął z niego skrzypce i smyczek.

Bardziej dziś daleki niż kiedykolwiek, może wskutek kontrastu między wrażeniami z pałacu Wallensteina a szarym pokojem terażniejszości, będącym dla niego nieruchomą przeszłością, wybrał bezwiednie piosenkę z czasów konfirmacji, naiwną sentymentalną: *Andulko...*; gdy zagrał kilka pierwszych taktów, ogarnęło go przerażenie. Ale hrabina nie wyglądała ani na zdziwioną, ani na zirytowaną; patrzyła w próżnię, jak portret jej męża.

Stopniowo przeszedł do wariacji na temat rozpoczętej melodii.

Zawsze dawał się ponosić własnej grze, którą śledził później jak zdumiony słuchacz. Wydawało mu się wtedy, że ktoś inny, a nie on sam jest skrzypkami, ktoś, kto w nim tkwi, kto nie jest jednak nim samym, o kim nic nie wie, kto nie ma ani kształtu, ani postaci.

Wędrował wtedy w duchu po obcych, wyśnionych miejscach, schodził do czasów, nigdy wzrokiem ludzkim nie oglądanych, wyciągał dziecięce skarby z dalekich głębi, aż znikwały otaczające go ściany i przenosił się w nowy, ustawicznie zmienny świat barw i tonów.

Bywało wtedy, że ponure okna stawały się dla niego przezrocyste jak kryształ, że wyczuwał za nimi przecudowny, pełen przedziwnej wspaniałości świat czarów, powietrze pełne białych lśniących nietoperzy, w którym śnieg pada pośród pełnego lata. Zdarzało się, że widział w takich chwilach siebie idącego cienistą aleją jaśminową, w miłosnym szale tulącego do ramienia ramię młodej kobiety, ubranej w strój ślubny, która duszę jego i

przepaja zapachem swojej płci. Wtedy szara zasłona, wznosząca się nad portretem zmarłego marszałka dworu, zmieniała się zawsze w morze jasno popielatych włosów kobiecych; patrzyła spod nich na niego twarzyczka dziewczęca o czarnych oczach i ustach pół otwartych, ubrana w letni kapelusz słomkowy z bladoniebieską wstążką. Ilekroć zjawiały się przed nim te rysy, które bezustannie jak własne serce wyczuwał we śnie, na jawie i w marzeniu, zdawało i mu się, że „ten drugi” stanął przed nim na tajemniczy „jej” rozkaz. Gra nabierała wtedy dzikiego, bezcielesnego okrucieństwa.

Nagle otworzyły się drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju; weszła przez nie cicho młoda dziewczyna, o której myślał.

Twarz miała podobną do portretu damy z czasów rokoka, który wisiał w pałacu Elsenwangerów; była równie młoda i piękna jak tamta. Zza drzwi ukazała się na moment cała masa kotów.

Student popatrzył na nią z tak oczywistym spokojem, jak gdyby była tu zawsze. — Dlaczego miał się dziwić — wyszła tylko z i niego i stanęła przed nim.

Grał bez ustanku, pogrążony w marzeniach, nieprzytomny. Zdawało mu się, że stoi razem z nią w krypcie kościoła świętego Jerzego, wtulony w głębokie ciemności; światło padające od świecy, którą trzymał jakiś mnich, oświetlało rzeźbę naturalnej wielkości, wykutą z marmuru. Była to postać umarłej, zniszczona, wynędzniała, z łachmanami dokoła piersi, o wyschniętych oczach. Pod żebrami, w okropnie rozdartym ciele widać było zamiast dziecka zwiniętą żmiję, o głowie ohydnej, płaskiej, trójkątnej.

Tony skrzypiec wyrodziły się w słowa monotonne i upiorne, jak litania, wypowiedane przez mnicha do tych, którzy odwiedzali kryptę:

„Przed wieloma setkami lat mieszkał w Pradze rzeźbiarz, który trwał z ukochaną w karygodnym związku. Gdy zaszła w ciążę, przestał jej ufać, przekonany, że go zdradziła z innym. Uduślił ją więc i wrzucił do Jeleniego Rowu. Tam pożarły ją robaki, a

gdy trupa znaleziono, natrafiono na ślad mordercy i zamknięto go wraz z trupem do krypty. Tu zmuszono rzeźbiarza, by za odkupienie grzechów wykuł jej obraz w kamieniu, zanim go złączą łamać kołem...”

Ottokar zachnął się gwałtownie, palce wodzące smyczek znieruchomiały. Wróciła świadomość rzeczywistości, przytomnymi oczami ujrzał nagle młodą dziewczynę, stojącą za fotelem hrabiny i uśmiechającą się doń.

Niezdolny do żadnego ruchu, jakby skamieniały, trzymał smyczek na strunach.

Hrabina wzięła lorgnon i wolno odwróciła głowę.

— Niechaj Ottokar gra dalej, to tylko moja siostrzenica... Niech mi Poliksena nie przeszkadza.

Student nie ruszał się, tylko ramię opadło mu bezwładnie, jakby pod wpływem skurczu serca.

Przez jakąś minutę panowała w pokoju bezdźwięczna cisza.

— Dlaczego nie gra dalej? — rzekła hrabina ze złością.

Ottokar opamiętał się; nie wiedział, jak ma ukryć przed nią drżenie rąk. Wreszcie skrzypce załkały cicho i nieśmiało:

*Andulko,
mé ditê,
já vás mám rád.*

Melodia umilkła pod wpływem podobnego do gruchania śmiechu młodej damy.

— Niech nam pan powie lepiej, panie Ottokarze, co za cudowną pieśń pan grał przedtem? Czy była to fantazja? — Pod — jej — wpływem...

Poliksena robiła po każdym słowie znaczącą pauzę i ze spuszczoneymi powiekami, niby zamyślona, bawiła się frędzlami fotela.

— Pod — jej — wpływem — musiałam — myśleć — o — krypcie — w kościele Jerzego, — panie — panie — Ottokarze.

Hrabinę przejęło ledwie dostrzegalne drżenie. W tonie, jakim siostrzenica wymawiała słowo Ottokar, było coś, co ją wprawiało w zdumienie.

Student wyjąkał kilka zażenowanych słów. Patrzyły na niego badawczo dwie pary oczu. Jedna była pełna pożerającej namiętności, przeplatającej mu mózg — druga, przesywająca, ostra jak nóż, promieniowała niedowierzaniem i nienawiścią. Nie wiedział, w którą z tych par oczu patrzeć, aby drugiej nie obrazić, albo też nie zdradzić się z tym, co czuje.

— Grać, tylko grać! Szybko, szybko — wołał w nim jakiś głos. Dotknął strun smyczkiem...

Pod wpływem lęku pot wystąpił mu na czoło.

— Na miłość boską, żeby tylko znowu nie to przeklęte „*Andulko, mé ditê*”.

Ku swemu przerażeniu poczuł przy pierwszym pociągnięciu smyczka, że nie będzie mógł obronić się przed tą melodią. — Pociemniało mu w oczach. — Nagle rozległy się z ulicy tony katarzynki: Z nieprzytomnym pośpiechem zaczął grać z nią razem ośpiewaną piosenkę:

*Blade dziewczęta,
Nie żeńcie się,
tylko czerwone jak róże
Pieścić się winny z chłopcami,
Im nie zaszkodzi to, — nie.*

Nie mógł grać dalej. Nienawiść, zionąca z hrabiny, po prostu wrywała mu z rąk skrzypce.

Jakby zza mglistego welonu zobaczył, że Poliksena podeszła do zegara stojącego koło drzwi, odsunęła na bok okrywający go pokrowiec i przesunęła nieruchomą wskazówkę na liczbę VIII. Zrozumiał, że ma to być godzina spotkania, lecz radość zlodowaciała w męce dławiącego przerażenia na myśl, że hrabina przejrzała wszystko.

Widział, jak chude jej, długie starcze palce szukają czegoś nerwowo w torebce na włóczkę, umieszczonej obok fotela. Przechował, że lada chwila upokorzy go nieludzko — czymś tak straszliwym, co przechodzić będzie jego wyobraźnię.

— Grał — pan — dziś — cudownie — Vondrej — rzekła hrabina, cedząc słowo za słowem; wyciągnęła z torebki dwa zmięte banknoty i, podając mu je, rzekła:

— Ma pan — napiwek. Proszę też sobie kupić na mój rachunek — parę — lepszych — spodni na następną wizytę. Te są zbyt poplamione.

Student poczuł, że serce mu bić przestaje z bezgranicznego wstydu.

Ostatnią jasno określoną myślą było: wziąć pieniądze, aby się wszystko nie wydało. Potem cały spokój rozplynał się w jedną szarą masę. Była nią Poliksena, zegar, twarz zmarłego marszałka dworu, zbroja, fotel. Tylko ponure okna odcinały się roześmianą białością czworoboków.

Poczuł, że hrabina zaciągnęła wokoło niego szary pokrowiec, „dla ochrony przed muchami”, i że pokrowca tego nie będzie się mógł pozbyć aż do śmierci.

Gdy się znalazł na ulicy, zapomniał zupełnie, w jaki sposób zszedł po schodach. A może w ogóle nie był nigdy tam w pokoju na górze? Pałaca wewnątrz rana mówiła mu, że jednak to być musiało. Zresztą trzymał jeszcze pieniądze w ręce.

Bezmyślnie schował je do kieszeni.

Po chwili przypomniał sobie, że Poliksena przyjdzie o 8-mej. — Zegar na wieży wybił kwadrans. Jakiś pies zaczął szczekać na niego; podziałało to jak uderzenie bata: a więc wygląda naprawdę tak nędznie, że psy bogaczy szczekają na jego widok?

Zacisnął zęby, jakby w ten sposób można poskromić myśli, i pognął ku swemu mieszkaniu. Kolana drżały mu po drodze. Na najbliższym rogu zatrzymał się.

— Nie, nie do domu, odejść stąd, opuścić Pragę — uczucie wstydu spalało go wprost.

— Najlepiej rzucić się do wody.

Błyskawicznym odruchem młodości chciał biec ku Mołdawie, ale tkwiący w nim „ten drugi” obezwładnił mu nogi, zaczął kłamać, że zdradzi Poliksenę, jeśli się utopi; zamilczał przy tym podstępnie, iż jest tylko pędem ku życiu, wstrzymującym od samobójstwa.

— Boże, Boże, jakże jej spojrzę w oczy, gdy przyjdzie — wyło w nim wszystko.

— Nie, nie przyjdzie — starał się uspokoić — nie może przecież przyjść — wszystko skończone.

Ból kąsał go w piersi coraz mocniej.

— Jeżeli nie przyjdzie, jeżeli nie przyjdzie już nigdy, jakże dalej żyć będzie bez niej!

W świadomości, że ostatnia godzina będzie okropnym, nieskończonym liczeniem minut, wszedł przez czarnożółtą bramę na dziedziniec Daliborki. Jeżeli Poliksena przyjdzie — zapadnie się w ziemię ze wstydu: jeżeli nie przyjdzie — noc ta stanie się nocą obłędu.

Z przerażeniem patrzył na Wieżę Głodową wznoszącą się nad Jelenim Rowem jak okrągły biały kapelusz nad gruzami murów. Wieża żyje jeszcze ciągle — uświadomił sobie ponuro — tyle ofiar oszalało już w jej kamiennym brzuchu, a ciągle nienasycony jest moloch. Po stuletnim śnie zbudził się znowu.

Pierwszy raz od czasu młodości ujrzał ją przed sobą nie jako dzieło rąk ludzkich, ale jako potwora z granitu o okropnych wnętrznościach, które trawia mięso i krew, podobnie jak wnętrzności drapieżnych zwierząt nocnych. Posiada trzy piętra przedzielone poziomymi płaszczyznami; otwór w środku przypomina przewód pokarmowy, prowadzący od gardzieli aż do brzucha. Na najwyższym piętrze długie lata więzienne okropnym ciężarem uciskały skazańców wśród straszliwych ciemności; na sznurach spuszczano ich na środkowe piętro, gdzie ich pojono wodą z dzbanuszką i karmiono kawałkiem chleba, o ile przedtem pod wpływem zapachu zgnilizny, idącego z głębi, nie stracili zmysłów lub nie rzucili się sami na miejsce, gdzie leżały gnijące trupy ich poprzedników.

Chociaż w podwórzu otoczonym lipami osiadła chłodnawa wilgoć wieczoru, okno stróżówki było jeszcze ciągle otwarte.

Ottokar usiadł cicho na ławce, aby nie przeszkadzać starej, chorej matce, która, jak przypuszczał, spała w swym łóżku. Zanim nadejdzie dręcząca męka oczekiwania, chciał na chwilę wyrwać z mózgu to, co się stało; był to dziecinny wysiłek młodzieńca, który przypuszcza, że można przechytrzyć swe serce...

Opadła go nagle słabość. Całą siłą musiał się opanować, by nie wybuchnąć łkaniem, które się cisnęło do gardła.

Do uszu jego dotarł bezdźwięczny, jakby zamknięty w skrzyni głos z wnętrza pokoju:

— Czy to ty, Ottokarze?

— Tak, matko, to ja.

— Nie chcesz wejść do pokoju, zjeść co?

— Nie matko, nie jestem głodny, już jadłem.

Głos matki zamilkł na chwilę.

W pokoju zegar cicho, metalicznie wybił na siódmą i pół.

Student zagryzł wargi i załamał ręce:

— Co robić teraz, co robić?

Znowu rozległ się głos:

— Ottokarze!

Nie odpowiadał.

— Ottokarze, czy to ty?

— Tak, matko.

— Dlaczego — dlaczego płaczesz?

Udał, że się śmieje.

— Ja? Cóż ci przyszło do głowy, matko. — Nie płaczę wcale — dlaczegóż miałbym płakać?

Głos matki zamilkł w niedowierzaniu.

Student podniósł głowę od zasłanej cieniami ziemi.

— Gdyby dzwony chciały wreszcie uderzyć i przerwać tę ciszę śmiertelną...

Patrzył w purpurowy pas na niebie. Czując, że musi coś powiedzieć, zapytał:

— Czy ojciec w domu?

— Nie, w gospodzie — zabrzmiała po chwili odpowiedź.

Wstał szybkim ruchem i rzekł:

— W takim razie i ja pójdę tam na godzinę. — Dobranoc, matko. Chwycił za pudło od skrzypiec, spojrzął na wieżę.

— Ottokarze!

— Co? Czy mam zamknąć okno?

— Ottokarze, — Ottokarze, przecież wiem, że nie idziesz do gospody. Idziesz do wieży, nieprawdaż?

— Tak — później. Tam się najlepiej ćwicz. Dobran...

— Czy dziś znowu przyjdzie do wieży?

— Bożena? Kto wie, może... Przychodzi czasami, gdy ma czas. Wtedy gawędzimy nieco... Czy mam... czy mam powiedzieć coś ojcu?

Głos matki jeszcze bardziej posmutniał:

— Przypuszczasz więc, że nie wiem, iż to nie Bożena? Poznają po krokach. Tak prędko i lekko nie chodzi nikt, kto ciężko w dzień pracuje.

— Znowu mówisz o tym, matko, rzekł, usiłując się uśmiechnąć.

— Masz rację, Ottokarze — zamknij okna — już milczę. Tak będzie lepiej — nie będę słyszała tych okropnych pieśni, które grasz zawsze, gdy jest u ciebie... Chciałabym bardzo pomóc ci, Ottokarze.

Student zatkał uszy rękami, porwał z ławki skrzypce, pośpieszył ku furtce w murze i po zniszczonych schodach wbiegł na najwyższe piętro wieży.

Obok półokrągłego miejsca, w którym stanął, znajdowała się wąska framuga okienna, coś w rodzaju powiększonej strzelnicy, wychodząca na południe; widać z niej było sylwetkę katedry.

Dla tych, którzy w dzień zwiedzali Daliborkę, umieszczono tu kilka zwyczajnych drewnianych krzeseł, stół z karafką wody i starą, zniszczoną otomanę. Przedmioty te w półmroku wyglądały jak zrosnięte z posadzką i murami. Małe, żelazne drzwi z krucyfiksem prowadziły do celi, w której dwieście lat temu więziono prababkę hrabianki Polikseny. Otruła swego męża; zanim zmarła

od obłądu, przegryzła sobie zębami arterie rąk i krwią namalowała na ścianie jego portret. Za celą leżała komnata, zaledwie na sześć kroków szeroka; pewien więzień wydrążył tu w murze kawałkiem żelaza otwór tak głęboki, że mógł się w nim zmieścić skulony człowiek. Pracował nad tym otworem trzydzieści lat; jeszcze kilka centymetrów, a byłby go przebił tak daleko, że mógłby rzucić się do Jeleniego Rowu.

Odkryto zamysły jego w porę i oddano go na pastwę śmierci głodowej we wnętrzu wieży...

Ottokar chodził niespokojnie tam i z powrotem, siadał we framudze okna, zrywał się znowu. Jednej chwili był pewien, że Poliksena przyjdzie, drugiej wierzył święcie, że nigdy jej więcej nie zobaczy. Obydwie możliwości wydawały mu się równie straszliwe.

Były równocześnie nadzieją i lękiem.

Co nocy wchłaniał w siebie przed snem obraz Polikseny, który wypełniał we śnie i na jawie całe jego życie. Gdy był sam, rozmawiał z nią głosem wewnętrznym, budował dla niej fantastyczne zamki powietrzne. W bezgranicznej, dziecinnej rozpaczy, do której tylko zdolne jest dziewiętnastoletnie serce, wyobrażał sobie przyszłość, jako „uwięzienie bez światła i powietrza”...

Myśl, że mógłby kiedyś grać znowu na swych skrzypcach, wydała mu się bezgranicznym szaleństwem... Delikatny, cichutki głos, idący z piersi, mówił mu, że wszystko będzie zupełnie, zupełnie inaczej, aniżeli przypuszcza, lecz nie słuchał go, nie chciał słuchać. Często ból nasz tak jest dojmujący, że nie chcemy wcale, by go uleczono. Pociecha, idąca nawet z własnego wnętrza, powoduje wtedy tylko to, że ból dokucza jeszcze bardziej, pali jeszcze silniej.

Wzrastająca w pustym zamknięciu ciemność, z minuty na minutę potęgowała podniecenie młodzieńca, które stawało się czymś nie do zniesienia.

Co chwilę zdawało mu się, że słyszy z zewnątrz cichy szmer; serce przestawało mu bić na myśl, że to „ona”. Liczył później se-

kundy aż do chwili, w której powinien był ją ujrzeć; myśl, że może zawrócić od progę, napełniała go nową rozpaczą.

Poznał ją dopiero przed kilkoma miesiącami. — Gdy sobie przypomniał to poznanie, miał wrażenie, że to bajka, która się stała rzeczywistością. Ujrzał ją dwa lata temu jako obraz, jako portret damy z czasów rokoko, o szaroblond włosach, o wąskich, niemal przezroczystych policzkach, o dziwnie lubieżnym i okrutnym wyrazie półotwartych warg, za którymi lśniły białą małe krwiożercze zęby. Było to w pałacu Elsenwangerów, gdzie w sali przodków wisiał portret; gdy musiał tam raz grać wieczorem przed zaproszonymi gośćmi, portret patrzył na niego ze ściany. Od tego czasu tak mocno wżarł się w jego świadomość, że widział go zawsze, ilekroć myśląc o nim, zamykał oczy. Stopniowo portret zawładnęła tęskniącą, młodą duszą, wszystkimi jej myślami do tego stopnia, że stał się dla niej żywym. Gdy Ottokar wieczorami siedział w cieniu lip na ławce i marzył o nim, czuł nieraz, że portret tuli się do piersi jak istota z krwi i ciała.

Później dowiedział się, że był to portret niejakiej hrabiny Lambua, której również było na imię Poliksena.

Wkładał od tego dnia w to imię całe piękno, całą rozkosz, przepych, szczęście i szal zmysłów, wyczarowane w młodzieńczej fantazji. W końcu stało się ono zaklęciem. Gdy je wypowiadał szeptem, odczuwał natychmiast, jak ostrą, przejmującą pieśczętą bliskość tej, która je nosiła.

Mimo młodych lat i nie naruszonego dotychczas stanu zdrowia, czuł doskonale, że cierpienie serca, które wystąpiło nagle, jest nieuleczalne i że umrze na pewno w kwiecie wieku. Myślał jednak o tym zawsze jako o przedsmaku słodczy, nigdy ze smutkiem.

Dziwne, obce otoczenie Wieży Głodowej, ponure podania i bajki, odnoszące się do niej, obudziły w nim już w dzieciństwie pociąg do myśli o zamkach powietrznych; nędzne, przygniatające ciasne życie zewnętrzne przeciwstawiało się temu pociągowi jako coś wrogiego, jako symbol więzienia. Nigdy nie wpadło mu

do głowy, aby to, o czym marzył, co wyczuwał tęsknotą, wciągnąć w krąg przyziemnej rzeczywistości. Nie snuł planów na przyszłość. Nie obcował zupełnie z kolegami; Daliborka z samotnym dziedzicem, oboje małomówni przybrani rodzice i stary nauczyciel, który kierował jego wychowaniem aż do młodzieńczych lat, gdyż opiekunka jego, hrabina Zahradka, nie chciała, aby chodził do szkoły — oto pierwsze i przez długi czas jedyne wrażenia Ottokara.

Zewnętrzny brak troski, odgrodenie się od świata małych ambicji, od polowań na powodzenie, zapędziłyby go przedwcześnie do szeregu tak licznych na Hradczynie dziwaków, którzy nie tknięci biegiem pulsującego czasu, prowadzą życie beczynne, poświęcone rozmyślaniom nad sobą, gdyby pewnego dnia nie nastąpiło zdarzenie, które duszę jego przeorało do głębi, zdarzenie tak upiorne i tak rzeczywiste zarazem, że rozbiło jednym uderzeniem mur między światem wewnętrznym i zewnętrznym i zrobiło z niego człowieka, który w chwilach ekstazy mógł realizować najbardziej nieprawdopodobne koncepcje mózgu. Zdarzenie było następujące:

Siedział w katedrze wśród kobiet nabożnie przesuwających różaniec; odchodziły i przychodziły; zapatrzony w tabernakulum, on ich nie widział. Nagle poczuł, że kościół jest pusty i że obok siedzi — portret Polikseny, dokładnie ten sam, o którym śnił zawsze.

W tym momencie znalazł pomost nad przepaścią dzielącą marzenie od rzeczywistości. Trwało to sekundę, w następnej już wiedział, że siedzi obok niego żywa, młoda dziewczyna. Ta krótka sekunda wystarczyła, aby uruchomić tajemniczy mechanizm losu, konieczny po to, by życie człowieka wyrwać z określonej drogi rozważnych wniosków rozumowych i rzucić je w nieskończone obszary, gdzie wiara może góry przenosić.

W obłądnym uniesieniu i zachwycie jak ktoś, kto nagle stanął twarzą w twarz przed bogiem swej tęsknoty, padł z otwartymi ramionami przed ucieleśnionym obrazem marzeń na ziemię, zaczął wołać jej imię, objął kolana, całował ręce i nogi. W powodzi

rwących słów opowiedział, czym jest dla niego. Powiedział również, że zna ją od dawna, choć jej nigdy nie oglądał żywej.

Już w kościele, wśród złoconych postaci świętych, ogarnęła oboje dzika, nieziemska miłość. Było to coś w rodzaju diabelskiego huraganu, który nagle zbudził się z upiornych oparów przodków, od stuleci skamieniałych w portrety.

Młoda dziewczyna, przed chwilą nie tknięta jeszcze i spokojna, zmieniła się, opuszczając kościół, w duchowy konterfekt swej prababki, która również nosiła imię „Poliksena” i teraz jako portret żyła w pałacu barona Elsenwagera. Był to jakiś cud sataniczny. Od tego czasu spotykali się, nie umawiając się nawet, gdy tylko trafiała się sposobność. Znajdowali się dzięki magicznej sile namiętności, instynktownie, jak nieme zwierzęta podczas rui, które mogą wcale się nie porozumiewać, gdyż znają głos swojej krwi.

Żadnego z nich nie dziwiło nigdy, gdy przypadek krzyżował ich drogi właśnie w tej godzinie, w której się najgwałtowniej pożądali. Gdy zamiast obrazu, który nosił w piersi, stawała — jak się to właśnie przed godziną wydarzyło — żywa przed jego oczyma, pojmował, że jest to ciągle, niemal z konieczności oparte odnawianie się cudu.

Usłyszał — tym razem nieomylnie — kroki zbliżające się do wieży; męka ustąpiła, pozostawiając wspomnienie dawno przeżytego bólu.

Ilekcio trzymał ją w ramionach, nie wiedział nigdy, czy jak zjawia przybyła przez mury, czy też weszła przez drzwi.

Była przy nim — oto co jedynie rozumiał. Co było przedtem, ginęło z błyskawiczną szybkością w otchłani przeszłości, za nim miało czas się dokonać.

Tak samo stało się i teraz.

Rzuciła na ziemię swój kapelusz słomkowy, przybrany jasnoniebieską wstążką. — Po chwili znikło wszystko: biel odzienia leżała na stole, na krzesłach; poczuł upalność ciała, ukąszenie zębów w szyję, usłyszał jęk lubieżny... Wszystko stało się prędzej,

aniżeli mógł zrozumieć, składało się z obrazów pędzących błyskawicznie jeden za drugim; każdy z nich bardziej oszałamiał od poprzedniego. Upojenie zmysłów, nie mieszczące się w pojęciu czasu...

Czy żądała, aby zagrał na skrzypcach?

Nie wiedział, nie pamiętał, aby o tym mówiła. Wiedział tylko, że stoi przed nią, że lędźwie jego otoczyła ramieniem, czuł, że śmierć krew mu z żył wysysa, że włosy ma w nieładzie, że mu zimno i że kolana uginają się pod nim. Nie mógł o niczym myśleć, miał wrażenie, że pada w tył. Zdawało mu się, że się budzi w tejże chwili, że Poliksena trzyma go. Usłyszał pieśń jakąś płynącą ze strun poruszanych zapewne jego smyczkiem i jego ręką, pieśń idącą z niej, z jej duszy, a nie z duszy jego — pieśń, w której była i lubieżność, i rozpacz, i przerażenie.

W półomdleniu, bezbronny, zaczął nasłuchiwać, co opowiadają tony skrzypiec; przesuwały się przed nim wizje, które rozsnuwała Poliksena, by zwiększyć jeszcze stopień szaleństwa. Czuł, że myśli jej przenoszą się w jego mózg, że ożywają, zobaczył je w formie wykręconych liter na tablicy kamiennej. Była to stara kronika o powstaniu obrazu *Przeszyty włócznie*, wypisana w „małej kaplicy” w Hradczynie na pamiątkę straszliwej śmierci tego, który się odważył sięgnąć po koronę Czech:

Rycerz imieniem Borivoj Chlavec na pal był wbity, aliści pal ów bokiem mu wypełził, głowie żadnego uszczerbku nie czyniąc. Modlił się rycerz zbożnie do wieczora. A kiedy noc zapadła, zламаł pal, który zeń wystawał, i z tym ułamkiem pala przywłókł się aż na Hradczyn, gdzie zległ na gnojowisku. Rankiem wstał, wszedł do domostwa obok kościoła Świętego Benedykta, księdzu z plebanii zamkowej wzywał i Żarliwie z grzechów swoich przed Bogiem się spowiadał, mówiąc, że nijak mu umierać bez spowiedzi i świętych sakramentów, jak Kościół święty żąda.

Dzień w dzień odmawiając na chwałę Pana Najwyższego Ave Maria, a na chwałę Najświętszej Panny pacierz krótki, utwierdził się w duchu swoim, że za tej modlitwy i orędownictwa Matki Bożej

sprawą nie dokona żywota bez namaszczeń ostatnich. Rzekł ksiądz: Zmów tę modlitwę. Rycerz począł w te słowa: „Panie miłościwy, proszę. Ciebie, zwól męczennicy Twojej, świętej Barbary, wstawić się za mną u Twego Tronu, iżbym opatrzył się przed zgonem chlebem Bożym, zwól, iżby chroniła mnie od wrogów wszystkich, widzialnych jako i niewidzialnych, od duchów złych, abym wreszcie doznał żywota wiecznego przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, Odkupiciela i Zbawiciela. Amen”. Ksiądz go namaścił. Rycerz dnia tegoż ducha wyzionął. Śród lamentu a żałów ludu przy kościele Świętego Benedykta pogrzeban.

Poliksena odeszła; wśród lśniących gwiazd głębokiej nocy wieża wyglądała martwo i szaro. Ale w kamiennej jej piersi biło małe drobne serce ludzkie, które poprzysięgło sobie nie spocząć, nie odetchnąć, raczej znieść tysiąckrotne męki na palu aniżeli umrzeć, zanim ukochana nie otrzyma tego, co wola ludzka zdobyć potrafi.

W Lustrze

Pan medyk nadworny nie mógł przez cały tydzień zapanować nad uczuciem gniewu, które go ogarnęło. Wizyta u Elżbietki źle go usposobiła i, co najgorsza, nie mógł pozbyć się wspomnienia, że ją kiedyś kochał.

Kładł to na karb łagodnego powietrza majowego, które w tym roku było jeszcze bardziej odurzające niż zwykle. Daremnie spoglądał każdego ranka w niebo, aby dojrzeć jakąś chmurę, która by ostudziła żar starczej krwi...

— A może gulasz w gospodzie „Schnell” jest za pieprzny? — pytał siebie samego, gdy, leżąc wieczorem w łóżku, nie mógł zasnąć wbrew zwyczajowi i musiał często zapalać świecę, by wyraźnie obejrzeć firankę przy oknie, która przy blasku księżycy stroiła upiorne grymasy.

Chcąc myśli skierować gdzie indziej, wpadł na dziwaczny pomysł zaabonowania dziennika. Pogorszyło to jeszcze sprawę, ilekroć bowiem zajął się jakimś artykułem, oko natrafiało na całe szpalty pustych plam, które nie ustępowały nawet wtedy, gdy nakładał podwójne okulary.

Z początku uważał, ku swemu przerażeniu, to smutne zjawisko na chorobę wzroku, która mieć może przyczynę w rozwijającej się chorobie mózgu; dopiero gospodyni zapewniła go uroczyście, że również widzi te same plamy. Zrozumiał teraz, iż chodzi tu o zabieg cenzury, która tą drogą chroni czytelnika od fałszywych poglądów.

A jednak białe plamy pośród pachnących karbolem czcionek drukarskich zawierały dla niego ciągle jakiś pierwiastek niepokoju. Właśnie dlatego, iż uświadamiał sobie, że bierze gazetę do ręki tylko po to, aby nie myśleć o m ł o d e j Elżbietce z dawnych czasów, ustawicznie obawiał się, przerzucając strony, aby następna nie okazała się pusta i aby, zamiast patetycznych słów artykułu wstępnego, nie pojawiły się na papierze potworne rysy Elżbietki, niby coś w rodzaju osadu własnych trosk duchowych.

Do teleskopu nie miał odwagi podejść. Na samo wspomnienie, jak stara wyszczerzyła do niego zęby w soczewce, włosy mu stawały na głowie. Jeżeli mimo to patrzył przezeń czasami, aby przed sobą samym pokazać, że się nie boi, to jedynie po mocnym zaciśnięciu nienagannie białych sztucznych zębów.

Przeżycie z Zrcadlem było ciągle jeszcze głównym tematem rozważań. Mimo to ze zrozumiałych powodów odrzucał myśli odszukania go na „Nowym Świecie”.

Raz u „Schnella”, siedząc naprzeciw von Schirndinga, który właśnie zjadał wieprzowinę z chrzanem, skierował rozmowę na lunatyka. Dowiedział się z niej, że Konstanty Elsenwanger zmienił się od owej nocy nie do poznania i że nikogo nie przyjmuje; żyje w ciągłym strachu, że niewidoczny dokument, włożony przez aktora-somnambulika do szuflady, może być prawdziwy i mo-

że zawierać wydziedziczenie go *ex post* przez zmarłego brata Bogumila.

— Dlaczegoż by tak być nie mogło? — rzekł w końcu von Schirnding, niechętnie odrywając się od wieprzowiny. — Jeżeli dzieją się takie cuda, że ludzie tracą wagę pod wpływem księżycy, to dlaczegożby umarli nie mogli wydziedziczać żywych? Baron ma rację, że nie otwiera szuflady i nie zagląda do niej, przecież lepiej być głupim niż nieszczęśliwym.

Pan medyk nadworny zgodził się z tym poglądem, ale tylko z uprzejmości. Jeżeli o niego samego chodziło, nie mógł pozostawić w spokoju tej szuflady mózgu, w której leżał wypadek z Zrcadlem, przeciwnie, grzebał się w niej przy każdej sposobności.

— Muszę zajrzeć któregoś wieczora pod „Zieloną Żabę”, może go tam spotkam — postanowił sobie, gdy go myśl o Zrcadle znowu niepokoić zaczęła. — Przecież ta przeklęta wiedźma Elżbietka, o której ciągle myśleć muszę, mówiła, że się włóczy po knajpach.

Tego samego jeszcze wieczora, zanim się spać położył, postanowił wykonać swój plan; podciągnął więc rozluźnione szelki, doprowadził i w innych szczegółach toaletę do porządku i z twarzą całą w odpychających zmarszczkach (aby dalecy znajomi, których może spotkać, nie pomyśleli nic niestatecznego), udał się na plac Maltusa, gdzie otoczona pałacami i klasztorami pędziła nocny żywot „Zielona Żaba”.

Od chwili wybuchu wojny ani medyk nadworny, ani nikt z jego przyjaciół nie odwiedzał lokalu. Mimo to pokój środkowy stał pusty, jak gdyby gospodarz — stary pan w złotych okularach o poważnej twarzy notariusza, który myśli tylko o zarządzaniu pieniędzmi swych pupilów — nie miał odwagi rozporządzić się inaczej.

— Ekscelencja rozkaże? — zapytał „notariusz” z uprzejmym uśmiechem, gdy pan medyk nadworny usiadł przy stole. — Butelkę Melnikera, czerwonego, z roku 1914, nieprawdaż?

Z małą zwinnością postawił pikolo butelkę wina czerwonego z etykietą 1914; przyniósł ją już przedtem na zakomunikowany szeptem rozkaz „notariusza” i trzymał z tyłu w ukryciu. Potem „notariusz” i chłopiec, złożwszy głębokie ukłony, znikli w labiryntach „Zielonej Żaby”.

Pokój, w którym pan medyk usiadł na rogu białego nakrytego stołu, miał kształt podłużny; na prawo i na lewo prowadziły zasłonięte firankami przejścia do sąsiednich pokojów. U wejścia stało wielkie lustro, w którym można było w razie potrzeby obserwować, co się dzieje obok. Ogromna ilość obrazów malowanych olejno, przedstawiających wysokich dostojników różnych epok i lat, była dowodem, że gospodarz, pan Wacław Bzdinka, jest człowiekiem bezwzględnie lojalnym i zadawała kłam bezwstydnym plotkom pewnych indywiduów, które twierdziły, że był w młodości piratem.

„Zielona Żaba” miała pewną przeszłość historyczną, tu bowiem, jak opowiadają, wybuchła w roku 1848 rewolucja. — Czy wywołało ją kwaśne wino, które sprzedawał ówczesny gospodarz, czy też inne powody, oto kwestia i temat codziennych rozmów wieczornych przy różnych stołach.

Tym bardziej trzeba było respektować zasługi pana Wacława Bzdinki. Nie tylko dzięki swym świetnym napojom, ale również dzięki pełnemu godności wyglądowi i wielkiej powadze moralnej, z której nie zrezygnował nawet w późnych godzinach nocnych, potrafił złą markę lokalu naprawić i doprowadzić do tego, że nawet mężatki — oczywiście w towarzystwie mężów — raczyły tu czasami jadać (przynajmniej w pokojach frontowych).

Pan medyk nadworny siedział zadumany nad swą flaszką wina; w brzuchu jej palił się rubinowy płomień, wywołany refleksem lampy elektrycznej, stojącej na stole.

Ileć się spojrzał wokoło, widział w lustrze stojącym przy drzwiach drugiego medyka nadwornego. Za każdym razem myślał o tym, jakie to dziwne zjawisko, że obraz w lustrze pije lewą ręką, gdy on czyni to prawą, i o tym, że gdyby rzucił swemu sobowtó-

rowi sygnet, pierścień znalazłby się na palcu jego prawej, a nie lewej ręki.

— To dziwne odwrócenie — rzekł do siebie pan medyk — musiałoby działać na nas przerażająco, gdybyśmy od najmłodszych lat nie byli przyzwyczajeni do tego, jako do rzeczy wręcz naturalnej. — Hm. Ale gdzie w przestrzeni może się to odwrócenie odbywać. — Ściśle biorąc, w jednym, jedynym punkcie matematycznym. — Jakie to dziwne, że w takim drobnym punkcie o tyle nieskończenie więcej się dzieje aniżeli w rozległej przestrzeni...

Nie rozmyślał nad tym dalej, tknęło go bowiem nieokreślone uczucie lęku. Miał wrażenie, że, rozważając tę sprawę i rozszerzając mieszczącą się w niej zasadę na inne zagadnienia, można by dojść do konkluzji, iż człowiek jest w ogóle niezdolny do przedsięwzięcia czegokolwiek ze świadomością woli i że jest tylko bezradną maszyną, zależną od zagadkowego punktu, który zawiera jego wnętrze.

Aby nie ulec pokusie, zgasił po prostu lampę, czyniąc przez to swoje odbicie w lustrze niewidzialnym.

Teraz odbijały się w nim sąsiednie pokoje, raz prawy, raz lewy, zależnie od tego, w którą stronę przechylał się pan medyk.

Obydwa były puste.

W jednym z nich stał przybrany bogato stół i sporo krzeseł, w drugim, utrzymanym w stylu barokowym, mieściła się tylko kanapa z pękatymi poduszkami i stolik.

Niewypowiedziana melancholia ogarnęła na ten widok nadwornego medyka.

Stała przed nim ze wszystkimi szczegółami słodka godzina upojenia miłosnego, którą tu kiedyś przeżył, a którą zupełnie zapomniał z biegiem czasu. Przypomniał sobie, że zanotował to przeżycie w pamiętniku, ale dlaczego w tak krótkich, suchych słowach?

— Czy naprawdę byłem wtedy tak jałowym człowiekiem? — zapytał siebie ze smutkiem — czy też zbliżamy się dopiero wtedy do naszej duszy, im bliżsi stajemy się grobu?

Na tej kanapie młoda Elżbietka o wielkich smutnych oczach sarny została jego kochanką. Mimowolnie popatrzył w lustro, chcąc przekonać się, czy nie ma w nim jej obrazu... Ale nie, przecież nosił teraz w sobie lustro, przechowujące każdy obraz. Tamto, wiszące nad drzwiami, było tylko niewiernym, prędko zapominającym kawałkiem szkła.

Miała wtedy za paskiem kilka róż herbacianych; — nagle poczuł ich zapach, jak gdyby kwiaty stały obok. Jest coś widmowego we wspomnieniach, które ozywają. Wychodzą jakby z małego punktu, rosną, stają nagle obok, jeszcze piękniejsze, jeszcze bardziej rzeczywiste aniżeli wtedy, gdy się je przeżywało jako terażniejszość.

Gdzie chusteczka koronkowa, którą poszarpała zębami, aby nie krzyknąć w duszącym uścisku jego ramion. Były na niej litery E.K., jej monogram: Elżbietka Kossut. Należała do tuzina, który jej darował. Nagle przypomniał sobie sklep, w którym je kupił i haftować dla niej kazał.

— Dlaczego nie prosiłem, by mi ją darowała na pamiątkę? Teraz pozostała tylko pamięć o niej, a może — tu przeszedł go dreszcz — może leży gdzieś wśród jej łachmanów. A ja, ja siedzę tu w ciemnościach, sam ze swą przeszłością.

Odwrócił głowę, nie chciał patrzeć na kanapę i rzekł do siebie:

— Jakim okropnym lustrem jest ziemia; obrazom, które na wierzch wydobywa, pozwala, zanim znikną, więdnąć pomału i wstrętnie.

Ukazał się teraz pokój z suto nakrytym stołem.

„Notariusz” chodził cicho od jednego krzesła do drugiego, aby, jak malarz, sprawdzić jeszcze z rozmaitych punktów, czy wrażenie ogólne jest zadowalające; dawał chłopcu nieme znaki, gdzie należy poustawiać wiaderka do chłodzenia szampana.

Rozległy się głosy i śmiechy, wszedł szereg panów; większość ubrana była w smokingi i miała goździki w butonierce. Byli to prawie wyłącznie ludzie młodzi, z różnorodnych przyczyn zwol-

nieni z wojska lub urlopowani. Tylko jeden, bez wątpienia aranżer uczyty, miał około sześćdziesiątki. Wyglądał jowialnie, gładki brzuszek opinał długi surdut, na złotym łańcuszku pełno było breloków, spodnie miał pomięte. Reszta towarzystwa składała się z tak zwanych psów gończych.

Pikolo wziął kapelusze, laski i płaszcze gości; uginał się wprost pod tym ciężarem.

Jeden z panów włożył mu jeszcze cylinder na głowę.

Potem wszyscy usiedli przy stole i zaczęli w skupieniu studiować spis potraw.

„Notariusz” zacierał ręce z uniżoną miną, jakby wkręcając całą swą zapobiegliwą grzeczność w jakąś niewidzialną kulę.

— Ach, zupa Mockturtle — rzekł jeden z panów, wypuszczając monokl z oka. — „Moc” to szyld, „turtle” znaczy kret, dla-czegóż więc nie powiedzieć: zupa szyldkretowa? — Niechaj Bóg ukarze Anglię. — Proszę o tę świetną zupę Mockturtle.

— Moi państwo, moi państwo, be — wyszeptał jowialny starszy pan, wstał, zamknął oczy i chciał rozpocząć jakąś mowę, przy czym zaczął wyciągać z rękawów przypinane mankiety. — Moi państwo, be, be — nie mógł nic wykrztusić z siebie oprócz tego be, be, usiadł wreszcie na swym miejscu, nie załatwiwszy sprawy, ale z oznakami zadowolenia, że przynajmniej wstęp mu się udał.

W przeciągu pół godziny medyk nadworny nie usłyszał ani jednego inteligentnego słowa. Panowie byli zbyt pochłonięci spożywaniem najróżniejszych potraw. Medyk nadworny zobaczył, jak pikolo pod kierunkiem notariusza podsunął mały, niklowany stolik na kółkach; na stoliku smażyło się na ruszcie, na płomieniu spirytusowym, udo baranic. Goguś w monoklu rozkładał pieczeń gestem prawdziwego znawcy, zapewniając przyjaciół, że są politowania godnymi dzikusami i tylko dlatego siedzą przy stole, że w jasno oświetlonym pokoju nie ośmielają się stać jak psy na czworakach.

Młody panicz nadawał ton wszystkiemu, co miało jakikolwiek związek z jedzeniem. Zamawiał w dowolnym porządku zwa-

riowane potrawy w rodzaju smażonych w tłuszczu wieprzowym kawałków ananasa, poziomek ze solą, ogórków w miodzie. Sposób, w jaki wybierał wszystko i zamawiał, arogancki, nie znoszący oporu, zdania w rodzaju „prawdziwy gentelman musi punktualnie o jedenastej zjadać jajo na twardo”, albo „tłuszcz wieprzowy utrzymuje przy życiu stos pacierzowy człowieka”, robiły tak groteskowe wrażenie, że medyk nadworny chwilami nie potrafił opowiedzieć uśmiechu.

Nałóg tradycyjnie austriacki, nie do podrobienia, polegający na śmiertelnie poważnym ujmowaniu rzeczy drugorzędnych oraz na wytwornym bagatelizowaniu spraw istotnych, widziany w tej chwili w miniaturze, wyczarował w nim znowu epizody z własnej młodości.

Choć sam nie brał nigdy udziału w podobnych birbantkach, czuł jednak, że tutaj mimo wszelkich sprzeczności odbywa się coś, co w istocie swej ma pewien związek z nim samym: hulać wesoło i beztrąsko, a jednak aż do czubków palców pozostawać arystokratą austriackim; posiadać wiadomości, nawet wiedzę, ale ukrywać je raczej pod pozornymi błazeństwami niż wystawiać na pokaz w niewłaściwym miejscu.

Uczta zmieniła się powoli w komiczną, ogólną pijatykę. Nikt nie troszczył się o współbiesiadników. Każdy żył teraz własnym życiem.

Książęcy dyrektor centrali towarów, dr Hiacynt Braunschild (tak się przedstawił po pijanemu nasz jowialny starszy pan usługującemu chłopcu), wlaź na krzesło i wygłosił z niego składającą się przeważnie z dźwięków: be, mowę na cześć „jego ekscelencji, swego dobrodzieja i chlebobdawcy”, przy czym po każdym dłuższym zdaniu goguś w monoklu obdarzał go orderem w postaci opaski z cygara.

To, że pan książęcy dyrektor centrali towarów trzymał się jeszcze na krześle, zawdzięczać należało zapobiegliwości „notariusza”, który — na podobieństwo nieboszczyka Zygryda, ochra-

nającego króla Günthera — stał za nim i pilnował, aby grawitacja ziemi nie nadużyła swej mocy w sposób niestosowny.

Jeden z biesiadników siedział na ziemi, z nogami skrzyżowanymi jak fakir, ze wzrokiem skierowanym nieruchomo na własny nos. Balansował przy tym korkiem od szampana, który miał na głowie, wyobrażając sobie zapewne, że jest indyjskim pokutnikiem. Drugi, niedawny jego sąsiad zza stołu, wysmarował sobie brodę bitą śmietaną i zajęty był goleniem jej za pomocą nożyka do owoców, przy czym posługiwał się lusterkiem kieszonkowym. Trzeci postawił obok siebie długi rząd kieliszków napełnionych likierami o najróżniejszych kolorach i, jak o tym głośno zapewniał, pochłonięty był kabalistycznymi rozważaniami, w jakim porządku je wypić.

Inny znowu lewą nogę, ubraną w nienaganny pantofel lakierowany, bezwiednie trzymał na wiaderku do szampana, pełnym lodu. Żonglował przy tym talerzami, jakie mu tylko wpadły w rękę, a gdy ostatni rozłupł na drobne kawałki, zanucił jakąś idiotyczną piosenkę, której refren powtarzać zaczęli wszyscy, nie wyłączając pikola...

W jaki sposób wśród tej bezładnej pijatyki wyrósł jakby spod ziemi aktor Zrcadlo — to było dla medyka nadwornego zagadką.

„Notariusz” w pierwszej chwili nie zauważył jego obecności i dopiero później zaczął mu dawać energiczne znaki, aby się oddalił.

Zrcadlo nie zwracał na nie uwagi, a wyrzucenie go siłą wydało się „notariuszowi” ryzykiem, gdyż pan dyrektor przy tej okazji z pewnością spadłby ze swego stołka i mógłby złamać kark jeszcze przed wyrównaniem rachunku.

Wśród gości dziwnego przybysza pierwszy zauważył „fakir”.

Zerwał się z przerażeniem i zaczął mu się przyglądać, w świętym przekonaniu, że jakieś ciało astralne zmaterializowało się pod wpływem jego praktyk i teraz zamierza kark mu skrócić. Aktor wyglądał istotnie wprost przerażająco: tym razem nie był uszminekowany, żółta cera jego twarzy wydawała się jeszcze bar-

dziej woskowa; zapadnięte oczy wyglądały na jej tle jak zwiędłe, czarne wiśnie.

Większość towarzystwa była zbyt pijana, aby pojąć od razu niesamowitość tego, co się dzieje. Pan dyrektor zaś do tego stopnia stracił zdolność dziwienia się, że poprzestał na błogim uśmiechu; w przekonaniu, że nowy przyjaciel ma zamiar zaszczyścić biesiadę swą obecnością, zlął z krzesła, aby intruza, podobnego do upiora, powitać pocałunkiem braterskim.

Nie drgnąwszy nawet powieką, Zrcadlo pozwolił mu się zbliżyć.

Zdawało się, że jest pogrążony we śnie, tak samo jak wtedy, w pałacu barona Elsenwanger. Dopiero gdy dyrektor, podszedłszy do niego bliżej ze swym ulubionym: be, na ustach, rozpostarł ramiona, aby go przycisnąć do piersi, Zrcadlo podniósł nagle głowę i popatrzył na niego z nienawiścią.

To, co potem nastąpiło, trwało tak błyskawicznie krótko i było tak niespodziane, iż medykowi nadwornemu wydało się w pierwszej chwili, że lustro go zwodzi.

Pan dyrektor centrali towarów miał do tej chwili oczy zamknięte. Zaledwie zdążył je otworzyć, w odległości jakiegoś kroku od aktora, twarz Zrcadła zmieniła się w śmiertelną maskę o tak potwornym wyrazie, że medyk nadworny mimo woli zerwał się w swym ciemnym pokoju z krzesła i zaczął się wpatrywać w lustro.

Na dyrektora podziałał widok trupiej, zniszczonej twarzy jak uderzenie pioruna między oczy.

W jednej chwili otrzeźwiał, w rysach jego twarzy malowało się coś więcej niż strach. Nozdrza okazały się nagle ostre i cienkie, jak u człowieka, który przez nieuwagę wdychał eter, dolna część brody opadła nieruchomo, podniesiona wargę straciła barwę, na spopielale policzki wystąpiły sino-czerwone, okrągłe plamy. Śnieżna białość ręki, którą wyciągnął do obrony, wskazywała wyraźnie na wstrzymanie obiegu krwi.

Parę razy zatrzepotał ramionami, po czym padł na ziemię, zwalony tłumioną czkawką.

Medyk nadworny zorientował się od razu, że nie ma mowy o ratunku. Jednakże byłby pospieszył z pomocą, gdyby nie przeszkodził mu ogólny tumult.

Po kilku minutach wynieśli zmarłego głośno lamentujący przyjaciele i gospodarz. Krzesła i stół leżały na podłodze, z porozbijanych flaszek rozlewał się w kałuże czerwony, musujący sok.

Medyk nadworny nie wiedział przez dłuższą chwilę, co począć. Był oszołomiony tą sceną, która się rozegrała z taką potworną plastyką, a przy tym schematycznie i nierealnie, bo w odbiciu lustra. Pierwszą myślą, która mu przyszła do głowy, było:

— Gdzie jest Zrcadlo?

Zapaliwszy światło, odskoczył jak oparzony: aktor stał tuż przy nim. W czarnej swojej szacie wyglądał jak mroczna masa. Nie ruszał się z miejsca; zdawał się pogrążony w głębokim śnie, jak przed chwilą, gdy pijany dyrektor załamał się pod jego wzrokiem.

Medyk nadworny zaczął mu się przyglądać badawczo, przygotowany w każdej chwili na to, że Zrcadlo popęlni nowe jakieś potworne dziwactwo. Ale nic się nie stało. Nie ruszał się z miejsca. Wyglądał jak trup, którego postawiono na nogach.

— Czego pan szuka tutaj? — zapytał krótko, tonem rozkazującym, przyglądając się z wyteżoną uwagą żyłom na szyi aktora. Nie widać na nich było nawet śladu uderzeń pulsu.

— Kim pan jest?

Milczenie.

— Jak się pan nazywa?

Milczenie.

Medyk nadworny zapalił zapalną i oświetlił nią oczy somnambulika.

Żrenice, które trudno było odróżnić od gałek, pozostawały szeroko otwarte i w najmniejszym nawet stopniu nie reagowały na jaskrawe światło.

Ujął za przegub martwo zwisającą rękę. Jeżeli można było mówić o biciu pulsu, jeżeli nie było to tylko fantazją, stwierdził, że uderzenia były delikatne i wolno postępowały po sobie. Wydawało się, że to dalekie echo wahadłowych uderzeń zegara ściennego, a nie puls żywej istoty. Raz, — dwa, — trzy, — cztery. Najwyżej piętnaście uderzeń na minutę.

Licząc dalej, medyk nadworny zapytał znowu głośno i ostro:
— Kim pan jeste? — Proszę odpowiadać!

Nagle puls aktora zaczął szaleć, skoczył z piętnastu na sto dwadzieścia. Po chwili Zrcadlo jął oddychać tak gwałtownie, że nozdrza zagrały.

Wsączył w siebie niewidoczną osobowość. Oczy nagle zabłyśły i uśmiechnęły się niewinnie do medyka nadwornego. Cała postać nabrała czegoś miękkiego, powolnego, twarz nabrała wyglądu dziecka.

Medyk nadworny był przekonany, że w somnambuliku obudził się prawdziwy człowiek. Zapytał więc przyjaźnie:

— Niechże mi pan powie, kim pan jest właściwie...

Ostatnie słowo zamarło mu na ustach. To opuszczenie warg coraz bardziej wyraźne, ta twarz, ta twarz... Ogarnęła go ta sama świadomość, co wtedy, u Elsenwangerów, tylko bardziej jasna, bardziej określona. Twarz ta jest mu znana — widywał ją bardzo często. Nie mogło być żadnych wątpliwości.

Powoli, bardzo powoli, jak gdyby wyłuskując z pamięci, przypomniał sobie, że niegdyś — może pierwszy raz w życiu — zobaczył ją w jakimś błyszczącym przedmiocie, może w srebrnym talerzu. Teraz wiedział z pewnością: tak właśnie, nie inaczej wyglądał sam w dzieciństwie.

Wprawdzie skóra tej twarzy była stara i pełna zmarszczek, włosy posiwiały, lecz wyraz młodości promieniał z niej jak światło, jak to nieokreślone coś, którego żaden malarz na świecie oddać nie potrafi.

— Kim jestem? — wybiegło z ust aktora; medyk nadworny był przekonany, że słyszy swój własny głos z dawnych czasów.

Był to głos chłopca i starca zarazem, był w nim dziwny jakiś dwudźwięk, jak gdyby wydobywał się z dwóch krtani. Jeden, z przeszłości, siedł z daleka, drugi, z teraźniejszości, był echem tamtego.

Obydwa głosy, tworzące konglomerat dziecięcej niewinności i groźnej powagi starca, mówiły:

— Kim jestem? Czy istniał kiedykolwiek od czasu powstania Ziemi człowiek, który potrafiłby dokładnie odpowiedzieć na to pytanie? Jestem niewidocznym słowikiem, siedzącym w klatce i zawodzącym trele. Ale nie w każdej klatce pręty śpiewają z nim razem. Ile to razy zaczynałem pieśń, chcąc, abyś mnie usłyszał! Byłeś głuchy przez całe życie. Nikt na całym świata obszarze nie był ci tak bliski, jak ja, a oto pytasz mnie: kim jestem. Są ludzie, którym własna dusza tak obcą się stała, że padają martwi, gdy przychodzi chwila, w której stają z nią oko w oko. Nie poznają jej, widzą w niej głowę meduzy; nosi na sobie wizerunek złych czynów, których unikali tajemnie, w obawie, aby nie splamiły ich duszy. Pieśń moją możesz usłyszeć tylko wtedy, jeżeli ją razem ze mną śpiewać będziesz. Zbrodniarzem jest ten, kto nie słyszy pieśni swej duszy, zbrodniarzem wobec życia, innych i siebie, kto głuchy, ten również niemy. Bez winy jest tylko ten, kto ciągle słyszy pieśń słowika, choćby nawet zabił ojca i matkę.

— Co mam słyszeć? Jak mam słyszeć? — zapytał medyk w zdumieniu, zapominając, że ma przed sobą człowieka niepoczytalnego, może nawet obłąkanego.

Aktor nie zwracał na niego uwagi i mówił dalej obydwoma głosami, które się dziwnie uzupełniały i przenikały wzajemnie:

— Pieśń moja jest wieczną melodią radości. Kto nie zna radości, kto nie zna tej czystej, bezpodstawnej, bezprzyczynowej pewności: jestem, kim jestem, kim byłem i kim będę — ten grzeszy wobec Ducha Świętego.

Przed blaskiem radości, promieniującym w piersi człowieka jak słońce z nieba, uciekają upiory ciemności, które jako schematy popełnionych i zapomnianych w dawnych istnieniach zbrodni towarzyszyły człowiekowi i supłały nici jego losu. Kto umie usły-

szeć tę pieśń radości i wyśpiewać ją, ten zmazuje plamy każdej winy i nigdy już do starych przewin nie doda nowych.

Kto się radować nie umie, w tym słońce zagasło; jeżeli więc potrafi rozszerzać światło?

Nawet nieczysta radość bliższa jest światła aniżeli ponura, melancholijna powaga.

Pytasz, kim jestem? Radość i ja, to jedno. Kto nie zna radości, ten nie zna również swego ja.

Wewnętrzne ja jest prazródłem radości, kto go nie ubóstwia, ten służy piekłu. Czyż nie napisano w przykazaniu: Jam jest Pan, twój Bóg, nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.

Kto nie słyszy pieśni słowika, ten nie ma swego ja, ten zmienił się w martwe zwierciadło, przed które przychodzą i odchodzą obce demony, ten jest wędrującym trupem, jak księżyc na niebie, snujący się za światłem, które zagasło.

Spróbuj tylko i raduj się.

Nie jeden, kto próbuje, pyta: z czegoż mam się radować? Radość nie zna przyczyny ani powodu, wyrasta z siebie, jak Bóg; Radość, której trzeba przyczyny, nie jest radością, lecz przyjemnością.

Nie jeden chciałby doznać radości, a nie potrafi, więc składa winę na świat i na los. Nie pamięta o tym, że słońce, które zapomniało świecić, nie umiałoby pierwszym, słabym promieniem rozproszyć plejady upiorów tysiąc lat trwającej nocy. Zbrodni, których się człowiek w życiu dopuścił w stosunku do siebie samego, nie można zmazać jedyną przelotną chwilą. W kim jednak raz zamieszkała radość bez przyczyny, ten posiadzie życie wieczne, połączył się bowiem ze swym „ja”, które nie zna śmierci, tery będzie zawsze pełen radości, choćby urodził się ślepcem lub kaleką, ale radości trzeba się nauczyć, trzeba ją wytęsknić, to bowiem, za czym zwykle tęsknią ludzie, nie jest radością, lecz tylko podstawą do radości. Jej to pożądają, a nie radości.

Jakie to dziwne — rozważał medyk nadworny. — Oto z obcego człowieka, o którym nie wiem nawet, kim i czym jest, mówi

do mnie moje własne ja. Czyżby mnie opuściło i stało się teraz jego ja? Gdyby tak było, nie mógłbym przecież sam myśleć. Czy można żyć, nie mając swego „ja”. Wszystko to są głupstwa — rzekł w końcu do swych myśli — mocne wino uderzyło mi do głowy.

— Ekscelencja uważa to za rzecz dziwną? — zapytał aktor ironicznie zmienionym nagle głosem.

— Teraz go mam — pomyślał medyk ponuro, nie zwracając uwagi na okoliczność, że to ten drugi czyta w jego mózgu — teraz nareszcie komediant zdejmuje maskę.

I znowu pomylił się.

Zrcadlo wyprostował się, popatrzył mu mocno w oczy, przeciągnął ręką po wygolonej wardze górnej, jak gdyby rosły na niej długie wąsy, zaczął je podkręcać i ściągać w dół, ku kątom ust.

Czynił to ruchem prostym, niekomedianckim, jak gdyby był to jego ruch nałogowy. Ale plastyka tego gestu wpoila w medyka przekonanie, że w istocie widzi przed sobą wąsy.

— Uważa pan to za dziwne, ekscelencjo? Więc sądzi pan naprawdę, że ludzie, którzy sobie zwyczajnie spacerują po ulicach, mają własne ja? Ależ oni nie posiadają niczego, są raczej w każdej chwili opętani przez coraz innego upiora, który gra w nich rolę ja. Czy ekscelencja nie doświadcza codziennie, że jego „ja” przenosi się na innych ludzi? Czy ekscelencja nie stwierdził nigdy, że ludzie, o których pan myśli nieprzyjaźnie, odnoszą się do ekscelencji również nieprzychylnie?

— Pochodzi to zapewne stąd — zaprzeczył medyk — że z twarzy wyczytać można, czy się myśli o kimś przyjaźnie, czy nieprzyjaźnie.

— Tak, tak — uśmiechała się złośliwie zjawą pod wąsem. — A u ślepych? — Jakże z nimi? Czy oni poznają to również po grze twarzy?

— Ci poznają po tonie słów — chciał odpowiedzieć pan medyk nadworny, ale wstrzymał się, poczuł bowiem, że tamten ma rację.

— Rozumiem, ekscelencjo, można sobie wszystko Wytłumaczyć. Zwłaszcza rozumem niezbyt bystrym, który nie odróżnia przyczyny od skutku. Niechże ekscelencja wyjmie łaskawie głowę z piasku. Polityka strusia nie przystoi — pingwinowi.

— Ależ pan jest bezwstydy — wybuchnął medyk.

Zjawa nie dała się wyprowadzić z równowagi i ciągnęła dalej:

— Lepiej, abym ja był bezwstydy niżeli pan, ekscelencjo. — Czy nie uważa pan, że obserwowanie lunatyka przez okulary wiedzy, było bezwstydem z pańskiej strony? — Jeżeli się to panu nie podoba, niech mi pan wymierzy policzek; proszę to uczynić, skoro pan sądzi, że to panu przyniesie ulgę. Ale proszę wziąć przedtem łaskawie pod uwagę, że mnie ten policzek nie dotknie, najwyżej biednego Zrcadla... Podobnie rzecz się przedstawia ze sprawą „ja”. Czy sądzi pan, że pan zniweczy elektryczność, jeżeli zechce pan stłuc tę elektryczną lampę? Powiedział pan przedtem albo raczej pomyślał pan: czyżby moje „ja” mnie opuściło i przeniosło się do aktora? Odpowiadam na to: prawdziwe „ja” można poznać dopiero po działaniu. Nie ma wymiarów i dlatego właśnie jest wszędzie. Stoi ponad wszystkim, jest — wszechobecne. Nie powinno pana dziwić, że pańskie „ja” przemawia przez kogoś innego wyraźniej niżeli przez pana. Niestety, jak zresztą wszyscy ludzie, tkwi pan od dzieciństwa w mylnym przekonaniu, że pańskie „ja” to pańskie ciało, zmysły, pańska zdolność myślenia i jeszcze Bóg wie co. Dlatego nie ma pan nawet przybliżonego pojęcia, czym właściwie jest pańskie „ja”... To „ja” przepływa przez człowieka i dlatego trzeba się nauczyć inaczej myśleć, aby odnaleźć się w swym własnym „ja”. Jest pan wolnomularzem, ekscelencjo? Nie, to szkoda. Gdyby pan nim był, widziałby pan, że w pierwszych lożach „towarzysz”, chcąc zostać mistrzem, musi wchodzić t y ł e m do sanktuarium mistrza. Kogóż tam znajduje? Nikogo. Gdyby znalazł kogoś, byłoby to jakieś „ty”, nie „ja”. Bo „ja” to mistrz... Nie bez słuszności mógłby pan, ekscelencjo, zapytać: czyż ten człowiek, stojący przede mną, jest niewidocznym nauczycielem? — Dlaczego poucza mnie, choć go

o to nie proszę? Niech się pan uspokoi, jestem tu, ponieważ w życiu pańskim nadeszła odpowiednia chwila. Dla niektórych nie nadchodzi nigdy. Zresztą nie jestem nauczycielem. Ani mi się to śni. Jestem mandżu.

— Kim pan jest? — wybuchnął medyk nadworny.

— Mandżu. Pochodzę z wyżyn chińskich. Z „Krainy Środka”. Można to poznać po moich długich wąsach. Kraina Środka leży na wschód od Hradczynu. Gdyby się pan nawet zdecydował przejść przez Modławę do Pragi, miałby pan stamtąd jeszcze kawał drogi do Mandżurii.

— Nie jestem wcale trupem, jak to pan przypuszczać może z faktu, że posługuję się ciałem pana Zrcadla jak lustrem, w którym się panu ukazuję; przeciwnie, jestem żywym człowiekiem. Na Dalekim Wschodzie istnieje prócz mnie wielu takich żywych ludzi. Ale niech pan nie próbuje jeździć swym powozem, wleczonym przez bułanego Karliczka, do krainy cudów, aby bliższą ze mną zawrzeć znajomość. Kraina Środka, w której mieszkamy, jest krainą „rzeczywistego” środka. Istnieje środek świata, który znajduje się wszędzie. W nieskończoności każdy punkt jest punktem środkowym. Rozumie pan zapewne, o czym mówię?

— Chce ze mnie zażartować? — pomyślał pan medyk nadworny z niedowierzaniem. — Jeżeli to mędrzec, dlaczego przemawia takim łobuzerskim tonem?

Aktor uśmiechnął się niewidocznie.

— Pompa, eksceleńco, uroczysta mina, to głupstwa. Kto nie umie wyczuć w humorze powagi rzeczy, ten nie będzie również zdolny wyczuć całej humorystycznej groteski fałszywej „powagi”, którą jakiś kujon uważa za alfę i omegę istnienia, i padnie wreszcie ofiarą fałszywych entuzjasmów, zwanych niesłusznie ideałami życiowymi. Najwyższa mądrość chodzi po świecie w szacie błazeńskiej. — Dlaczego? — Bo wszystko, co poznane zostało jako szata i tylko jako szata, a więc i ciało, musi być szatą błazeńską. — Dla każdego, kto prawdziwe „ja” uważa za swą własność, własne jego ciało, tak samo jak ciało innych, jest tylko szatą błazeń-

ską. — Czy uważa pan, że „ja” mogłoby wytrzymać w świecie, gdyby świat był istotnie taki, jakim go ludzkość widzi?

Może pan odpowiedzieć: wszędzie, gdzie wokoło rzucimy okiem, jest krew i rozpacz. Ale skąd to pochodzi? Powiem panu: wszystko w świecie zewnętrznym opiera się na charakterystycznym prawie „znaków plus i minus”. Wydaje się, że Bóg stworzył świat. Czy nie pytał pan nigdy samego siebie: a może świat powstał tylko z igraszki „ja”. Odkąd ludzkość myśli, rokrocznie tysiące ludzi pławiły się w tak zwanej pokorze, nawiasem mówiąc, fałszywej! Czymże innym jest masochizm, okryty płaszczykiem okłamującej się skromności? Nazywam to znakiem „minus”. Takie znaki „minus”, gromadzące się z biegiem czasu, działają jak ssąca próżnia, idąca w niewidoczną krainę. Wywołuje to później krwiożerczy, niosący cierpienie, sadystyczny znak „plus” — powstaje huraganowa walka demonów, które posługują się mózgami ludzi, aby z ich pomocą wywoływać wojny, szerzyć śmierć i morderstwo, — tak samo jak ja posługuję się ustami świadomego swej roli aktora, aby przed panem, ekscelencjo, wypowiedzieć swoje poglądy.

Każdy jest narzędziem, ale o tym nie wie. Tylko „ja” nie jest narzędziem; stoi w Krainie Środka, dalekie od znaków plus i minus. Wszystko inne jest narzędziem.

Raz w każdym roku, 30-go kwietnia, jest noc Walpurgi. Wtedy, mówi podanie ludowe, świat oswobadza się od upiora. Bywają również kosmiczne noce Walpurgii. Dzielą je zbyt wielkie przestrzenie czasu, aby ludzkość pamiętać o nich mogła, i dlatego każdym razem uważa je za nowe, niebywałe dotąd zjawiska.

Nadszedł początek takiej nocy Walpurgi. Góra staje się wtedy dołem, dół górą. Zdarzenia pędzą za zdarzeniami prawie bez przyczyny. Nic nie jest tu „psychologicznie” umotywowane, w przeciwieństwie do pewnych powieści, które tak zwany problem miłości seksualnej, ukrytej starannie, aby tym bezwstydniej biła w oczy, uważają za centralny punkt bytu, małżeństwo dziewczyny

ze środowiska mieszczańskiego, nie posiadającej posagu, gotowi są określić jako rodzaj wyzwolenia.

Nadszedł znowu czas, w którym psy dzikiego myśliwca mogą rozerwać łańcuchy. I dla nas rozerwało się coś: najwyższe prawo milczenia. Zdanie: Ludy Azji, brońcie swych najświętszych dóbr, nie ma już dla nas znaczenia. Rezygnujemy z niego na rzecz tych, którzy są zdolni do „lotu”...

Wolno nam mówić.

Oto jedyny powód, dla którego rozmawiam z ekscelencją. Taki jest nakaz chwili, który nic nie ma wspólnego z zasługą ekscelencji. Nadszedł czas, w którym „ja” do wielu ludzi mówić zacznie.

Niejedni nie rozumieją mej mowy. Opadnie ich wewnętrzny niepokój, podobny do trwogi nawiedzającej głuchego, który wy-czuwa: — Ktoś mówi do mnie, lecz nie wiem, czego chce i co mam uczynić. Ludzie ci dostaną manii dokonania czegoś, co w rzeczywistości nie będzie wolą „ja”, a tylko rozkazem szatańskiego znaku „plus”, wypisanego na krwawym niebie nocy Walpurgi.

To, co powiedziałem ekscelencji, pochodziło tym razem z magicznego obrazu, który odzwierciedlał się w aktorze Zrcadle. Słowa moje mieszkają jednak w krainie środka; panowie: w tym „ja”, które jest ponad wszystkim.

Czcigodni przodkowie ekscelencji hołdowali przez całe niemal tysiąclecie ambicji zajmowania stanowisk medyków; cóż by się stało, gdyby ekscelencja pomyślał o tym, jak się ma pańska szanowna dusza.

— Dotychczas — nie mogę tego przemilczeć — ekscelencja latał niezbyt wysoko. Gospoda „Schnell” ze swym paprykowanym gulaszem nie graniczy tak bezpośrednio, jakby to było pożądane, z Krainą Środka. Jakiś cień skrzydeł ma ekscelencja, to prawda (jak się obchodzę z tymi, którzy go nie mają, mógł się pan przekonać przedtem na przykładzie pana dyrektora), inaczej wcale bym się tu nie fatygował. To nie skrzydła, tylko coś, coś w ich rodzaju, jak u... pingwina...

Przemowę wężatego upiora przerwało uderzenie o klamkę.

W drzwiach pojawił się policjant, mówiąc:

— Przepraszam bardzo, moi panowie, dwunasta już wybiła. Trzeba opuścić lokal...

Zanim pan medyk nadworny zdążył przejść do całego szeregu pytań, które rozpieierały mu piersi, aktor wyszedł, zachowując najgłębsze milczenie.

Aweysha

Co rok, 16-go maja, w dniu świętego Jana Nepomucena, patrona Czech, pan domu urządzał w suterrenach pałacu Elsenwangerów wielką kolację dla służby. Według prastarego hradczyńskiego zwyczaju brali w niej udział i państwo we własnej osobie.

Nocy tej na przeciąg czterech godzin, od ósmej do uderzenia północy, znikwały różnice klasowe między panem a służącym; wszyscy jedli i pili razem, mówili sobie ty i ściskali się za rękę.

Zwykle podczas kolacji dwór reprezentował syn; gdy go nie było, obowiązek spadał na starszą córkę.

Baron Elsenwanger był od czasu zajścia z somnambulikiem tak wyczerpany, że prosił wnuczkę swą, młodą komtesę Poliksenę, by go zastąpiła.

Siedział przy biurku w swej bibliotece, pochylony nad półczochą, którą cerował przy blasku świecy, w otoczeniu niezmierniej ilości książek, których nawet nie dotknął w ciągu całego życia. Gdy Poliksena weszła, rzekł:

— Jesteś, Ksieniuś, jakby moją córką, a zresztą mamy tu jedynie ludzi pewnych. Jeżeli nie zechcesz wracać nocą do domu, będziesz mogła położyć się w pokoju gościnnym. Dobrze, Ksieniuś?

Polyksena uśmiechnęła się nieprzytomnym uśmiechem. W pierwszej chwili chciała odpowiedzieć, że już kazała sobie wstać łóżko do pokoju, w którym wiszą portrety przodków; ale uświadomiła sobie jeszcze w porę, jakie poruszenie wywołać by mogła w stryju ta decyzja, i nie odpowiedziała...

Siedzieli tak naprzeciw siebie w ciemnym, ponurym pokoju jeszcze jakieś pół godziny, nie mówiąc ani słowa. — On, oparty o głęboki fotel, z kłębką żółtej wełny u nóg, wzdychał co kilka minut głęboko, jakby mu serce za chwilę pęknąć miało, ona, wyciągnięta w bujającym krześle, kołysała się wśród pożółkłych foliałów, paląc papierosa; od czasu do czasu chwyciła uchem cichy, monotony dźwięk igieł, którymi cerował pończochy. — Po pewnym czasie spostrzegła, że nagle przestał poruszać rękami. Opuścił pończochę na podłogę i prawie bezpośrednio potem, pochyliwszy naprzód głowę, zapadł w starczy sen, podobny do śmierci.

Jakiś nieznośny stan zmęczenia fizycznego i zarazem podrażnienia wewnętrznego, które płynęło z nieokreślonych powodów, nie pozwalał jej ruszyć się z miejsca.

W pewnej chwili pochyliła się naprzód, chcąc wstać. — Może lepiej będzie otworzyć okno i wpuścić nieco chłodnego, deszczowego powietrza...

Myśl jednak, że starzec mógłby się pod jego wpływem obudzić i rozpocząć znowu jakąś pustą, starczą rozmowę, powstrzymała ją od tego zamiaru. Zaczęła się rozglądać po pokoju, który teraz oświetlał niemal wyłącznie słaby blask świecy.

Na podłodze leżał ciemnoczerwony dywan, otoczony banalną girlandą. Pamiętała każdą jego arabeskę, ileż razy bawiła się na nim, będąc małą dziewczynką! Jeszcze dziś czuje w gardle drażniący zapach pyłu, który szedł od dywanu; przyprawiał ją o łzy, zatruwał niejedną godzinę dzieciństwa.

A to wieczne, trwające lata całe: Ksieniuś, uważaj, żebyś sobie nie poplamiała sukienki!... Jutrzenka jej młodości zbladła pod wpływem tych mechanicznie powtarzanych słów...

W przystępie nienawiści przygryzła papierosa i odrzuciła go daleko od siebie...

Patrząc na długi rząd książek, w których na próżno kiedyś szukała obrazków, przypomniła sobie z uczuciem udręki, że młodość jej była stałym tułaniem się od jednego etapu bez nadziei do drugiego. Miała teraz wrażenie, że tygodnie spędzane w ponurym zamku ciotki Zahradki, dręczące niedziele, przeżywane tu, w pałacu, były rozpaczliwym trzepotaniem ptaka, który, zamknięty wśród starych murów, szuka kropli wody.

Patrzyła długo i badawczo na starego stryja. Nie mogła sobie wyobrazić, że otworzy jeszcze kiedyś wyblakłe, bezkrwiste powieki, które obecnie były mocno zawarte.

Nagle poczuła wyraźnie, czego w nim i w ciotce tak nienawidzi, choć nigdy nie słyszała od nich ani jednego złego słowa; — tym czymś był widok ich twarzy we śnie.

Przypomniła sobie pewne drobne przeżycie z najwcześniejszego dzieciństwa, przeżycie na pozór pozbawione znaczenia:

Ona, dziewczynka czteroletnia, leży w swym łóżeczku. Nagle budzi się i pod wpływem gorączki czy jakiegoś dręczącego snu zaczyna krzyczeć. Nikt nie nadchodzi. Dziewczynka podnosi się z łóżeczka i widzi pośrodku pokoju ciotkę, która śpi tak głęboko, że nie potrafi jej obudzić żaden krzyk, żadne wołanie. Z okrągłymi cieniami od okularów, które padają dokoła oczu, wyglądała jak martwy sęp; w twarzy jej czai się zakrzepły wyraz okrucieństwa.

Od tej chwili powstał w umyśle dziecka nieopisany wstręt do wszystkiego, co ma jakiegokolwiek podobieństwo do śmierci. Przez długi czas była to jakaś nieokreślona trwoga przed śpiącymi twarzami, potem z trwogi tej wyrosła głucha, instynktowna nienawiść. Nienawiść ta tkwiła korzeniami głęboko w sercu, w którym czuwała żądza życia, od pokoleń trzymana na wodzy, czekająca tylko odpowiedniego momentu, by wybuchnąć jak płomień i w jednej chwili objąć nim całą istotę.

Od pierwszych odruchów świadomości otaczała ją starczość — starczość ciała, myślenia, mówienia i działania. Starczość ta biła ze wszystkiego, co ją otaczało: z portretów starców i staruszek, wiszących na ścianach, z miasta, którego ulice i domy były powiędłe, przeorane zmarszczkami. Nawet mech, porastający przestare drzewa w ogrodzie, wygląda jak siwa broda starca.

Potem przyszedł pobyt w klasztorze Sacre Cœur. — Nie przyzwyczajonej dziewczynie życie w klasztorze wydawało się z początku pełne blasku. Po kilku dniach obraz zaczął blednąć, stawał się coraz bardziej ponury; czuła, że za dużo dokoła niej dostojeństwa i spokoju. Panował tu senny nastrój zorzy wieczornej. Dusza, która miała stać się drapieżnym zwierzęciem, musiała się tu tajemnie gotować do skoku.

W klasztorze padło po raz pierwszy słowo miłość. Miłość do Zbawiciela, którego godzinami miała przed oczyma, rozpiętego na krzyżu, pełnego krwawych ran, z krwawiącą piersią i kroplami krwi pod ciernistą koroną; miłość do modlitwy, w której słowem się stawało to, na co patrzyła: krew, męczeństwo, biczowanie, rozpięcie na krzyżu, krew, krew. Potem miłość do obrazu męczennika, w którego sercu tkwi siedem mieczów. Krwawoczerwone ample. Krew, krew...

Krew, symbol życia, stała się ogniem jej duszy; wżerała się w same trzewia. Ze wszystkich młodych szlachcianek, które się wychowywały w Sacre Cœur, okazała się wkrótce najbardziej religijna.

Równocześnie zaś, nie wiedząc o tym wcale, i najzarliwszą.

Słabo orientowała się w odrobinie francuskiego, angielskiego, muzyki, historii i rachunków. Zapomniała wszystko w okamgnieniu.

Tylko miłość pozostawała.

Miłość do — krwi.

Na długo przed poznaniem Ottokara wróciła z klasztoru do domu. Gdy ją znowu otoczyła prawie zapomniana starczość, jak coś, co się obudziło do nowej rzeczywistości, wydawać się jej

zaczęło, że to, co przyjmowała tak długo z najgorętszą miłością — los męczeński Zbawiciela — zapada się z wolna w przeszłość o tysiąc lat starszą od grobowej atmosfery otoczenia.

Tylko żywa krew sączyła się nieprzerwanie cienką, czerwoną nicią, jak żywe źródło, łączące czasy Ukrzyżowanego z chwilą obecną.

Wszystko, co żyło, co pulsowało młodością, łączyła podświadomie z pojęciem krwi. We wszystkim, co było piękne, co pociągało i napełniało tęsknotą: w kwiatkach, zwierzętach, w bez troskiej radości, w blasku słońca, w zapachu dźwięczało słowo: krew. Powtarzało się nieprzerwanie, jeszcze niedosłyszalnie, — jakby w niespokojnym śnie, — poprzedzającym przebudzenie.

Pewnego dnia w jednym z pokojów pałacu Elsenwangerów, w którym wisiał portret prababki, hrabiny Polikseny Lambua, odbył się bankiet; na widok portretu wiszącego wśród podobizn innych przodków Poliksenę ogarnęło niesamowite uczucie, że nie jest to portret osoby zmarłej, lecz odbicie istoty, która w rzeczywistości istnieje i jest znacznie żywsza aniżeli to wszystko, na co dotychczas patrzyła. Starła się wyzwolić z tego wrażenia, ale wracało ciągle. Wisi otoczona samymi martwymi twarzami; jest w tym jakieś podobieństwo z moim własnym losem, który mnie tak przygniata — rzekła do siebie, nie wierząc przecież, że tak jest istotnie. Nie kończyło się jednak na wrażeniu. Ogarnęło ją coś, co wyrastało ponad jej pojęcia: obraz wiszący na ścianie był w pewnym stopniu nią samą. Nosiła go w sobie od czasów dzieciństwa, jak nasienie nosi w sobie ukryty przed światłem, a równocześnie szczegółowo, jasno zarysowany konterfekt organiczny rośliny, którą się ma stać kiedyś. Był matrycą, która wrosnąć miała w dużą każdym włókmem, która miała ją wypełnić aż do najdrobniejszego wgłębienia formy.

Obudzona nagle podświadomość, że ujrzała siebie samą ze wszystkimi drzemiącymi jeszcze, a już ujawnionymi właściwościami, wywoływała wrażenie, że portret prababki jest bardziej żywy od wszystkiego, co kiedykolwiek oglądała.

Bardziej żywym, niż wszystko inne na świecie, może się jednak człowiek wydawać tylko sobie samemu.

Nie znała podstawowego prawa magii: dwie równe sobie wielkości są identyczne i istnieją tylko raz, nawet gdy je rozdziela czas i przestrzeń.

Gdyby prawo to znała i pojmowała, potrafiłaby przewidzieć swój los w najdrobniejszych szczegółach.

Portret działał na nią podobnie, jak później na Ottokara; nie prześladował jej tylko tak, jak jego, stopniowo bowiem zrosła się z nim i wcieliła się weń. — Gdyby nie istniała na ziemi jako żywa reprezentantka portretu, Ottokar nie zwróciłby na portret uwagi; ponieważ jednak był przepełniony czarowną siłą jej krwi, krwią swą wyczuł istnienie żywej istoty, przyciągającej jak magnes.

Podczas spotkania w katedrze żadna siła na świecie nie byłaby w stanie przeszkodzić temu, co zaszło. Los, działający na podstawie żelaznych praw natury, pozwolił dojrzeć temu, co dawno zakiełkowało. To, co drzemało w jej wnętrzu jako określona i zapieczętowana forma, stało się z ziarna owocem. I nic więcej.

Gdy krew odniosła zwycięstwo nad całą istotą, Poliksena nie odczuła żadnej skruchy. Postępowała w tym wypadku jak mędrzec lub zwierzę: niewinność bowiem mędrca i niewinność zwierzęcia zagłuszają głos sumienia.

Na drugi dzień poszła do spowiedzi, przypominając sobie dokładnie słowa, wyuczone w klasztorze: „padniesz trupem, jeśli przemilczysz grzech jakiś”. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że przemilczy i mimo to trupem nie padnie. Miała rację i równocześnie myliła się: to, co się jej dotychczas wydawało własnym „ja”, padło martwe; na jego miejsce zjawilo się natychmiast inne „ja”, odpowiadające portretowi prababki.

Nie przypadek to i nie ślepa samowola, że człowiek kolejność swych pokoleń nazywa „drzewem genealogicznym”, jest to naprawdę budzące się z długiego snu zimowego drzewo, które

mimo tylokrotnej zmiany koloru liści, ciągle rodzi jedne i te same gałęzie...

Martwa Poliksena w pokoju z portretami ożyła, żywa zaś padła trupem. Jedna zastąpiła drugą, obie są niewinne; jedna przemilczała podczas spowiedzi to, czego druga dokonać musiała. Każdy nowy dzień wydobywał z młodej gałęzi starego drzewa coraz nowe pąki, nowe, a jednak prastare, tak jak się to dzieje z drzewem. Miłość i krew przetopily się w Polyksenie w jedno nie-rozdzielne pojęcie.

Biczowanie słodką, zmysłową żądzą, nazywaną przez otaczających ją starców i stare kobiety przesadnym pędem ku wiedzy, zaczęła od tej chwili krążyć po Hradczynie, przechodząc od jednego historycznego miejsca, na którym krew przelewano, do drugiego, od jednego obrazu męczeństwa do drugiego. Każdy szary, zwietrzały kamień, który dotychczas omijała, nie zwracając nań uwagi, opowiadał o przelewie krwi i torturach, z każdej piędzi ziemi dymily czerwone opary. Gdy dotykała spiżowego pierścienia na drzwiach kaplicy, na którym zawisł król Waclaw, nim go brat zdążył zabić, przenikał ją strach śmiertelny, przyrosły do metalu. Strach ten przechodził w gorejący, szalony żar...

Cały Hradczyn z milczącymi, skamieniałymi budowlami stał się dla niej ustami, które setką żywych języków szeptały o coraz nowych, przeraźliwych okrucieństwach przeszłości...

Zaczęła liczyć mechanicznie uderzenia zegara na wieży. Wybiła ósma. Po chwili zeszła po schodach do pokoju dla służby.

Podszedł stary lokaj w prążkowanej kurtce, pocałował ją w obydwie policzki i zaprowadził na pierwsze miejsce przy długim stole dębowym, na którym nie było nakrycia.

Naprzeciw, u drugiego końca stołu, siedział woźnica hrabiego Lobkowitza, młody Rosjanin o ponurej twarzy i głęboko osadzonych czarnych oczach, zaproszony wraz z resztą służby ze szlacheckich domów. Sąsiadem jej był Tatar z kirgiskich stepów z okrągłą, czerwoną czapką na kształt fezu na gładko ogolonej gło-

wie. Dowiedziała się, że ujeżdżał konie u księcia Rohana, a dawniej był przywódcą karawan badacza Azji, Csomy de Körös.

Bożena, w stroju miejskim, z głową ubraną w stare pudło o chwiejącym się piórze, darowanym przez hrabinę Zahradkę na Boże Narodzenie, roznosiła potrawy: kuropatwy z kapustą oraz pokrajane w płaty knedle z czarnej mąki i powideł.

— Dobrego apetytu, Polikseno, jedz i pij! — rzekła stara kucharka Elsenwangerów, mrugając zachęcająco do młodych pomocywek i służących.

Siedziały dokoła niej zwartym kołem jak dokoła kwoki, która będzie musiała wziąć je pod swe skrzydła, gdyby przypadkiem wysoko urodzonej sokolicy przyszło na myśl spaść na nie drażącym rzutem.

Towarzystwo, składające się z około dwudziestu mężczyzn, kobiet i dziewczyn różnego wieku, było z początku nieco zmieszane, dla wielu bowiem obyczaj jedzenia przy jednym stole z państwem był nowy; obawiali się, by przy używaniu noża i widelca nie popełnić jakiejś niezręczności. Poliksena rozproszyła ten nastrój zmieszania rozmową, w której wszyscy wzięli udział.

Tylko Tatar Molla Osman w milczeniu pożerał palcami potrawy, myjąc co chwila ręce w misce wody. Ponury Rosjanin zachowywał również milczenie, obrzucając ją od czasu do czasu długim, badawczym, nienawistnym niemal spojrzeniem.

— Opowiedz nam — rzekła Poliksena, gdy zabrano potrawy i napełniono szklanki herbatą i winem — co się właściwie wtedy stało? Czy naprawdę był jakiś lunatyk na gorze?...

— Ależ oczywiście, jaśnie hrabianko — odparła Bożena. Pod wpływem kuksa, którym ją poczęstowała kucharka, przełknęła ślinę i zrezygnowała ze słowa hrabianka. — Ależ oczywiście, Polikseno, widziałam na własne oczy. To było okropne! Gdy tylko Brok zaczął szczekać, gdy tylko jaśnie pan baron zawołał: Jezus, Maria, Józef! — od razu byłam pewna, że coś się stało. — Poderwało go do góry i zaczął latać dokoła — no, jakże mam powiedzieć, — jak ognisty kogut o ognistych oczach. Gdybym nie

miała mego Schotteka — dotknęła amuletu, który nosiła na pierśsiach — gdybym go na szczęście nie miała, dziś byłabym już chyba trupem. Tak dziko na mnie patrzył! Potem coś go rzuciło w tarninę, zleciał na dół, jako z *rouru*, jak z rury. Pan Loukota — zwróciła się do starego kamerdynera — jest świadkiem.

— Głupstwa! — mruknął stary i niechętnie potrząsnął głową. — Wszystko było zupełnie inaczej.

— Naturalnie! Teraz nagle powiada pan znowu: nie jesteś wiarogodnym świadkiem! — zawołała zaperzona Bożena. — Ale bać to się pan bał, panie Loukota!

— Co takiego? Latał w powietrzu? — zapytała Poliksena z niedowierzaniem.

— *Ano prosim*, tak!

— Latał naprawdę?

— *Prosim*.

— I miał błyszczące oczy?

— *Prosim*.

— A potem, jak mi mówiono, przeistoczył się podobno na oczach mej ciotki, stryja i pozostałych panów?

— *Ano, prosim*, robił się długi i cienki, jak kij od miotły — ciągnęła Bożena. — Widziałam przez dziurkę od klucza... — Nagle zmieszala się i przerwała, czując, że się zagalopowała. — Naturalnie później nic już nie widziałam. Nie było mnie przy tym, jaśnie pani hrabina powiedziała, bym w sprawie czeskiej Elżbietki... — Nowa porcja, wymierzona przez kucharkę w okolicę żebra, zamknęła jej usta.

Przez chwilę wszyscy milczeli, zdjęci przerażeniem.

— Jakże się ten człowiek właściwie nazywa? — zapytał półgłosem Rosjanin swego sąsiada.

Zapytany wzruszył ramionami.

— Mam wrażenie, że Zrcadlo — odparła zamiast niego Polyksena. — Zdaje mi się, że to komediant wędrowny z *fidlova-ki*, z jarmarku.

— Tak go nazywali.

— A więc sądzisz, że się nazywa inaczej?

Rosjanin zawahał się:

— Nie wiem...

— Ale jest komediantem?

— Nie, na pewno nie — odezwał się Tatar.

— Znasz go? Znacie go, panie Molla? — rozległy się głosy.

Tatar zaprzeczył ruchem ręki.

— Mówiłem z nim tylko raz. — Ale sądzę, że się nie mylę:

— ten człowiek jest narzędziem Ewliego.

Ludzie spojrzeli po sobie bezradnie.

— Wiem, że w Czechach tego nie znają, ale u nas, na Wschodzie, zdarza się to nierzadko.

Poliksena prosiła, by jej rzecz całą wyjaśnił. Zaczął mówić krótkimi zdaniem, w duchu tłumacząc każde słowo z języka ojczystego:

— Ewli to czarodziejski fakir. — Czarodziejski fakir potrzebuje ust, inaczej nie potrafi mówić. — Gdy chce przemówić, wybiera usta umarłego.

— A więc sądzisz, że Zrcadlo jest trupem? — zapytał Rosjanin, nie ukrywając nagłego podniecenia.

— Nie wiem. Może jest pół... — Tatar zwrócił się do Polikseny: — Jakże się to nazywa? Pół...

— Pozornym trupem?

— Tak, pozornym trupem. Gdy Ewli chce przemawiać ustami drugiego, wychodzi przede wszystkim z siebie i wchodzi w tego drugiego. Robi to tak — Tatar namyślał się przez chwilę, jakby to wytłumaczyć najlepiej; potem położył palce ponad osierdziem, w miejscu, w którym żebra łączą się z mostkiem, i ciągnął dalej. — Tu mieszka dusza. Ciągnie ją do góry — wskazał na krtań i nasadę nosa — naprzód tu, później tam. Potem za pomocą oddechu opuszcza powłokę cielesną i wchodzi w zmarłego przez nos, szyję do piersi. Jeżeli ciało trupa nie jest jeszcze zniszczone, zmarły odzyskuje życie, zmieniając się w Ewliego.

— Cóż się tymczasem dzieje z samym ewlim?

— Póki duch Ewliego tkwi w tym drugim, póty ciało jego jest jak martwe. Widywałem często fakirów i szamanów. Siedzą zawsze jak umarli. Dzieje się to dlatego, że duch ich tkwi w drugiej istocie. Nazywa się to „Aweysha”. Ale fakir potrafi robić Aweyszę i z żywymi ludźmi. Podczas gdy w nich wstępuje, muszą jednak spać lub znajdować się w stanie odurzenia. Niektórzy umarli, którzy w życiu mieli bardzo silną wolę lub mają jeszcze do spełnienia jakąś misję na ziemi, mogą nawet wstępować w żywych, którzy nie pozostają w stanie snu czy odurzenia; przeważnie jednak i oni wybierają sobie ciała pozornie umarłych. Na przykład Zrcadlo... Dlaczego tak na mnie patrzysz, Siergieju?

Przy ostatnich słowach Rosjanin zerwał się, zamienił z jednym ze służących krótkie spojrzenie i zawisł formalnie na ustach Tatara...

— Nic, nic, Molla; dziwię się tylko.

— W moim kraju — ciągnął Tatar — zdarza się często, że człowiek, który żył dotychczas zupełnie spokojnie, nagle zapomina jak się nazywa i zaczyna wędrować. Mówimy wtedy: ewli lub szaman owładnęli jego ciałem. — Szamani są niewiernymi, ale potrafią to samo, co Ewli. Czynienie Aweyshy nic nie ma wspólnego z Koranem. Gdy się rano budzimy i czujemy, że zmieniliśmy się od chwili, w której udawaliśmy się na spoczynek, zdejmujemy nas lęk; w obawie, że tkwi w nas ktoś umarły, chcąc się od niego uwolnić, zaczynamy szybko i gwałtownie oddychać.

— Po cóż, twoim zdaniem, martwi wdzierają się w ciała żyjących? — zapytała Poliksena.

— Może po to, by używać. — A może po to, by nadrobić to, co uczynić zaniedbali. — A może, o ile są okrutnikami, by sprawić wielką krwawą łaźnię.

— W takim razie wojna...

— Oczywiście! — potwierdził Tatar. — Tak czy inaczej, wszystko, co ludzie czynią wbrew swemu życzeniu, pochodzi od Aweyshy. Czy sądzisz, że napadaliby na siebie ni stąd, ni zowąd jak tygrysy, gdyby ktoś nie dokonał wobec nich Aweyshy?

— Mam wrażenie, że czynią to — z entuzjazmu dla czegoś — może dla idei.

— To właśnie jest Aweyssha.

— A więc entuzjazm i Aweyssha oznacza to samo?

— Nie. Naprzód przychodzi Aweyssha. Z niej powstaje później entuzjazm. Zwykle tego nie widać. Ale entuzjazm się czuje; stąd przypuszczenie, że powstaje samorzutnie. Wiesz, są różne rodzaje aweyszhy. Niektórzy ludzie mogą robić Aweyszę tylko wtedy, jeżeli przy tym przemawiają. — Jest to, oczywiście, także Aweyssha, tylko bardziej naturalna. Z kimś, kto buduje tylko na sobie, nikt na świecie nie potrafi zrobić Aweyszhy. Nawet Ewli, nawet szaman.

— Więc uważasz, że wojna powstała dlatego, że jakiś Ewli zrobił z nami Aweyszę?

Tatar uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.

— Może szaman?

Znowu kiwnięcie głową.

— A więc któż?

Molla Osman wzruszył ramionami. Poliksena zorientowała się, że nie chce dalej mówić. Umocniła ją w tym przekonaniu jego odpowiedź: „Kto buduje tylko na sobie, w kim myśl poprzedza czyn, z tym nikt nie potrafi zrobić Aweyszhy”.

— Jesteś mahometaninem?

— Niezupełnie. — Widzisz przecież: piję wino.

Podniósł szklankę i wychylił ją.

Poliksena zaczęła w milczeniu studiować pełne spokoju jego rysy. Twarz gładka, okrągła, bez namiętności i wzruszeń.

— Aweyssha! — Dziwny przesąd! — myślała, wypiwszy łyk herbaty. — Co by też powiedział, gdybym go zapytała, czy obrazy mogą również czynić Aweyszę? Zresztą, cóż to ważnego, przecież to zwykły fernal!

Zaczęła się irytować, że go tak długo słuchała. Irytacja wzmagala się w miarę wzrastania świadomości, że dotychczas nigdy, z żadnym z krewnych, nie prowadziła rozmowy podobnie

zajmującej; czuła w tej chwili, że obrażono jej rasę. Nie chcąc, by zauważył, że go obserwuje, przymknęła do połowy oczy. — Gdybym go miała w swej mocy, kazałabym mu ściąć głowę — szepnęła do siebie. Urażona w swej godności osobistej, chciała w ten sposób wmówić w siebie krwawe upojenie, ale jej się to nie udawało...

Samo uczucie okrucieństwa nic mogło w niej powstać, o ile nie było połączone z miłością lub pożądaniem, a jedno i drugie odbijało się od Tatara, jak od niewidzialnego pancerza...

Otworzyła przymknięte oczy: część młodszej służby cofnęła się podczas dialogu, który prowadziła z Tatem, w głąb długiego pokoju i z niezwykłym podnieceniem rozmawiała półgłosem. Doszło jej uszu kilka słów: — Proletariat nie ma prócz łańcuchów nic do stracenia. — Mówcą był służący, na którego Rosjanin spojrział przedtem tak znacząco. Był to młodzieniec o tępych wzroku, wyglądał na Czecha z Pragi. Udawał niezwykle odczytanego; wśród najrozmaitszych frazesów socjalistycznych usłyszała: „Własność jest kradzieżą”.

Potem jakieś mruczenie, w którym ciągle powtarzało się imię: Jan Žižka.

— To przecież bezmyślna głupota — syknął któryś; widać było, że trudno mu nagiąć się do szeptu. Chcąc wyładować swoją złość, wykręcił się na obcasie i ciągnął dalej: — Gdy tylko parę z ust puścimy, strzelają do nas jak do baranów. Karabiny maszynowe! Ka-ra-bi-ny ma-szy-no-we!

Słowa jego nie znajdowały rezonansu; Rosjanin miał na wszystko odpowiedź. — Jan Žižka — powtarzało się ciągle, jak refren pieśni.

Nagle padło imię: Ottokar Vondřejc. Poliksena usłyszała je wyraźnie; przeszło ją aż do szpiku kości.

Mimo woli pochyliła się naprzód, chcąc usłyszeć dokładnie, o czym mowa.

Rosjanin zauważył jej ruch i dał szybko znak zebrany; przerwali natychmiast rozmowę i wrócili na swe miejsca.

— Dlaczego umilkli? — zaczęła się zastanawiać Poliksena; instynktem wyczuwała, że rozmowa tych ludzi dotyczyła klasy, do której należała. Gdyby to tylko było niezadowolenie z zarobków albo coś w tym rodzaju, nic byliby tak podnieceni. Najbardziej niepokoiło ją to, że wymówiono imię Ottokara. — Czyżby o czymś wiedzieli? — potrząsnęła gwałtownie głową. — Banda tchórzów! Cóż to mnie zresztą obchodzi! Niechaj myślą, co im się podoba! Ja będę robiła, co się mnie podoba!

Próbowała wyczytać coś z twarzy Bożeny; wiedziała doskonale, że Ottokar miał dawniej stosunek z Bożeną, ale było jej to zawsze najzupełniej obojętne. Duma i poczucie własnej godności oddalały od niej zazdrość o dziewczkę kuchenną.

— Nie, twarz Bożeny ma wyraz obojętny i przyjazny. — A więc wymienili imię Ottokara w związku z czymś innym.

Wyraz nienawiści, z wysiłkiem ukrywany przez woźnicę Rosjanina, nie pozostawiał wątpliwości, że chodzi tu o sprawy stojące poza obrębem zagadnień życia osobistego.

Przypomniała sobie teraz, że przed kilkoma dniami, kupując coś w sklepie, była świadkiem następującej rozmowy:

— Na dole, w Pradze, wybuchły znowu jakieś nedorzeczne niepokoje. — Tłum planuje manifestacje, wybijanie szyb i tym podobne „demokratyczne” wybryki.

Odetchnęła z ulgą. — Cóż ją to obchodzi? — Powstanie w Pradze? — Głupstwo! Dotychczas nic podobnego nie przedstawiało się przez most prowadzący na Hradczyn. Bestia nie ma odwagi zbliżyć się do szlachty.

Odpowiedziała na spojrzenie woźnicy wzrokiem chłodnym i pogardliwym. A jednak spojrzenie to przejmowało do głębi, czuła w nim pełną grozy nienawiść. Nie odczuła jednak lęku, ma myśl o tym, że któregoś dnia sprawy mogłyby przyjąć obrót poważny, że mogłyby dojść do rozlewu krwi; poczuła coś w rodzaju łechtania, coś w rodzaju rozkosznego jeżenia się włosów...

Woda podskórna... Słowa te nasunęły się niespodzianie. Wypowiedział je w niej jakiś głos. Dlaczego „woda podskórna”, cóż

to ma za związek z jej myślami? Nie uświadamiała sobie nawet dobrze, czym jest ta „woda podskórna”... Coś, co drzemie pod ziemią, co nagle zaczyna wzbierać, zapełnia piwnice, podmywa fundamenty, rozwała w ciągu nocy stare domy... Z mglistego wyobrażenia wyrósł nagle obraz: z głębi wypływa krew, morze krwi, płynie z wnętrza ziemi, napełnia kanały, ulice, przelewa się strumieniami do Mołdawy.

— Krew, prawdziwa woda podskórna Pragi...

Ujrzała przed sobą czerwoną mgłę; zobaczyła, że mgła zasnuwa wykrzywioną łęką, pobladłą nagle twarz Rosjanina. Czuła, że odnosi nad tym człowiekiem jakieś zwycięstwo. Ma krew mocniejszą od jego krwi. — Coś jest w tej Aweyszy... — Popatrzyła na ręce Rosjanina. Były to łapy potworne, szerokie, groźne, jakby stworzone do duszenia. Leżały teraz na stole bezbronne, robiły wrażenie sparaliżowanych.

— Jeszcze nieprędko uda się wam, proletariusze, rozerwać łańcuchy — rzekła do siebie szyderczo.

Nagle u s w i a d o m i ł a sobie zupełnie jasno, że jeżeli zechce, potrafi „robić Aweyszę”; — może zresztą i ona, i ród jej umięją już to czynić od całych stuleci...

Jan Žižka

Z ostatnim uderzeniem dwunastej służba podniosła się pokornie: godzina wspólnoty minęła.

Poliksena stała w pokoju z portretami przodków, nie mogąc się zdecydować, czy ma ją rozebrać Bożena. Wreszcie ją odesłała.

— Całuję rączki hrabianki — rzekła dziewczyna.

— Dobranoc, niech Bożena idzie spać!

Usiadła na kraju łóżka i patrzyła w płomień świecy.

— Teraz spać? — Myśl ta wydawała jej się nie do zniesienia.

Podeszła do okna łukowego, wychodzącego na ogród i rozsunęła ciężkie firanki.

Księżyc wznosił się ponad drzewami wąskim, lśniącym sierpem, na próżno walcząc z ciemnościami. Na wysypaną żwirem drogę, prowadzącą do furty ogrodowej, padało światło z sute-ren. Niekształtne cienie snuły się ponad nią, gromadziły się, rozdzielały, rozszerzały, znikały, wracały, wydłużały, wyciągały szyje ponad ciemnymi plamami murawy, zawisały na chwilę między gałęziami, tworząc coś w rodzaju czarnego welonu, marszczyły się i zbliżały do siebie głowy, jakby szepcząc coś w tajemnicy na ucho... Tak wyglądały sylwetki postaci zebranych na dole w pokojach dla służby.

Za ciemnym, grubym murem parkowym, jak gdyby tam właśnie kończył się świat, wylaniało się z mglistej głębi bezgwiezdne niebo, podobne do ziejącej ku górze, bezgranicznej przepaści.

Polyksena starała się odgadnąć po ruchach cieni, o czym mogą mówić ci ludzie za szybami okiennymi.

Daremny wysiłek.

— Czy Ottokar już śpi?

Ogarnęło ją miękkie uczucie tęsknoty. Trwało tylko przez chwilę. Miała innego typu wizje aniżeli on. Dziksze, gorętsze. Nie umiała zatrzymać się długo przy wyobrazeniach pełnych spokoju; nie zdawała sobie nawet jasno sprawy, czy go kocha naprawdę.

Co by się stało, gdyby ją z nim rozłączono? Myślała o tym często i nigdy nie mogła znaleźć w sobie odpowiedzi. Był to wysiłek równie daremny, jak przedtem chęć odgadnięcia, o czym cienie ze sobą rozmawiały.

Własne wnętrze było dla niej pustką niezbadaną, nieprzeniknioną i zamkniętą, jak ciemność, która ją otaczała. Wyobrażając sobie, że Ottokar zmarł w tej chwili, nie potrafiła zdobyć się na uczucie bólu. — Wiedziała, że jest chory na serce, że życie jego wisi na włosku; mówił o tym kiedyś, ale słowa jego otarły się o nią jak o portret — odwróciła się — tak, jak o portret, wiszący na

ścianie. Unikając wzroku prababki, wzięła świecę i szła z nią od obrazu do obrazu. Martwy rząd zdrętwiałych twarzy...

— Nie mówią ani słowa; gdyby nagle ożyły, byłyby mi zupełnie obce, nie mam z nimi nic wspólnego. Spopieliły się w grobach.

Rzuciła okiem na białe, odkryte łóżko.

— Tu się położyć i spać? — wydawało jej się to czymś nie do pojęcia. — Mam wrażenie, że nie obudziłabym się już nigdy. — Przypomniała sobie śpiącą twarz stryja, z bezkrwistymi, zamkniętymi powiekami nad oczami. — Sen jest czymś okropnym. Może okropniejszym aniżeli — śmierć.

Otrząsnęła się w przerażeniu. Nigdy nic odczuwała tak wyraźnie jak teraz, w obliczu białych, grobowych płócien, że sen bez widziadeł sennych może przejść w wieczną śmierć świadomości.

Ogarnęło ją paniczne przerażenie.

— Na miłość Boską, uciec, uciec z tego pełnego trupów pokoju! — Ten paż tam na ścianie — taki młody, jest zgniłym próchnem, nie ma kropli krwi w żyłach — leży w grobie bez włosów, z małpio wykrzywioną twarzą. Przegnili starcy w grobach. Starcy, starcy... Precz z tymi starcami!...

Gdy na dole otworzyły się jakieś drzwi i na żwirze zaskrzyptały kroki, odetchnęła z ulgą. Służba żegnała się ze sobą cichym szeptem; chcąc usłyszeć rozmowy, a obawiając się, aby jej nie zobaczono z dołu, zgasiła świecę i uchyliła okna.

Woźnica-Rosjanin zatrzymał się przy kracie ogrodowej i powolnym ruchem zaczął szukać zapalek w kieszeni; gdy wszyscy się rozeszli, zapalił cygaro.

Zdawało się, że czeka na kogoś; Poliksena wyczuła to po tajemniczych poruszeniach, gdy usuwał się w cień, ilekroć z domu dochodził jakiś szmer; skoro tylko zapadała cisza, znowu patrzył przez kraty.

Nareszcie zjawił się obok woźnicy młody lokaj o tępym spojrzeniu.

Widać było, że i on unika reszty towarzystwa, wyrósłszy bowiem obok Rosjanina, rozglądał się wokoło przez długą chwilę, chcąc się przekonać, czy go nikt nie szpieguje.

W pokoju dla służby zgaszono światło; wysypana żwirem ścieżka znikła przed oczu, jakby ją połknęły ciemności.

— Daliborka — padło z ust Rosjanina.

Znowu. Tym razem nie ma wątpliwości. — Daliborka — słyszała wyraźnie!

A więc jednak chodzi o Ottokara? Odgadła, że ci dwaj mają zamiar udać się do Daliborki, że planują coś, co jest dla pozostałych tajemnicą.

Wieża była od dawna zamknięta; czego ci ludzie mogą tam szukać?

Chcą włamać się do przybranych rodziców Ottokara? Śmieszne! Przecież to biedacy! A może chcą jemu zrobić coś złego? Może to zemsta?

Po chwili i to przypuszczenie odrzuciła; było równie absurdalne jak poprzednie. Przecież Ottokar nie obcuje z ludźmi ich pokroju, prawie nie rozmawia z nimi. Czymże mógłby ściągnąć na siebie ich nienawiść? — Nie, tu chodzi z pewnością o głębsze sprawy — mówiło przeczucie głosem nieomal pewności.

Brama ogrodowa zamknęła się cicho, rozległ się odgłos oddalających kroków.

Przez chwilę wahała się, co czynić. Zostać? Położyć się spać? Nie, nie! A więc: za nimi!

Trzeba było działać bardzo szybko; lada chwila mógł portier zamknąć bramę, co przeszkodziłoby jej wydostać się z domu.

Zaczęła szukać po ciemku czarnej koronkowej chustki. Nie miała odwagi zapalić świecy. Nie widzieć tych strasznych, trupich twarzy, które wiszą na ścianach! Lepsze już stokroć niebezpieczeństwo czyhające w samotnych, okrytych mrokiem nocy ulicach.

Gnała ją nie ciekawość, ale raczej strach, że będzie musiała zostać do rana w sali portretowej, której powietrze wydało jej się

nagle duszne i dławiące, jakby przesycone oddechami upiorów. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy, dlaczego powzięła to postanowienie, czuła tylko, że z jakichś nieokreślonych powodów musi tak postąpić.

Wyszedłszy poza bramę, zaczęła się zastanawiać, w jakim iść kierunku, by nie spotkać tych dwóch. Postanowiła wybrać długą drogę okrężną przez ulicę Spornera i plac Waldsteina. Trzymała się blisko murów, pędziła z rogu na róg, ile tylko sił starczyło.

Przed pałacem Fürstenbergów rozmawiało kilkanaście osób; nie chciała przechodzić obok nich w obawie, że część tych ludzi należy do służby. Czekanie wydało się jej wiecznością; narzeczcie towarzystwo się rozeszło.

Pobiegła wśród ciemnych murów po starych schodach zamkowych; zwisające za nimi okwiecone gałęzie drzew lśniły w ciemnościach białawą poświatą, wsączały promienie księżyca i napełniały powietrze odurzającym zapachem.

Na każdym zakręcie zwalniała kroku, bojąc się wpaść w czyjeś ręce. Miała już większą część drogi za sobą. Nagle wydało jej się, że czuje zapach tytoniu.

— Rosjanin — było jej pierwszą myślą. Przystanęła, nie chcąc się zdradzić szelestem sukni.

Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność, nie mogła dojrzeć własnej ręki. Górna część muru, wznoszącego się po prawej stronie, odbijała słabe światło półksiężyca, który tkwił gdzieś głęboko na niebie, i okryta plamami cieni, płonęła matowym, fosforycznym blaskiem; to zwodnicze, parujące lśnienie nie pozwalało odróżnić poszczególnych stopni. Wytężyła słuch; z ciemności nie dochodził żaden dźwięk.

Żaden liść się nie poruszył.

Chwilami wydawało jej się, że zupełnie blisko słyszy cichy, wstrzymywany oddech; miała wrażenie, że wionie bezpośrednio od muru, ciągnącego się po lewej ręce; wpiła wzrok w ciemność; zachowując najgłębszą ciszę, wysunęła głowę i nasłuchiwała.

Głębokie milczenie.

— Był to na pewno własny mój oddech, a może ptak jakiś poruszył się we śnie.

Szła dalej po schodach bardzo ostrożnie. Nagle tuż obok zabłysło jaskrawe światło palącego się papierosa i na sekundę oświetliło jakąś twarz z odległości tak straszliwie bliskiej, że byłaby jej dotknęła, gdyby pod wpływem przerażenia i grozy nie zdążyła się cofnąć w porę.

Serce jej zamarło, miała przez chwilę wrażenie, że się pod nią ziemia zapada; potem zaczęła biec jak szalona. Dopiero gdy się kolana pod nią uginać zaczęły, zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów zamkowych. W świetle gwiazd zaczęła odróżniać leżące u nóg kontury budynków i lśniące wśród mglistych oparów miasto.

Wyczerpana, półprzytomna, oparła się o kamienne filary luku, utworzonego przez bramę, pod którym wzdłuż Jeleniego Rowu szła ścieżka, prowadząca do Daliborki. Teraz dopiero twarz i postać, widziana przed chwilą, stanęła wyraźnie przed wzrokiem jej duszy: czarne okulary, garbaty — tak jej się przynajmniej zdawało — długi, ciemny surdut, rude bokobrody, bez kapelusza, włosy szorstkie, coś w rodzaju peruki, dziwnie rozdęte nozdrza...

Zaczęła się powoli uspokajać.

— Bogu ducha winny kaleka, stał tam zapewne przypadkowo, może się przeląkł tak samo jak ja. Cóż w tym nadzwyczajnego? — Popatrzyła na schody, po których wbiegła. — Chwała Bogu, nic idzie za mną!

Mimo to, wskutek przeżytego lęku serce jej biło jeszcze gwałtowniej. Oszołomiona, siedziała na marmurowej balustradzie schodów jakieś pół godziny, chcąc się nieco uspokoić. Pod wpływem przejmującego chłodu nocnego zaczęła drzeć z zimna. Głosy ludzi, wchodzących na górę po schodach, wróciły jej pełną świadomość, w jakim celu tu przybyła.

Podniósłszy się i ostatecznie otrząsnąwszy z lęku, zacisnęła zęby, aby opanować nerwowe drżenia.

Nieokreślony pęd, nakazujący iść do Daliborki, dodawał nowych sił. Nie starała się nawet ustalić, jaka przyczyna, jaka konieczność ją gnała: czy pragnęła przejrzeć zamiary Rosjanina i jego towarzyszy, czy też miała przestrzec Ottokara przed groźnym mu niebezpieczeństwem.

Czy nie byłoby rozsądniej pójść do domu i ułożyć się do snu? — To przelotne wahanie wypierała może ambicja spełnienia powziętej decyzji, choćby nawet bezmyślnej, a może tylko coś w rodzaju zadowolenia z dowodów własnej wytrwałości i odwagi.

Mając przed oczami cienistą budowlę wieży głodowej, której kamienna nasada w kształcie czapki była wśród ciemności drogowskazem, zaczęła wdrapywać się po stromych stokach, aż dotarła do małej furtki wypadowej, prowadzącej w kierunku Jeleniego Rowu.

Nie określony bliżej zamiar jej polegał na tym, aby wejść do dworu lipowego i zastukać do okna Ottokara; nagle usłyszała przytłumiony gwar rozmów. Przedzierając się po omacku, szedł ku wejściu oddział ludzi, który zapewne dostał się tu za nią po schodach zamkowych.

Przypomniała sobie, że w murze był wydrążony otwór do wnętrza Daliborki; zgarbiwszy się, można było się prześliznąć przezeń. Z milknących stopniowo szeptów i z odgłosów padających kamieni wносиła, że ludzie ci wchodzą przez otwór do wieży.

Przesadziła kilkoma krótkimi, niecierpliwymi skokami zmurzałe stopnie, prowadzące ku wejściu i podbiegła do domku wartownika, którego jedno okno lśniło matowym światłem...

Przyłożyła ucho do zawieszonych zielonymi firankami szyb.

— Ottokarze, Otto-karze! — szepnęła, jak tylko mogła najciszej.

Zaczęła nasłuchiwać.

Rozległ się ledwie dosłyszalny trzask, jakby w pokoju ktoś zbudził się z głębokiego snu.

— Ottokarze! — zapukała delikatnie w szybę. — Czy to ty, Ottokarze?

— Ottokarze, czy to ty? — przyniosło te same słowa echo.

Poliksena chciała się oddalić; nagle bezdźwięczny głos w pokoju zaczął mówić, jak mówią do siebie ludzie we śnie. — Było to jękające się, pełne udręki mruczenie, przerywane pauzami głębokiego milczenia; od czasu do czasu słychać było cichy szmer, jakby ktoś niespokojną ręką gładził kołdrę.

Poliksena miała wrażenie, że odróżnia zdania z *Ojciec Nasz*. Im bardziej wyteęzała słuch, tym wyraźniej łowiła uchem miarowe uderzenia wahadła.

W miarę nadśluchiwania, bezdźwięczny głos stawał się coraz bardziej znajomy.

Pojęła wreszcie: ktoś powtarzał słowa modlitwy; nie słyszała jednak ich treści, nie wiedziała, do kogo są zwrócone.

Opadły ją niejasne wspomnienia: do głosu tego należeć musi stara, dobrotliwa twarz z białym czepkiem na głowie. — To z pewnością przybrana matka Ottokara; nic widziałam jej przecież nigdy w życiu?!

Nagle jak gdyby zasłona opadła z pamięci:

— Zbawicielu krzyżowany! Z cierniową koroną na czole... — te same słowa mruczały kiedyś, przed laty, nad własnym jej łóżkiem te same usta; widziała, jak się przy tym składały pomarszczone ręce — ujrzała całą postać, która zapewne leży teraz w pokoju bezbronna, złamana. Uświadomiła sobie wyraźnie: była to jej stara piastunka, która często gładziła ją delikatnie po policzkach i śpiewała kołysanki.

Wstrząśnięta do głębi, słuchała pełnych nadziei, urywanych, prawie niezrozumiałych słów, które przez szpary w oknie docierały do jej uszu:

— Matko Boska, błogosławiona między niewiastami... nie pozwól, by sen mój stał się rzeczywistością... odsuń nieszczęście od Ottokara... złóż jego grzechy na moje barki... — Uderzenie zegara pochłonęło koniec zdania. — Jeżeli jednak tak być musi, jeżeli nie chcesz nieszczęścia od niego odwrócić, uczyni, bym się pomyliła i by nie t a ponosiła winę, którą kocham. — Poliksena

miała wrażenie, że każde słowo uderza ją prosto w serce. — Matko Boża, oswobodź go z mocy tych, którzy są teraz w wieży i myślą o morderstwie... Nie słuchaj, jeżeli w boleściach mych ciągle błagam cię o śmierć... Ale spełnij tęsknotę, która go pożera; niechaj tylko rąk jego nie dotknie krew ludzka; zgaś pochodnię jego życia, zanim by się splamić miał krwią. A gdyby potrzebna była ofiara, przedłuż dni mej męki, a jego dni ukróć, by nie mógł popełnić grzechu. I nie obwiniaj go za to, do czego się wyrывa. Wiem, że tęskni za tym tylko z powodu niej... Ale i na niej winy nie zostawiaj. Kochałam ją od pierwszego dnia jak własne dziecko... Daj jej Matko Boska...

Poliksena uciekła w szalonym pośpiechu. Czowała, że mogą tu jeszcze paść ku niebu słowa, które rozerwą tkwiący w jej wnętrzu obraz; instynkt samozachowawczy kazał jej bronić się przed tym. Obraz prababki, który nosiła w sobie, przeczuwał, że grozi mu niebezpieczeństwo wygnania z żywej piersi i powrotu na martwą ścianę w pałacu Elsenwangerów...

W środkowej kondygnacji Daliborki, w tym straszliwym, półkolistym miejscu, w którym niegdyś rzeczniczy karzącej sprawiedliwości oddawali ofiary na pastwę obłędu czy głodu, siedziała na ziemi, dokoła otworu, przez który w dawnych czasach rzucono do piwnicy trupy skazanych, zbita gromada ludzi.

We wnękach muru tkwiły pochodnie acetylenowe; olśniewający ich blask wyzerał barwę z twarzy zebranych, z ubiorów, z każdej nierówności i chropowatości; zdawało się, że wszystko składa się z sinawośnieżnych i czarnych cieni.

Poliksena przekradła się na pogrążone w ciemności górne piętro, które знаła doskonale ze spotkań z Ottokarem, położyła się na brzuchu i przez okrągły otwór w podłodze, łączący obydwie piętra, zaczęła obserwować, co się dzieje na dole.

Miała wrażenie, że zebrali się tu przeważnie robotnicy z fabryk maszyn i amunicji; byli to ludzie o surowych twarzach i stalowych pięściach. Drobny Ottokar, siedzący obok rosyjskiego woźnicy, wyglądał na tym tle jak małe dziecko. Zauważyła, że

wszyscy są mu obcy, nie znał nawet ich imion. Na uboczu, na kamiennym głazie, siedział z głową pochyloną na piersi, jakby pogrążony we śnie, aktor Zrcadlo.

Rosjanin wygłosił zapewne przed jej zjawieniem się jakąś mowę; dowodził tego szeregiem pytań, jakie mu zadawano.

— Piotr Aleksiejewicz Kropotkin — wysylabizował tytuł zeszytu siedzący po lewej stronie woźnicy lokaj, Czech z pochodzenia. — Czy to rosyjski generał? W takim razie połączymy się z żołnierzami rosyjskimi przeciw Żydom, prawda, panie Siergiej?

Rosjanin zerwał się z miejsca i zawołał:

— Połączyć się z żołnierzami? My? Przecież sami chcemy być panami. Precz z wojskiem! — Żołnierze częstowali nas zawsze tylko kulami! Walczymy przeciw każdej tyranii o wolność i sprawiedliwość, chcemy zniszczyć państwo, Kościół, szlachtę, mieszczaństwo; dosyć już ich rządów, dosyć wodzenia za nos! Ileż razy mam ci to powtarzać, Waclawie! Musi popłynąć krew szlachty, która nas poniża i więzi! Nikt spośród nich nie powinien pozostać przy życiu, ani młodzieniec, ani starzec, ani kobieta, ani dziecko!... — Podniósł do góry straszliwe ręce, podobne do młotów. Ogarnęła go wściekłość, nie mógł mówić dalej.

— Tak, krew musi płynąć! — zawołał lokaj, łatwo dając się przekonać. — Pod tym względem jesteśmy zgodni.

Rozległy się głosy aprobaty.

— Hola, na to się nie zgadzam! — Ottokar zerwał się z miejsca. Wszyscy zamilkli. — Napadać na bezbronnych? Czyż jestem krwiożerczym zwierzęciem? Protestuję! Nie...

— Milcz, Vondrejcz! Przysiągłeś! — zawołał Rosjanin, usiłując chwycić go za ramię.

— Nic nie obiecałem, panie Siergiej! — Ottokar odtrącił ze wzburzeniem wyciągniętą w jego kierunku pięść. — Przysiągłem, że nie zdradzę niczego, co się tu dzieje, nawet gdyby mi język wrywano z gardła. I tego dotrzymam. Otworzyłem wam Daliborkę, abyśmy mogli zebrać się i tu postanowić, co się ma stać dalej. To ty mnie okłamałeś, Siergiej; powiedziałeś, że chcemy...

Nie mógł mówić dalej, Siergiej złapał go bowiem za rękę i powalił. — Powstała krótkotrwała bójka.

Wstał jakiś robotnik, olbrzym o szerokiej, tygrysiej twarzy i, patrząc na Rosjanina błyszczącymi oczyma, zawołał:

— Puść go pan, panie Siergiej! Tu każdy może mówić, co mu się podoba, zrozumiano? Jestem garbarz, nazywam się Stanisław Havlik. Zgadzam się, krew popłynie, musi popłynąć. Inaczej nie można. Ale są przecież ludzie, którzy nie mogą patrzeć na krew. Przecież to tylko muzykant.

Rosjanin zbladł, zaczął w szewskiej pasji gryźć paznokcie i, spuściwszy powieki, badał twarze zebranych, chcąc z nich wyczytać, jak się ustosunkują do sprawy. Za żadną cenę nie chciał sporów. Trzeba było bezwarunkowo trzymać wszystko mocno w łapach. Najważniejszą i jedyną dla niego troską było: stanąć samemu na czele ruchu, bez względu na to, jak ruchowi temu będzie na imię.

Nie wierzył nigdy w możliwość realizacji nihilistycznych teoryj, był zresztą na to za mądry. Konceptje tego rodzaju pozostawiał marzycielom i wariatom. Bystre spojrzenie woźnicy wskazywało, że istotnym dlań owocem anarchizmu jest podniecenie głupiej masy nihilistycznymi frazesami, aby z zamętu wyłowić dla siebie stanowisko, dające najwięcej władzy, pozwalające raz wreszcie dostać się do wnętrza powozu, zamiast ustawicznie siedzieć na koźle. Ukryta myśl nihilistów: „odejdz i pozwól, abym ja zajął twe miejsce”, stała się od dawna jego własną myślą.

Zmusił się do uśmiechu i rzekł wymijająco:

— Ma pan rację, panie Havlik, sami wszystko zrobimy... Wszyscy chcemy przecież jednego i tego samego. — Wyciągnął z kieszeni zeszyt i zaczął znowu czytać: — „Przyszła rewolucja stanie się powszechną i tym różnić się będzie zasadniczo od poprzednich. Orkan ogarnie nie jeden tylko kraj; wciągnie w wir swój wszystkie narody Europy. Jak w roku 1848, tak i dziś, ruch, który powstanie w jednym kraju, przerzuci się w razie potrzeby na inne kraje i rozpali płomieniem całą Europę”. — Przerzucił kilka

kartek i czytał dalej: — „Klasy posiadające przyrzekły nam wolność pracy i w rezultacie zmieniły nas w niewolników fabrycznych. (— Przecież pan nie jest wcale robotnikiem fabrycznym, panie Siergiej — rzekł ktoś z tylnych rzędów tonem szyderczym), zostaliśmy poddanyymi „panów”. Postanowili zorganizować przemysł, aby zapewnić nam godne człowieka warunki bytu, w rezultacie wywołali kryzysy, których końca nie widać, i beznadziejną nędzę. Nie dotrzymali żadnej obietnicy”. (— Racja, słusznie, słusznie! — zawołał lokaj z poważną miną i tępym wzrokiem powiódł dokoła, czekając na aplauz.) — Słuchajcie no, co pisze dalej eksceleńcja książę Piotr Kropotkin (ojciec mój miał kiedyś zaszczyt być jego woźnicą przybocznym): — „Państwo jest obrońcą eksploatacji i spekulacji, ochrania własność prywatną, zdobytą rabunkiem i oszustwem. Proletariusz, którego jedynym dobytkiem jest siła i zręczność rąk — tu, jakby na dowód, podniósł swe muskularne łapy — nie może niczego spodziewać się po państwie; to dla niego nic innego, tylko korporacja, której cały wysiłek sprawdza się do ograniczenia jego wolności. Czy klasy panujące idą naprzód w dziedzinie praktycznego życia? Skądże znowu! W obłądnym zaślepieniu podnoszą strzępy chorągwi, bronią egoistycznego indywidualizmu, walki konkurencyjnej człowieka przeciw człowiekowi, narodu przeciw narodowi (bij Żydów! — podszczywał głos z tylnych rzędów), wszechwładzy ustroju centralistycznego państwa. Przechodzą od protekcjonizmu do wolnej wymiany, od wolnej wymiany do protekcjonizmu, od reakcji do liberalizmu, od liberalizmu do reakcji, od bigoterii do ateizmu, od ateizmu do bigoterii. Trwożliwy wzrok kierują wciąż ku przeszłości; niezdolność do najmniejszego choćby dzieła, które by posiadało cechy trwałości, występuje coraz jaskrawiej”. — Słuchajcie dalej: — „Kto jest zwolennikiem państwa, ten akceptuje równocześnie wojnę. Państwo bowiem dąży i musi ustawicznie dążyć do wzmożenia swej potęgi; musi starać się o przelicytowanie sąsiadów pod względem siły, jeżeli nie chce być w ich rękę igraszką. Dlatego wojna jest dla państw europejskich ustawiczną koniecz-

nością. Ale jeszcze jedna, druga wojna, a w gruzach legnie cała ta chyląca się do upadku maszyna państwowa...”

— Wszystko bardzo pięknie — przerwał niecierpliwie jakiś starszy rzemieślnik — ale co robić teraz, w tej chwili?

— Przecież słyszysz: bić na śmierć Żydów i szlachtę. I w ogóle wszystkich, którzy się stawiają — pouczał go lokaj. — Musimy im pokazać, że myśmy tu panami!

Rosjanin potrząsnął bezradnie głową, potem, jakby szukając pomocy, odwrócił się do aktora Zrcadlo, który, nie biorąc udziału w sprzeczce, siedział w dalszym ciągu na kamieniu, pogrążony w głębokiej zadumie.

Jeszcze raz zdobył się na przemówienie:

— Pytacie, co się ma stać teraz? To ja was pytam: co się teraz stać musi? Wojsko jest w polu. W domu zostały tylko kobiety, dzieci i my! Na cóż czekamy?

— Ale istnieją jeszcze na świecie koleje i telegrafy — wtrącił spokojnie Havlik. — Jeżeli jutro uderzymy, pojutrze pojawią się w Pradze karabiny maszynowe. A potem? — No, serwus!

— Potem? Potrafimy potem umrzeć — zawołał Rosjanin — oczywiście, gdyby tak daleko rzeczy zajść miały, w co zresztą nie wierzę. — Uderzył ręką o zeszyt: — Któż się zawaha, gdy chodzi o zbawienie ludzkości? Wolność nie przychodzi sama, trzeba ją wziąć!

— *Panove! Prosim* spokojnie z zimną krwią! — rzekł z patetycznym gestem lokaj. — *Panove* — Stare dyplomatyczne zdanie brzmi jak następuje: naprzód pieniądze, potem pieniądze, w końcu znowu pieniądze! — Pytam: czy pan Kropotkin — wykonał palcami gest, podobny do przeliczania monet — czy pan Kropotkin ma *penize*? Czy ma pieniądze?

— On nie żyje — mruknął Rosjanin.

— Umarł? W takim razie... — Lokajowi twarz się wyciągnęła. — W takim razie szkoda całego gadania.

— Będziemy mieli pieniędzy jak śmieci! — zawołał Rosjanin. — Czyż srebrny posąg świętego Jana Nepomucena, który stoi

w katedrze, nie waży trzech tysięcy funtów? Czy w klasztorze Kapucynów nie ma całych stosów pereł i diamentów? Czyż w pałacu Zahradki nie leży zakopana w ziemi stara korona królewska i skarb wielki?

— Za te rzeczy nie można kupić chleba — rzekł garbarz Havlik. — Jakżeż to zamienić na pieniądze?

— To śmieszne — odparł lokaj, który w jednej chwili odzyskał cały tupet. — Do czegoż służy lombard miejski? A zresztą: któż się waha, gdy chodzi o dobro ludzkości?

Powstał zgiełk, podniosły się głosy za i przeciw; każdy chciał się wypowiedzieć. Tylko robotnicy zachowywali spokój.

Gdy zgiełk ustał, jeden z nich wstał i rzekł z powagą:

— Nic nas nie obchodzą te ludzkie gadania. Chcemy usłyszeć, co Bóg nam powie — wskazał na Zrcadla — niechaj przez usta jego Bóg przemówi. Przodkowie nasi byli husytami i gdy trzeba było iść na śmierć, nie pytali: dlaczego? Wiemy tylko jedno: tak dalej być nie może... Materiał wybuchowy mamy, starczy go, aby cały Hradczyn wyleciał w powietrze. Gromadziliśmy funt po funcie i chowali. Niech teraz Zrcadlo mówi, co ma się stać.

Poliksena pochyliła się w najwyższym podnieceniu nad otworem w podłodze.

Zobaczyła, że aktor wstał, zataczając się, nie wymówił jednak ani słowa, powiódł tylko palcem wzdłuż górnej wargi; zauważyła później, że Rosjanin zacisnął mocno ręce, jakby wyężdżając wszystkie siły, aby wolą swoją pokierować lunatykiem. Przypomniała sobie słowo „Aweysha” i odgadła natychmiast, że Rosjanin zamierza, nawet może podświadomie, użyć aktora za narzędzie. Miała wrażenie, że mu się to udaje. Zrcadlo zaczął poruszać wargami.

— Nie, to się stać nie może! — Nie miała najmniejszego pojęcia, co należy uczynić, aby pokierować somnambulikiem według w l a s n e j woli, powtarzała tylko ustawicznie: — To się stać nie może.

Nihilistyczne teorie Rosjanina ledwie musnęły jej świadomość. Jedno wyczuła wyraźnie: motłoch chce objąć władzę nad szlachtą!

Błękitna krew, płynąca w jej żyłach, opierała się tej koncepcji.

Trafnym instynktem pojęła, że motorem duchowym tych teorii była żądza rozpanoszenia się, a więc pogrom, przybrany w inną formę. — Nie wiedziała, że twórcy tych teorii, Kropotkin, Tołstoj czy Michał Bakunin, nie ponosili żadnej winy; do nazwisk tych czuła jakąś żywiołową nienawiść.

— Nie, nie, nie, n i e c h c ę, aby się to stało! — mówiła do siebie, zaciskając usta.

Zrządło zakołysało się w jedną i drugą stronę, jak gdyby o panowanie nad nim walczyły dwie przeciwstawne siły; wreszcie jakaś trzecia, niewidzialna potęga rozstrzygnęła walkę na swoją korzyść. Pierwsze słowa, które z siebie wydobył, pełne były niepewności i wahania.

Poliksena uświadomiła sobie z triumfem, że po raz drugi osiągnęła, co prawda, niezupełnie jeszcze, zwycięstwo nad Rosjaninem. Była przekonana, że somnambulik w każdym razie nie będzie mówił po myśli jej przeciwnika.

Aktor uspokoił się nagle i z wielką pewnością siebie wszedł na kamień jak na mównicę. Nastąpiła cisza.

— Bracia! Chcecie, aby Bóg do was przemówił? Usta każdego człowieka stają się ustami Boga, gdy wierzy, że tak jest w istocie. Tylko wiara przemienia usta człowieka w usta Boga. Każda rzecz staje się Bogiem, skoro tylko uwierzy, że jest nim.

Gdyby przemówiły do was usta Boga, a wiara wasza mówiła wam, że to usta ludzkie, zniżyłyby się usta Boga do ust ludzkich. Dlaczego nie wierzycie, że własne wasze usta mogą się stać ustami Boga? Dlaczego nie mówicie do siebie: — jestem Bogiem, jestem Bogiem!

Gdybyście to byli mówili i wierzyli w to, wiara pomogłaby w tej godzinie.

Chcecie, aby głos Boga odzywał się tam, gdzie nie ma ust, aby ręka jego tam działała, gdzie nie ma ramienia. W każdym ramieniu, które hamuje waszą wolę, widzicie tylko ramię ludzkie. W każdych ustach, które wam przeczą — usta ludzkie. We własnym ramieniu dostrzegacie tylko ramię ludzkie, we własnych ustach tylko usta ludzkie, a nie ramię Boga i jego usta! Jakże się wam może Bóg objawić, skoro nie wierzycie w niego, skoro nie wierzycie, że jest wszechobecny.

Wielu z was wyrokuje: niechaj rządzi Opatrzność boska; równocześnie wyrokujecie, że możecie być panami swego losu. A więc sądzicie, że można być panem ponad Bogiem, zostając mimo to człowiekiem?

Zostaniecie panami swego losu tylko wtedy, gdy będziecie mieli pełnię świadomości, że jesteście Bogiem; tylko Bóg bowiem może być panem losu. Jeżeli uważacie, żeście tylko ludźmi, oderwanymi i odłączonymi od Boga, żeście czymś innym aniżeli Bóg, w takim razie żadna w was zmiana nie zajdzie i los będzie zawsze ponad wami.

Pytacie, dlaczego Bóg pozwolił, aby powstała wojna? Zapytajcie siebie: dlaczego pozwoliliście s a m i, aby powstała? Czyż nie jesteście Bogiem? Pytacie: dlaczego Bóg nie odsłania wam przyszłości? Zapytajcie siebie, dlaczego nie wierzycie, że jesteście Bogiem. Gdybyście w to wierzyli, znalazłbyście przyszłość, gdyż sami byście ją stworzyli, każdy odtworzyłby część, która nań przypada; z poszczególnych zaś części mógłby każdy ogarnąć całość i przewidzieć przyszłość.

Tymczasem pozostajecie niewolnikami losu; los ten toczy się jak spadający kamień; kamień — to wy sami. Składa się ten kamień z ziaren piasku, toczycie się razem i razem z nim spadacie. Podczas toczenia się i spadania zmienia ustawicznie swe formy zgodnie z niezmiennymi prawami wiecznej natury.

Kamień nie zważa wcale na ziarna piasku, które tworzą jego ciało. Jakże mogłoby być inaczej? Przecież wszystko, co istnieje na ziemi, dba tylko o swe ciało.

Wielki kamień ludzkości był dotychczas kamieniem luźnym, składającym się z różnokolorowych ziaren piasku; dopiero teraz przybiera formę poszczególnych ziaren piasku: staje się podobny do jednego olbrzymiego człowieka.

Teraz dopiero odbywa się powstanie człowieka z oddechu i — z gliny. Ci, co są myślącym, skromnym „mózgiem”, staną się wszyscy razem j e g o mózgiem; ci zaś, co są miękkim, uchwytnym, widocznym „uczuciem” — staną się jego uczuciem.

T a k staną obok siebie narody, kształtujące się według własnych form, a nie według miejsca zamieszkania, pochodzenia czy mowy.

Gdybyście zawsze wierzyli w to, żeście Bogiem — stałoby się tak na samym początku; tymczasem woleliście czekać, aż los chwyci do ręki młot i kowadło — wojnę i rozpacz — by ociosać oporny kamień...

Spodziewacie się, że ustami tego, którego nazywacie Zrcadłem — zwierciadłem, Bóg do was przemówi? Gdybyście mieli wiarę w to, że jest Bogiem, a nie jedynie jego odbiciem lustrzanym, Bóg powiedziałby wam pełną prawdę o tym, co przyjdzie.

A tak tylko zwierciadło mówić do was może i odsłonić wam może część prawdy.

Poznacie ją i nie będziecie wiedzieli, co z nią czynić. Przecież nawet teraz nie uświadamiacie sobie, żeście poznali część najcenniejszych tajemnic, jakie człowiek śmiertelny znieść potrafi!

Miska soczewicy wystarczy dla was, więcej wszak nie żądacie...

— Jak się skończy wojna? Kto wygra? — wybuchną nagle lokaj, przerywając, proroczą mowę. Niemcy — panie Zrcadlo?

— Jak się to skończy?

— Koniec? Jak się skończy? — Aktor zwrócił się doń dowolnym ruchem; twarz miał jakby nieobecna, rysy znieruchomiałe, w oczach zagasło życie. — Koniec? Pożar Londynu i powstanie w Indiach — oto początek — końca.

Otoczono opętańca kołem, zarzucono go gradem pytań, ale nie dawał żadnej odpowiedzi. Był jak nieczuły automat.

Rosjanin patrzył przed siebie szklanym wzrokiem — lejce, którymi spodziewał się kierować buntownikami, wypadły mu z rąk.

Gra była stracona. Z chwilą, gdy żądry władzy przeciwstawił się wybuch szału sekciarstwa, skończyła się jego kierownicza rola. Nieuchwytny upiór zwałił go z kozła i zaczął kierować powozem.

Chcąc odzyskać siłę wzroku, Poliksena skierowała oczy na ziejący ciemnością otwór, dokoła którego zebrała się zbita masa; aktor stał przez cały czas pod lampą acetylenową, której jaskrawe, ostre światło zupełnie ją oślepiało. — Refleks płomienia, który palił siatkówkę oka, wychylał się raz po raz z ciemnej głębi...

Przyłączyły się inne obrazy, zarysy twarzy zaczęły wyrastać z głębi. Zbliżały się potwory duchowej Nocy Walpurgi.

Poliksena drżała każdym fibrem, dygotała pod wpływem nowego, obcego jej dotąd podniecenia.

Słowa aktora zabrzmiały w niej echem — zbudziły coś, czego dotychczas wcale nie знаła.

Miała wrażenie, że i mężczyzn ogarnęło fanatyczne odurzenie; spostrzegła, że twarze mają powykrzywiane; rozmawiali, bezładnie, dziko gestykulując — od czasu do czasu rozlegały się okrzyki: — Bóg do nas przemówił... powiedział, że jest Bogiem...

Ottokar stał oparty o ścianę. Nie mówił ani słowa, był niezwykle blady; błyszczące oczy utkwiał w aktorze, który stał nieruchomo i sztywno, jak posąg z kamienia.

Spojrzawszy znowu na ziejący ciemnością otwór, wstrząsnęła się: czyż nie wstają przed nią postacie otulone w szaty z mgły, czyż nie stały się zamiast refleksów upiorną rzeczywistością? Znowu Ottokar, jego wizerunek, cień przeszłości z berłem w ręku...

Potem człowiek jakiś w zardzewiałym hełmie, z czarną przepaską na oczach, jak husyta Jana Žižka — i prababka hrabina Poliksena Lambua, która tu oszalała w wieży — nosi szare ubranie

więzienne, uśmiecha się groźnie. Wszyscy zmieszali się z tłumem buntowników, który ich nie widzi...

Podobizna Ottokara zlewa się z żywą jego istotą, człowiek w hełmie schodzi się z aktorem i znika — zamiast czarnej opaski pada nagle na twarz Zrcadla jakiś cień; zardzewiały hełm zmienia się w bezładnie spadające loki.

Cień zmarłej hrabiny przekrada się do Rosjanina i, objawszy go za szyję, zaczyna dusić.

Wydaje się, że Rosjanin to czuje, brak mu oddechu. Postać hrabiny rozplywa się powoli w świetle pochodni acetylenowych, widać tylko białe palce.

Poliksena zrozumiała niemą mowę wizji. Wyteżyła w kierunku Zrcadla całą siłę woli i zaczęła myśleć o tym, co jej Tatar opowiadał o Aweyshy.

Prawie w tejże chwili wróciło życie w aktora; usłyszała gwałtowne sapanie — wciągał powietrze szybkimi ruchami nozdrzy.

Widząc go tak zmienionego, zebrani się cofnęli.

Garbarz Havlik wskazał sztywnym ramieniem na cień padający od opaski i zawołał:

— Jan Žižka! Jan Žižka z Trocnova!

— Jan Žižka z Trocnova! — rozległ się trwożny szept, podawany z ust do ust.

— Jan Žižka z Trocnova! — skrzeczał lokaj, zakrywając twarz rękami. — Czeska Elżbietka powiedziała, że on się zjawi.

— Sprawdziła się przepowiednia czeskiej Elżbietki — rozległo się echem z głębi...

Zrcadlo wyciągnął lewą rękę, jak gdyby klęczał przed nim jakiś niewidoczny człowiek, którego głowy chciał dotknąć.

W oczach miał wyraz ślepoty.

Poliksena usłyszała jego mruknięcie: *Kde maš svou pleš* — mnichu, gdzie twoja tonsura?

Powolnym ruchem uniósł pięść i nagle opuścił ją z niezwykłą mocą, jakby na kowadło.

Tłum zakołysał się w przerażeniu jak gdyby aktor w rzeczywistości rozbił czaszkę księdza, jak to za czasów taborytów uczynił Žižka.

Poliksena miała wrażenie, że zwałił się kontur jakiegoś człowieka, ubranego w szarą sutannę. Stały przed oczami opowieści z wojny husyckiej, w których rozczytywała się potajemnie w latach dzieciństwa.

Czarny Žižka, w żelaznej zbroi, na białym koniu prowadzi swe zastępy; lśnią kosy, błyszczą gwiazdy poranne; stratowane pola, płonące wsie, splądrowane klasztory...

Ujrzała krwawą walkę przeciw „adamitom”: „... nadzy mężczyźni i gołe kobiety, prowadzeni przez szalonego Borka Klatovskiego, uzbrojeni tylko w noże i kamienie, rzucają się na husytów, wgryzają się w ich gardła; rozprawiono się z nimi jak ze wściekłymi psami, a w ostatnich czterdziestu otoczono kołem i usmażono na wolnym ogniu...” Słyszy gwar wojenny na ulicach Pragi, które pozamykano na łańcuchy, aby odeprzeć ataki oszalałych taborytów; słyszy okrzyki przerażenia uciekającej załogi, huk padających z hałasem kamiennych kul armatnich, chrzęst toporów, dźwięk mieczy, świst proc...

Poliksena widzi, jak spełnia się na Žiżce przekleństwo „adamitów”: „oby oślepl jednooki Žižka!” — widzi strzałę, która przebija jego zdrowe oko — widzi jak podpierany z obydwóch stron przez swych oficerów Žižka patrzy ze wzgórza w noc swej ślepoty, podczas gdy u nóg jego w blaskach słońca szaleje bitwa; — słyszy, jak wódz wydaje rozkazy, które niweczą szeregi nieprzyjaciół, niby sierp tnący zboże; widzi, jak z ręki Žižki rodzi się śmierć, podobna do czarnej błyskawicy... A potem — potem rzecz najstraszniejsza: Žižka, który zginął od moru, żyje; mimo śmierci — żyje!

Skórę jego napięto na bęben!

Na dźwięk hałaśliwego, potwornego szczękania bębna, ludzie rzucają się do ucieczki.

Oślepiiony, odarty ze skóry, idzie niewidzialny Jan Žižka — upiór na przegniłym koniu — na czele swych wojsk, prowadzi je od zwycięstwa do zwycięstwa!...

Na myśl, że duch Žižki zmartwychwstał i wcielił się w oszałałego aktora, włosy stanęły jej dębem.

Jak burza zerwały się słowa Zrcadla. Zaczął mówić do buntownika krótkimi, urywanymi zdaniami, wyrywającymi z mózgu korzenie świadomości. — Zmienił ton: raz mówił ostro, rozkazując, to znowu głosem ochrypłym, podniecającym.

Same dźwięki oszałamiały jak uderzenia maczugą. — Nie mogła zrozumieć znaczenia słów, krew zbyt głośno waliła w uszach; istotnej treści domyślała się po dzikim ogniu, płonącym w oczach mężczyzn, po zaciśniętych pięściach, po głowach, które się pochylały, gdy słowa aktora wybuchały jak orkan i płomieniem obejmowały serca...

Ciągle prześladował ją obraz prababki, która dusi palcami szyję woźnicy. Obrazy mej duszy stały się upiorami i dokonują swego dzieła tam, na dole. Uświadomiła sobie, że jest od nich wolna i że za chwilę może zostać sobą.

Ottokar popatrzył w kierunku sufitu, jak gdyby nagle poczuł jej bliskość; wpił spojrzenie w jej oczy. Spojrzenie to miało marzycielski, oderwany od rzeczywistości wyraz, który znała doskonale.

— Nic nie widzi, nic nie słyszy, słowa oszałałego nie dla niego są przeznaczone. Spełnia się modlitwa zamawiana w dworze lipowym; „Matko Boża, łaskis pełna, wysłuchaj tęsknoty, która go pożera, uczyn jednak, aby ręce jego nie dotknęły krwi...”

Wydało jej się nagle, że dokoła rozbrzmiewa szumiąca pieśń organów: było to uczucie bezmiernej miłości do Ottokara; nie wyobrażała sobie dotychczas, że serce ludzkie zdolne jest do takiego napięcia.

Miała wrażenie, że ciemna kotara przyszłości rozdarła się nagle na dwoje; widmo, które się przedtem rozpląnęło w Ottoka-

rze, przyoblekło się w ciało, wkroczyło w rzeczywistość; Ottokar stał przed nią z berłem w ręku, z koroną władcy na głowie...

Zrozumiała teraz, jakiego rodzaju tęsknota zżera Ottokara — z jej przyczyny.

— Miłość moja jest tylko słabym odbłaskiem jego miłości. — Czowała się złamana, nie mogła zebrać myśli.

Słowa Zrcadła działały na jej świadomość jak daleki szept; mówił o dawnej świetności Czech i o blasku nadchodzącej wspaniałości...

„Król”! — czy nie padło słowo „król”?

Ottokar, patrzący nieruchomo w jej kierunku, wstrząsnął się; miała wrażenie, że ją poznał, zbladł bowiem nagle, złapał się za serce i zachwiał.

Przeraźliwy wrzask pochłonął ostatnie słowa aktora.

— Jan Žižka! — Jan Žižka z Trocnova będzie naszym przywódcą!

Zrcadlo wskazał na Ottokara i rzucił w podniecony tłum jakieś słowo.

Nie zrozumiała go — zobaczyła tylko, że ukochany zwałił się nieprzytomny na ziemię i usłyszała własny przeraźliwy okrzyk:

— Ottokarze! Ottokarze!

Poczuła na sobie setki oczu. Cofnęła się, zaczęła biec w ciemności, zderzyła się z kimś.

— To garbus ze schodów zamkowych — strzeliło jej do głowy; gwałtownym ruchem otworzyła bramę wieży i, przebiegłszy przez dwór lipowy, znikła w morzu mgły.

Pożegnanie

Wielkimi krokami zbliżała się chwila, która każdego roku była bardzo ważnym zdarzeniem w życiu pana medyka nadwornego: 1-go czerwca! Dzień wyjazdu do Karlsbadu.

Co rano, skoro świt, zjawiał się pod zamkiem królewskim ubrany w czerwoną kamizelkę woźnica pana medyka i głosem, od którego drżały szyby, obwieszczał gospodyni radosne dla wielmożnego pana nowiny: że chomąto błyszczący jak lustro, że piękna emalia z lakieru, którą powłókł powóz, już wyszła, że Karliczek już raczy rzeć w stajni...

Pan medyk nadworny nie mógł się już doczekać dnia wyjazdu.

Od żadnego miasta na świecie człowiek nie odwraca się tak chętnie plecami, jak od Pragi; ale też za żadnym miastem nie tęskni tak mocno, kiedy je opuści...

Pan medyk nadworny był również ofiarą tej dziwnej siły przyciągającej i odpychającej, choć nie mieszkał właściwie w Pradze, tylko na Hradczynie...

W pokoju pełno było gotowych do drogi koszy podróżnych.

Pan medyk nadworny miał nocy poprzedniej atak szału. Posłał do diabła wszystkie młode i stare Elżbietki, Zrcadla, mandżów i zielone żaby. Krótko mówiąc, zdobył się na huragan energii. Dzięki niej udało mu się wpakować do przepaścistych koszy i toreb skórzanych wszystko, co w szafach i komodach leżało przeznaczone do zabrania do Karlsbadu; wyglądał przy tym jak prawdziwy pingwin, wrzucający ryby do otwartych dziobów swych dzieci. Po długich wysiłkach udało mu się wreszcie złamać ostatecznie opór nabrzmiałych kufrów, z których raz po raz wyglądały poły ubrań, końce krawatów lub kalesonów. Zostały tylko pantofle, ozdobione oczami tygrysimi i wianuszkami niezapominajek z fałszywych pereł, oraz nocna koszula. Na początku ataku przywiązał pantofle i koszulę do świecznika, nie chcąc dopuścić, aby podczas ślepego szału zarzuciły się gdzieś na całe tygodnie... Miał teraz te pantofle na nogach, chude ciało okrywała uratowana koszula, coś w rodzaju zwisającej do kostek szaty pokutniczej, zapinanej na złote guziki, ze sprzączką z tyłu, która pozwalała przy nasiadówkach obnażać długie pośladki.

W tym stroju niecierpliwie przemierzał pokój. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Bo w rzeczywistości leżał w łóżku i spał. Trapiiony wizjami, spał w wigilię odjazdu niespokojnym snem sprawiedliwego.

Wiedział doskonale, że dręczące go sny są nieodzownym zjawiskiem, poprzedzającym każdą wyprawę do Karlsbadu. Nawiedzały go zwykle w maju; w tym roku przybrały formę wprost niezdolną. Dawniej notował skrupulatnie wszystkie sny z tego okresu, w obłądnym przeświadczeniu, że się ich w ten sposób pozbędzie; nie pomagało to jednak, co rok było gorzej. Musiał się wreszcie pogodzić z niezdolną koniecznością i pocieszyć tym, że podczas pozostałych jedenastu miesięcy sypia snem kamiennym, głębokim.

Gdy tak krążył po pokoju, wzrok jego padł przypadkowo na wiszący nad łóżkiem kalendarz, i medyk przekonał się ze zdumieniem, że ciągle jeszcze widnieje nad nim data 30-go kwietnia, nikczemna rocznica nocy Walpurgi.

— Okropność — mruknął. — Jeszcze cztery pełne tygodnie do 1 czerwca? A kufry już spakowane! Cóż teraz włożę na siebie? Nie mogę przecież iść na śniadanie do „Schnella” w koszuli.

Na myśl, że trzeba będzie wszystko pootwierać, ogarnęło go przerażenie. Wyobrażał sobie, że przepełnione kufry zaczną z jękiem wypluwać z siebie całą garderobę. Zobaczył w duchu nieskończoną ilość różnorodnych krawatów, które podpełzają jak żmije; prawidło do butów, mszcząc się za długotrwałą niewolę w kufrze, chce go kleszczami raka ugryźć w piętę; nawet różowy czepeczek zamiast wstążek, ozdobiony białymi błyszczącymi rzemieniami z lśniącej skóry... — Nie — postanowił we śnie — nie otworzę kufrów!

W nadziei, że się może pomylił, nałożył pan medyk nadworny okulary, by raz jeszcze popatrzeć dokładnie na kalendarz; nagle pokój zastygł w lodowatym chłodziu i w jednej chwili okulary pokryły się parą.

Gdy je zdjął, zobaczył przed sobą nagiego człowieka, z przepaską dokoła bioder; zjawisko miało ciemną skórę, olbrzymi wzrost, było nienaturalnie wąskie; na głowie miało czarną mitrę, z której padały złote iskry.

Pan medyk nadworny domyślił się od razu, że to Lucyfer; nie zdziwił się wcale, równocześnie uświadomił sobie bowiem, że w głębi duszy dawno już czekał na tę wizytę.

— Potrafisz spełnić każde życzenie? — zapytał i skłonił się mechanicznie. — Czy potrafisz także...

— Tak, jestem bogiem, w którego ręce ludzie składają swe życzenia — odparła zjawa i, wskazując na przepaskę na biodrach, dodała: — Jam jedyny przepasany wśród bogów; reszta jest bezpłciowa. Tylko ja mogę pojąć życzenia ludzkie, ten bowiem, kto jest bezpłciowy, zapomniał na zawsze, czym one są. Niewidoczny, najgłębszy korzeń każdego życzenia tkwi zawsze w płci, choćby nawet owoc — jawne życzenie — pozornie nic nie miał wspólnego ze sferą seksualizmu.

Jam jedyny miłosierny pośród bogów. Nie ma na świecie życzenia, którego bym nie wysłuchał i nie spełnił na miejscu.

Słyszę jednak tylko życzenia dusz i na światło je wynoszę. Dlatego zowią mnie: *luci fero*.

Jestem głuchy na życzenia, które płyną z ust wędrujących trupów. Dlatego trupy te boją się mnie jak ognia.

Usta niejednych wołają: śmierć! — choć dusza ich krzyczy: życie! Ludziom takim narzucam życie. Wielu łaknie bogactw, ale dusza ich tęskni za ubóstwem, aby wejść przez otwór igły — z takich robię żebraków na ziemi.

Twoja dusza tęskniła w doczesnym życiu wraz z duszą ojców twoich za snem: zrobiłem więc z was medyków, umieściłem ciała wasze w kamiennym mieście i otoczyłem was ludźmi z kamienia. Słuchaj mnie, Flugbeil: wiem doskonale, czego pragniesz. Tęsknisz za tym, by znowu stać się młodym! Ale wątpisz w moją moc, uważasz, że nie potrafię przywrócić przeszłości, tracisz od-

wagę i chciałbyś znów zasnąć. Nie, mój drogi, nie puszcze cię! Dusza twoja bowiem błaga: chcę być młodą!

Dlatego spełnię życzenie obojga.

Wieczna młodość jest wieczną przyszłością, a w krainie wieczności przeszłość budzi się jako wieczna teraźniejszość...

Pan medyk nadworny zauważył, że zjawa stała się przy ostatnich słowach przeźroczyta i zamiast niej, w miejscu, w którym znajdowały się piersi, wyrasta coraz wyraźniej cyfra: 30-go kwietnia, która w końcu zagarnęła całą przestrzeń. By się raz na zawsze rozprawić z upiorem, chciał wyciągnąć rękę i oderwać kartkę, ale mu się nie udało; poczuł, że będzie się musiał zgodzić na to, aby Noc Walpurgi i jej upiory trzymały go jeszcze czas jakiś w swej mocy.

— Czeka mnie przecież piękna podróż — pocieszał się. — Karlsbadzka kuracja odmładzająca wywrze z pewnością wpływ zbawienny. Ponieważ próba obudzenia się zawiodła, nie pozostało mu nic innego, tylko pograżyć się w mocny, nie zakłócony żadnymi wizjami sen.

Punktualnie o godzinie piątej budziło mieszkańców wstrętne, ostre skrzypienie tramwaju elektrycznego, który o tej godzinie skręcał na dole w Pradze dokoła teatru czeskiego i wywoływał niesamowite zgrzytanie szyn.

Pan medyk nadworny tak był przyzwyczajony do niemiłego znaku życia ze strony „świata”, dla którego miał najgłębszą pogardę, że nie przeszkadzało mu to wcale; może dlatego właśnie rzucać się zaczął niespokojnie na swoim łóżku, że dzisiejszego ranka zgrzyt się nie rozległ.

— Coś się tam na dole stać musiało — przemknęło przez świadomość pana medyka i w tejże chwili opadły go głuche wspomnienia ostatnich dni.

Patrzył często — ostatni raz wczoraj — przez lunetę; stwierdził, że ulice są przepelnione ludźmi; tłum przewalał się nawet przez mosty; okrzyki: „Slava” i „Na zdar” docierały w brzmieniu „Haa, haa, haa” aż do okien mieszkania pana medyka. Wie-

czorem wyrósł jakby z podziemi nad północno-wschodnim wzgórzem Pragi oświetlony licznymi pochodniami transparent z olbrzymim portretem Žižki. Od chwili wybuchu wojny zdarzyło się to po raz pierwszy. Flugbeil nie byłby na to zwrócił uwagi, gdyby już przedtem nie dotarły doń pogłoski, że Jan Žižka zmartwychwstał, żyje (podniecona do najwyższego stopnia gospodyni, przysięgła, podnosząc obydwie ręce, że to prawda!), że od czasu do czasu zjawia się nocą w niektórych uliczkach. Wiedział z długoletniego doświadczenia, iż dla praskich fanatyków żadna sprawa nie jest do tego stopnia nieprawdopodobna, aby o niej nie rozprawiali tak długo, aż powstanie zbiegowisko; mimo to fakt, że tego rodzaju rozpalająca umysły koncepcja mogła znaleźć grunt pod nogami, wydał mu się nowym...

Nic więc dziwnego, że w półśnie wytłumaczył sobie brak zgrzytu tramwajowego wybuchem zamieszek; zresztą brak ten uzasadniała okoliczność, że w Pradze wybuchło naprawdę powstanie.

W kilka godzin później ukazała mu się podczas najgłębszego snu, jak nieboszczykowi Belsazarowi, ręka dozorczy Władysława i podała następującą kartę wizytową:

STEFAN BRABETZ

prawnie koncesjonowany organ prywatny do utrzymania ogólnego bezpieczeństwa, staranne czuwanie nad życiem małżeńskim wraz z wykrywaniem nieprawych dzieci, jako też nieprzerwana ewidencja zalegających dłużników, eskont weksli i sprzedaż domów. Zaginione psy odstawia się z powrotem pod warunkiem ich rozpoznania.

! Niezliczona ilość podziękowań!

— Noc Walpurgi — mruknął medyk nadworny, przekonany, że to sen.

— Czego ten człowiek chce? — zapytał głośno.

— Nie wiem — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

— Jakże wygląda?

— Co dzień inaczej, do usług!

— Cóż to znaczy?

— No, Stefan Brabetz przebiera się co pięć minut. Nie chce, by ludzie wiedzieli, że to właśnie on.

Pan medyk nadworny namyślał się przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Dobrze, niech wejdzie!

Spod drzwi doleciało gwałtowne chrząkanie. Minąwszy oddalającego się dozorcę, wsunął się do pokoju na bezdźwięcznych podszwach gumowych jakiś człowiek. Był zezowaty, na nosie miał przyklejoną brodawkę, na piersi moc blaszanych orderów; pod pachą trzymał tekę, na głowie miał słomkowy kapelusz. Zgięty pokornie, wypowiedział szereg uniżonych zdań. Przemówienie swe zakończył następująco:

— Na tej podstawie mam zaszczyt zjawić się u ekscelencji jaśnie pana medyka nadwornego.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał Pingwin ostrym tonem.

Szpicel zamierzał coś wykrztusić, lecz Flugbeil przerwał raportownie:

— Czego pan chce?

— Chodzi tu — pardon — chodzi o... najjaśniejszą panią komtesę. Wiemy — oczywiście — ekscelencjo, że to wysoko postawiona młoda dama. Niech mnie Bóg broni, bym miał powiedzieć o niej co złego!

— Cóż to za komtesa? — zapytał medyk nadworny ze zdumieniem.

— No! Ekscelencja powinien przecież wiedzieć...

Flugbeil zamilkł; poczucie taktu wstrzymywało go od pytania o imię.

— Hm, nie. Nie znam ładnej komtesy.

— A więc: nie?

— No tak. — Hm. — Zresztą cóż ja mam z tym wspólnego?

Detektyw usiadł na brzegu krzesła ruchem jaskółczym, pełnym szacunku; zaczął miąć palcami kapelusz i, zezując z uśmiechem w kierunku sufitu, okazał się nagle bardzo rozmowny:

— Proszę wybaczyć, ekscelencjo, ale sądziłem... Panna komtesa jest bowiem przepiękną, młodą damą, o delikatnych, jak się to mówi, manierach. No tak, i w ogóle... Pomyślałem więc sobie, że to okropna szkoda, by tak wytworna młoda dama, rzucała się w objęcie mizernego łotra, jakim jest nie mający grosza w kieszeni Vondrejcz... Przecież to dom, w którym ekscelencja często bywa... I w domu byłoby znacznie wygodniej... Zresztą, jeżeli nie w domu, znalazłby się inny lokal, w którym każdy pokój ma oddzielne wejście. — A tak...

— Nic mnie to nie obchodzi, niech pan milczy! — rzekł Pingwin tonem niezbyt ostrym, był bowiem ciekaw, co detektyw powie dalej. — Nie używam tego... tego... artykułu!

— Jeżeli tak, to przepraszam ekscelencję — odparł „agent prywatny”, nie mogąc ukryć rozczarowania. — Myślałem... Szkoda!

— Wystarczyłoby jedno słowo o panie komtesie, bo wiem coś o niej. — Myślałem również, że ekscelencja nie potrzebowałby wtedy... — głos Brabetza nabrał w tym miejscu ostrego tonu — chodzić... do... czeskiej Elżbietki... Tak...

Pan medyk nadworny przeraził się i nie wiedział przez długą chwilę, co odpowiedzieć.

— Nie przypuszcza pan chyba, że „dlatego” poszedłem do tej starej żebraczki? Oszalał pan chyba?

Detektyw zaprzeczył ruchem ręki:

— Ja miałbym wierzyć w coś podobnego? Ależ ekscelencjo, słowo honoru! (zapomniał nagle o zezowaniu i popatrzał badawczo na medyka). — Wiem i rozumiem, że ekscelencja miał zupełnie inne powody udając się, pardon, do czeskiej Elżbietki. — Tak.

— I właśnie dlatego tu przyszedłem! Inne powody...

Pingwin uniósł się nieco na poduszkach; zaciekały go słowa Brabeca.

— Cóż to za powody?

Brabec wzruszył ramionami.

— Żyję z dyskrecji. Nie powiem więc wprost, że ekscelencja jest wmieszany do spisku, który ma związek z Elżbietką, jakkolwiek...

— Jakkolwiek?

— Jakkolwiek na bardzo szanowanych ludzi pada dziś podejrzenie o zdradę stanu.

Pan medyk nadworny miał wrażenie, że się przesłyszał.

— Zdrada stanu?

— Nie. Ale podejrzenie. Po-dej-rze-nie!

Ponieważ pan medyk nie zrozumiał widocznie intencji szpicla, Brabetz przemówił wyraźniej:

— A podejrzenie — spojrzał ze smutkiem na swe płaskie nogi — niestety wystarczy. Obowiązkiem moim jest meldować gdzie i komu należy, gdy się tylko dowiem o jakimś podejrzeniu. Tak. Jestem sumiennym, obowiązkowym człowiekiem, słowo honoru! Chyba, że dojdę do przekonania, iż podejrzenie jest bezpodstawne... A zresztą, w życiu codziennym ręka przeciw rękę myje... (spojrzał odruchowo na swe brudne paznokcie).

W panu medyku nadwornym zaczęło kipieć.

— Innymi słowy: chce pan napiwku?

— Bardzo proszę, zupełnie wedle uznania ekscelencji.

— Dobrze — pan medyk zadzwonił.

Wszedł służący.

— Władysławie, weź tego ananasa za kołnierz i zrzuc z schodów!

— Do usług, jaśnie panie!

Otworzyła się olbrzymia łapa, podobna do liścia palmowego, i zaciemniła pokój; po upływie sekundy szpicel i służący zniknęli za drzwiami, jakby wszystko, co się działo dotychczas, było tylko filmem.

Pan medyk nadworny usłyszał po chwili hałas w korytarzu.

Potem w ślad za żywym pociskiem, rozległ się na schodach odgłos ciężkich kroków.

— No, serwus, Władysław gotów jeszcze podnieść tego łotra i rzucić go ze schodów zamkowych. Traktuje sprawę dosłownie — mruknął pan medyk, skrzyżował ręce na piersi i, chcąc odzyskać zakłócony spokój, zamknął powieki.

Po upływie kwadransa usłyszał z przerażeniem jakieś skomlenie. Po chwili ktoś ostrożnie otworzył drzwi; wkradł się przez nie, w towarzystwie żółtawego psa myśliwskiego Broka, baron Elsenwanger, trzymając jakby dla przestrogi palec na ustach.

— Dzień dobry, Konstanty! Cóż cię to sprowadza o tak wczesnej porze? — zawołał medyk ucieszony. Na widok jednak pustego, zidiociałego uśmiechu przyjaciela stracił kontenans. — Biedak — mruknął wzruszony do głębi — postradał resztki rozumu.

— Pst, pst! — szepnął baron tajemniczo. — Tylko, tylko nie!... — Rozejrzał się dokoła trwożliwie, pośpiesznym ruchem wyciągnął z kieszeni pożółkłą kopertę i rzucił ją na łóżko. — Bierz, Flugbeil, bierz! Tylko nie, tylko nie...

Stary pies myśliwski podwinął ogon i patrzył na swego obłąkanego pana półoślepyłymi oczami o mlecznym połysku; otworzył pysk, zdawało się, że zaszczeka, nie wydobył jednak żadnego dźwięku.

Pan i pies wyglądali niesamowicie.

— Czegóż nie mam uczynić? — zapytał medyk nadworny głosem pełnym współczucia.

Elsenwanger podniósł do góry palec:

— Tadeuszu, proszę cię, tylko nie, tylko nie, tylko nie!... Wiesz, wiesz, wiesz... — zbliżał się coraz bardziej do ucha Flugbeila, aż dotknął go ustami. — Policja jest na moim tropie. Służba wie już o tym. — Pst, pst! Wszyscy puciekali. Bożena także.

— Co? Twoja służba się rozbiegła? Dlaczego? Kiedyż to?

— Dziś rano. Pst, pst. Tylko nie, tylko nie!... Wiesz, wczoraj był jeden u mnie. Taki z czarnymi zębami, w czarnych rękawiczkach. Zezował jednym i drugim okiem. Taki... z policji.

— Jak się nazywa? — zapytał szybko medyk nadworny.

— Powiedział: Brabetz.

— Czego chciał?

— Powiedział, że Ksieniusia uciekła. — Już wiem, dlaczego to zrobiła. — Dowiedziała się o wszystkim. Pst, pst! Chciał pieniędzy, powiedział, że wszystko powie, jeżeli mu ich nie dam.

— Mam nadzieję, żeś mu nic nie dał?

Baron rozejrzał się znowu po pokoju lęklwym wzrokiem.

— Kazałem Waławowi zrzucić go ze wszystkich schodów.

— Dziwna rzecz, jak logicznie potrafią czasem postępować obłąkani — pomyślał Pingwin.

— Pst, ale Waław uciekł także. Brabetz opowiedział mu zapewne całą historię.

— Ależ zastanów się! Cóż mu takiego mógł powiedzieć?

Elsenwanger wskazał na poślódkę kopertę. Medyk nadworny wziął ją do ręki, była otwarta, wystarczył jeden rzut oka, aby przekonać się, że jest pusta.

— Cóż mam z tym zrobić?

— Jezus, Maria, Józef, tylko nie to, nie to!... — jęczał baron.

Medyk nadworny spojrział nań bezradnie. Przerażony Elsenwanger zbliżył znowu usta do ucha Flugbeila i wystękał:

— Bogumil... Bogumil... Bogumil...

Medyk nadworny zaczął się orientować; przyjaciel znalazł całkiem przypadkowo kopertę w sali portretowej i pod wpływem wspomnień o Zrcadle tak długo wpajał w siebie, że papier pochodzi od zmarłego brata Bogumiła, aż postradał zmysły.

— Wiesz Tadeuszu, to możliwe: wydziedziczył mnie, ponieważ go tam na dole, w krypcie kościelnej, nie odwiedziłem. Ale na Boga, jakże mogłem pójść do, do... Pragi! — Daj spokój Tadeuszu, daj spokój, tylko nie to, nie to... Nie powinienem znać treści listu. Wydziedziczyłby mnie na pewno! Schowaj go do-

brze, ale nie zagłądaj do niego, nie zagłądaj! Napisz na kopercie, że po twojej śmierci do mnie ma należeć. Ale schowaj dobrze, słyszysz? U mnie los listu jest niepewny, wszyscy o nim wiedzą. Dlatego uciekli. — Ksienia też uciekła...

— Co? Twoja siostrzenica? — zawołał medyk nadworny. — Uciekła? Dokądże to?

— Pst, pst. Uciekła, bo teraz wie o wszystkim!

Flugbeil wciąż pytał dlaczego uciekła, Elsenwanger powtarzał mechanicznie: — bo wie o wszystkim...

To wszystko, co można było z niego wydobyć.

— Wiesz, całe miasto jest na nogach. Wszyscy o tym wiedzą. Wczoraj wieczorem palono ogień na wzgórzu Žižki. A Brok — spojrzął tajemniczo na psa — musiał także coś zauważyć. Popatrz, jak się trzęsie ze strachu. U hrabiny Zahradki roje much. Pełno ich w całym pałacu.

— Ależ na miłość Boską, Konstanty, co ty wygadujesz! — zawołał medyk nadworny. — Wiesz chyba, że w tym domu nie było nigdy ani jednej muchy! Hrabina wmówiła to w siebie. Nie wierz plotkom!

— Przysięgam na zbawienie duszy — mówiąc to baron uderzył się w piersi — że widziałem na własne oczy!

— Muchy?

— Tak. Cały dom czarny...

— Od much?

— No tak, od much. Ale muszę już iść. Boję się, żeby nie zauważyła mnie policja. Pamiętaj: schowaj to dobrze! Ale nie czytaj, bo mnie wydziedziczy! I nie mów nikomu, że tu byłem. — Serwus, Flugbeil, serwus!

Obłąkany wysunął się. Tak samo, jak przyszedł, cicho na palcach. Za nim pies z podwiniętym ogonem...

Pingwina ogarnęło uczucie niewypowiedzianej goryczy.

Oparł głowę o rękę.

Znowu śmierć chwyciła kogoś jeszcze za życia. — Biedaczysko, biedaczysko! — Mimo woli przypomniał sobie czeską Elżbietkę i biadania jej, że piękna młodość minęła...

— Cóż się stać mogło z Polikseną? I z muchami? Dziwna rzecz: hrabina Zahradka broniła się przez całe życie przed wyimaginowanymi muchami, a oto nagle przyszły, jakby na wezwanie.

Wyrosło w nim powoli głuche wspomnienie snu, który miał nocy dzisiejszej: nagi człowiek, z mitrą na głowie, opowiada o spełnieniu podświadomych życzeń; słowa jego pozostają w wyraźnym związku z pojawieniem się much...

— Trzeba wyjechać — rzekł nagle do siebie. — Trzeba się ubrać. Dlaczego służąca nie przynosi spodni? Najlepiej zrobię, jeśli dziś wyjadę. Uciec z tej ponurej Pragi! Nad każdą ulicą unosi się opar obłędu. W Karlsbadzie odmłodnieję.

Zadzwoił.

Nikt nie przychodzi.

Zadzwoił jeszcze raz.

— Nareszcie! — ktoś zapukał.

— Wejść!

Rzucił się z przerażeniem na poduszki, podciągając kołdrę pod brodę. Zamiast gospodyni stanęła na progu hrabina Zahradka z teką skórzaną w ręce.

— Na miłość Boską, łaskawa pani — mam na sobie tylko koszulę!

— Przypuszczam, że pan nie sypia w wysokich butach! — mruknęła stara, nie patrząc nań.

— Ta ma dziś znowu swojego fioła! — pomyślał medyk nadworny, czekając, co hrabina powie.

Patrząc przed siebie, milczała przez chwilę. Potem gwałtownym ruchem wyciągnęła z torby prastary pistolet kawaleryjski i zapytała:

— Jak się nabija ten interes?

Flugbeil obejrzał broń i pokiwał głową:

— To broń skałkowa, łaskawa pani. Dziś byłoby bardzo trudno ją naładować.

— A ja chcę jednak!

— Więc trzeba by przede wszystkim wpakować do łożyska proch, kulę i papier, położyć proch na panewce. Gdy krzemień spadnie, ładunek zapali się od płomienia.

— Dziękuję! — hrabina wpakowała pistolet do torby.

— Łaskawa pani nie zrobi chyba z broni użytku? Jeśli się pani obawia zamieszek, najlepiej wyjechać na wieś.

— Uważa pan, że powinnam uciekać przed tą hołotą? — starucha uśmiechnęła się wzgardliwie. — Tego by tylko brakowało! Mówmy o czym innym.

— Co słyhać z komtesą? — wyjąkał medyk nadworny po krótkiej pauzie.

— Kseni nie ma.

— Co? Nie ma?! Na miłość Boską, czy jej się coś stało? — Trzeba jej szukać!

— Szukać? Po cóż? Sądzi pan, że będzie lepiej, kiedy się ją znajdzie?

— Jakże się to wszystko stało? Proszę opowiedzieć, hrabino!

— Jak się stało? Nie ma jej od Świętojańskiej Nocy. Jest zapewne u Ottokara Vondrejca. Byłam pewna, że się na tym skończy. Niedawno był u mnie jakiś jegomość o długiej, żółtej brodzie, w zielonych okularach (— aha, Brabetz, mruknął Pingwin). Powiedział: wiem coś o niej. Chciał za milczenie pieniędzy. Oczywiście, wyrzuciłam go za drzwi.

— Nie opowiadał żadnych szczegółów? Proszę o nie, łaskawa pani!

— Powiedział, że wie doskonale, iż Ottokar jest moim nieprawym synem.

Medyk nadworny zerwał się oburzony do głębi.

— I pani na coś podobnego pozwoliła! Unieszkodliwię tego łotra!

— Niech się pan nie miesza do moich spraw — wybuchnęła hrabina. — Ludzie opowiadają o mnie o wiele więcej. Nigdy pan tych historyjek nie słyszał?

— Ależ interweniowałbym natychmiast, na...

Stara przerwała.

— Ponieważ mąż mój, świętej pamięci marszałek dworu Zahradka, zaginął, ludzie mówili, że go otrułam, a trupa ukryłam w piwnicy. Wczoraj w nocy trzech parobków zakradło się do piwnicy, aby zwłoki odkopać. Zbiłam ich szpicrutą.

— Mam wrażenie, że łaskawa pani patrzy przez zbyt ciemne okulary — wtrącił z ozywieniem medyk nadworny. Może ja rzecz wyjaśnię. Otóż obiega po Hradczynie podanie, że w pałacu morzińskim, który pani obecnie zamieszkuje, ukryty jest skarb; może ten skarb chcieli wykopać.

Hrabina nie odpowiedziała.

Po długiej pauzie wykrztusiła wreszcie:

— Panie Flugbeil, panie Flugbeil!

— Słucham, łaskawa pani!

— Proszę mi powiedzieć, czy uważa pan za możliwe, aby przy odkopywaniu człowieka, który zmarł przed laty, mogły z ziemi wypełznąć muchy?

Medykiem nadwornym wstrząsnął zimny dreszcz.

— Muchy? Muchy?

— Tak. Całe plejady much.

Medyk nadworny wyteżył całą siłę woli, aby zachować pozory spokoju; chcąc ukryć przed hrabiną przerażone oblicze, odwrócił głowę do ściany.

— Muchy unoszą się jedynie nad świeżymi trupami, hrabino. W kilka tygodni po śmierci ciało całkowicie rozkłada się w ziemi — rzekł głosem bezdzwięcznym.

Hrabina namyślała się przez chwilę. Siedziała zupełnie nieruchomo, jakby skamieniała. Potem wstała, ruszyła ku drzwiom; odwróciła się raz jeszcze i zapytała:

— Pan jest tego pewny?

— Najzupełniej. Pomyłka wykluczona.

— Dobrze. — Do widzenia!

— Całuję ręce, łaskawa pani — medyk nadworny wydobywał słowa z trudnością.

W kamiennym przedpokoju przebrzmiał odgłos kroków hrabiny...

Medyk nadworny otarł pot z czoła.

— Upiory mego życia żegnają się ze mną. Okropne, okropne! Otoczyło mnie miasto obłądu i zbrodni, wżarło się w moją młodość. Nie słyszałem nic i nie wiedziałem, byłem głuchy i ślepy. — Zaczął dzwonić jak szalony. — Gdzie moje spodnie? Dla czego, do pioruna, nie przynoszą mi spodni?

Wyskoczył z łóżka i wybiegł w koszuli na schody.

Wszystko jakby wymarło.

— Władysławie! Władysławie!

Cisza, milczenie.

— Zdaje się, że służba naprawdę uciekła, tak samo jak służba Konstantego. A ten przekłety osioł Władysław! Idę o zakład, że zatłukł Brabeca na śmierć.

Otworzył szeroko okno.

— Ani żywej duszy na Placu Zamkowym.

Użycie teleskopu nie prowadziło do celu; zresztą koniec rury był zakryty, a nie mógł przecież, ubrany tylko w koszulę, wyjść i usunąć przykrywkę.

Gołym okiem stwierdził jednak, że mosty roją się od ludzi.

— Przekłete błazny! Nie pozostanie mi nic innego, jak rozpakować kufry!

Zbliżył się nieśmiało do skórzanych potworów; zaczął otwierać ich paszcze, jak to świętej pamięci Androkłus uczynił z paszczą lwa; zatopiła go powódź krawatów, butów, rękawiczek i pończoch. Spodni brakowało. Jedna z torb skórzanych oddała ducha w formie zmiętych płaszczy gumowych, naszpikowanych szczotkami i grzebieniami; pozbywszy się zawartości, opadła z westchnieniem na ziemię.

Druga przeżuła niemal całą swą zawartość za pośrednictwem różowawego płynu, który wylał się z kilku flaszek, napętnionych wodą do ust.

Gdy tylko dotknął zamka kosza wzbudzającego zaufanie, w brzuchu jego zaczęło coś beznadziejnie dzwonić. To starannie opakowany budzik kuchenny, wyrwawszy się z ciasnych objęć niezliczonej ilości poduszek i wilgotnych ręczników, wydzwaniał radośnie i głośno swą pieśń poranną.

Po chwili pokój wyglądał jak miejsce, na którym odbywa się sabat czarownic.

Pingwinowi pozostała jedyna wolna od utensyliów wysepka. Wyciągnawszy szyję, patrzył na wulkaniczne spustoszenie, dokonane siłą twórczą własnych rąk. Pełnymi ognia oczami spoglądał ku łóżku, za wszelką cenę pragnąc zawładnąć zegarkiem stojącym na szafce nocnej, aby zobaczyć, która godzina; zbudził się w nim nagle zmysł porządku; napiął mięśnie kolan, aby uciec od lawiny sztywnych koszul frakowych, zabrakło mu jednak odwagi do wykonania zamiaru.

Najdzielniejszy skoczek nie dokonałby również niczego wobec tego rodzaju przeszkód...

Zaczął kombinować. Utęsknione spodnie mieszczą się bez wątpienia w jednym z dwóch nie otworzonych jeszcze kufrów; albo w cielsku tego żółtego, długiego potwora, kupionego w Lipsku u Mädlera i Spółki, albo w tym gładzie granitowym z szarego płótna, ociosanym jak narożniki świątyni Salomona.

Po długim wahaniu zdecydował się wreszcie zajrzeć do „narożnika”, po chwili jednak cofnął się, zawartość bowiem walizy nie odpowiadała nakazowi chwili.

Wprawdzie przedmioty, które tam znalazł, z punktu widzenia swego przeznaczenia zbliżone były do dolnej części ciała ludzkiego, ale daleko im było do spodni!

Wychyliły się, niezbędne w innych okolicznościach: zwinięta w trąbkę kauczukowa wanna kąpielowa, flaszka ogrzewająca, stos miękkiego papieru, tajemnicze, na brązowo pomalowane na-

czynnie blaszane z dziobem, z którego zwisał długi, czerwony wąż gumowy, podobny do węża Laokoon, tylko znacznie mniejszy i cieńszy od niego; wąż ten oplatał szyją figurkę feldmarszałka Radetzkiego, którą przez pomyłkę wpakowano do kufra.

Z umęczonej piersi Tadeusza Flugbeila wydobyło się westchnienie ulgi. — Przyczyną westchnienia tego nie było, oczywiście, spotkanie z czerwoną, podstępą rurą, lecz radosna świadomość, że teraz wykluczona jest już pomyłka i że jedynie cienka ścianka, wykonana w Saksonii, dzieli go od utęsknionych spodni. Z wysuniętymi naprzód, okrutnymi łapami zapaśnika ruszył pan medyk nadworny przez stos kamizelek z brokatu i pudełek od cygar ku pozornie niewinnemu fabrykantowi sąsiedniego mocarstwa sprzymierzonego. Zacisnąwszy kanty, z nienagannie błyszczącym zamkiem, ufny we własną wagę, oczekiwał jasny, niktzemny kufier ataku Pingwina.

Medyk nadworny dotknął go naprzód, pocisnął delikatnie wyskakujące guziki i brodawki, pociągnął niecierpliwie za dolną wargę z mosiądzu, wreszcie zaczął wzywać władcę podziemi (psychologiczne próby zastraszenia) — wszystko na próżno!

Produkt firmy Mädler i Spółka był nieczuły, nie pomogło nawet to, że pan medyk nadworny w gorączce walki nastąpił na koniec koszuli; rozdzierający jęk, który się wydobył z pięknej, płóciennej szaty pokutniczej przebrzmiał bez echa i zginął.

Pingwin rozdarł walizie lewe ucho ze skóry, w napadzie wściekłości rzucił ją na wykrzywione ironicznie lustro; na próżno, saksoński fabrykat milczał jak zaklęty.

Odpierał atak za atakiem.

Saksończyk był w obronie istnym mistrzem.

Zamknięty w sobie, wiedział doskonale, że narzędzie do otworzenia wnętrzości — mały stalowy kluczyk — schowane jest w najpewniejszym ukryciu, pewniejszym od szpary w podłodze; wiedział, że kluczyk wisi w miejscu, w którym pan medyk nadworny nieprędko go znajdzie: na niebieskiej wstążeczce na własnej szyi ekscelencji.

Nie znalazłszy spodni, wymachując rękami, Pingwin wyłonił się znowu ze swej wyspy; patrzył bezradnie na dzwonek stojący na szafce nocnej, chwilami wzrokiem pełnym rozpaczony obrzucał cienkie swe łydki; spod rozdartej koszuli widać było na nich siwawe włosy, odstające jak kawałki drutu.

Gdyby miał strzelbę, wystrzeliłby.

Szkoda, że się nie ożeniłem! — jęknął płacząco. — Wszystko byłoby zupełnie inaczej! Tymczasem muszę spędzać w samotności resztki życia. Nie mam na całym świecie przedmiotu, który by mnie kochał. Cóż w tym zresztą dziwnego? Żadna kochająca ręka niczego mi nigdy nie dała, jakże mają mnie kochać przedmioty! Wszystko musiałem sobie sam kupować. Nawet „te”, tutaj!...

Spojrzał smętnie na pantofle z tygrysimi oczami, ozdobione wiankami niezapominajek.

— Umyślnie poleciłem, aby zrobiono je niegustownie; wierzyłem, że potrafię w ten sposób wmówić w siebie, że to podarunek. Sądziłem, że dzięki tym pantoflom przeniknie do mieszkania nieco ciepła i serdeczności. Mój Boże, jakże się pomyliłem!

Z głębokim smutkiem przypomniał sobie samotnie spędzoną noc zimową, podczas której w przystępie czułości sam sobie ofiarował podarunek gwiazdkowy.

— Boże mój, Boże, gdybym miał przynajmniej psa, który by mnie tak kochał, jak Brok Elsenwagera!...

Zdawał sobie sprawę, że ogarnia go starcze zdziecinnienie.

Chciał się bronić, ale zabrakło mu sił.

— Tak. Zrcadlo miał wtedy w „Zielonej Żabie” rację: jestem pingwinem, nie umiem latać...

I nigdy nie umiałem!

Jazda do Písku

Znowu rozległo się pukanie, zrazu głośne, potem ciche; pan medyk nadworny nie miał już odwagi powiedzieć: wejść!

Nie chciał oddać się złudzeniu, że to może gospodyni przynosi spodnie. Bał się jeszcze jednego rozczarowania! Owładnął nim właściwy dzieciom i starcom nastrój biadania nad sobą samym.

Mimo to wyjąkał wreszcie: wejść!

Nadzieja znów zawiodła:

Gdy spojrział ku drzwiom, zobaczył w nich nieśmiało wsuniętą głowę — czeskiej Elżbietki.

Chciał zawołać: koniec świata! — ale nie udało mu się nawet przybrać dostojnej miny ekscelencji, a zamierzone ostre słowa uwięzły w gardle.

Czuł się bezradny. Najchętniej poprosiłby:

— Niech Lizinka przyniesie mi spodnie!

Stara poznała po wyrazie twarzy, że Flugbeil jest sentymentalnie nastrojony i nabrała odwagi.

— Wybacz, Tadeuszu, ale przysięgam, że nikt mnie nie widział. Nigdy bym na zamek nie była przyszła, ale muszę z tobą pomówić. Wysłuchaj mnie Tadeuszu! Poświęć mi jedną chwilę! Chodzi o życie. Wysłuchaj mnie! Nikt nie przyjdzie, nikt przyjść nie może. Przez dwie godziny czekałam na dole, aby się przekonać, czy w zamku nie ma nikogo. A gdyby zresztą ktoś wszedł, wyskoczę choćby przez okno, by cię nie narażać na wstyd z powodu mej obecności.

Oddychała z trudem, podniecenie jej wzrastało z każdym słowem.

Medyk nadworny walczył ze sobą przez chwilę. Litość mowiała się w nim z zakorzenionym od lat lękiem skompromitowania nieskazitelnego od stuleci nazwiska Flugbeilów.

Wreszcie owładnęło nim świadome siebie, dumne poczucie godności własnej, które odczuł jako coś niemal dalekiego.

— Gdzie spojrzę, dostrzegam zidiociałych półgłówków, zapitych birbantów, niewierną służbę, wyrafinowanych panków, szantażystów i żonobójców; dlaczegóż więc mam odmówić

grzecznego przyjęcia kobiecie postawionej poza nawias życia, która dziś jeszcze, bez względu na otaczającą ją biedę i nędzę, wciąż otacza mą podobiznę i obsypuje ją pocałunkami?

Z uśmiechem wyciągnął rękę do czeskiej Elżbietki:

— Chodź, Lizinko, siadaj! Rozgość się! Uspokój się, nie płacz! Cieszę się!... Naprawdę z całego serca! W ogóle wszystko musi się teraz zmienić. Nie zniosę dłużej, abyś umierała z głodu i nędzy. Cóż mnie obchodzą ludzie!

— Flugbeil! Tadeuszu, Ta-de-u-szu! — krzyknęła stara, zasłaniając uszy rękoma. — Nie mów tak, Tadeuszu! Nie doprowadzaj mnie do obłądu! Obłąd hula po ulicach wśród białego dnia. Wszystkich już ogarnął z wyjątkiem mnie. Uważaj na swój rozum, uważaj, abyś nie oszalał! Nie mów tak ze mną, Tadeuszu! Nie wolno mi teraz tracić zmysłów! Chodzi o życie. Musisz uciekać! Teraz, zaraz!

Podeszła do okna, zaczęła nasłuchiwać. Usta miała szeroko otwarte.

— Słyszysz, słyszysz? Nadchodzą. Spiesz się. Ukryj się. Słyszysz uderzenia bębna? Teraz znowu! Žižka! Jan Žižka z Trocknova. — Zrcadlo! Ten szatan zakłuł się. Ściągnęli z niego skórę. U mnie w pokoju! Chciał tego. Naciągnęli na bęben. Uczynił to garbarz Hablik. Idzie na czele i wali w bęben. Rozpętały się moce piekielne. W rynsztokach pełno krwi. Borivoj jest królem. Ottokar Borivoj! — wyciągnęła ramiona, utkwiała wzrok w dali, jak gdyby widziała przez mury. Tadeuszu, zabijają cię. Szlachta już uciekła. Dziś w nocy. A więc wszyscy o tobie zapomnieli? Muszę cię uratować! Mordują wszystką szlachtę. Widziałam, jak jeden z nich nachylił się i pił ze ścieku płynącą krew. Tu, tu! Żołnierze idą! Żołnierze... — wyczerpana do cna zachwiała się.

Flugbeil pochwycił ją i ułożył na stosie ubrań. Włosy stanęły mu z przerażenia dębem.

Po krótkiej chwili oprzytomniała i ciągnęła dalej:

— Bęben ze skóry ludzkiej! Ukryj się, Tadeuszu, nie wolno ci zginąć! Ukryj się...

Położył rękę na jej ustach.

— Nie mów teraz nic, Lizinko! Słyszysz? Bądź posłuszna. — Jestem lekarzem, znam się na tym lepiej. Przyniosę ci wina i coś do zjedzenia. Spojrzał dokoła. — Boże, Boże, gdybym miał swoje spodnie! To zaraz minie. Głód...

Stara wyrwała się i, zacisnąwszy pięści, zaczęła mówić tonem, jak mogła tylko, najspokojniejszym:

— Mylisz się, Tadeuszu! Nie zwariowałam wcale, wydaje ci się tylko. Powiedziałam prawdę, nie skłamałam ani słowa. Są dopiero na dole, na placu Waldsteina, ale cóż z tego; przerażeni ludzie wyrzucają przez okno meble, chcąc w ten sposób zagrozić im drogę, kilku dzielnych chłopców, wiernych swym panom, stawia opór, buduje barykady; prowadzi ich Tatar księcia Rohana, Molla Osman. Ale w każdej chwili Hradczyn wylecieć może w powietrze — podminowali wszystko. Mówili mi to robotnicy.

Medyk nadworny dotknął jej czoła mechanicznym ruchem lekarza; chciał się przekonać, czy nie gorączkuje.

— Ma na sobie czystą chustkę — przebiegło mu przez myśl — nawet głowę myła!

Odgadła, że ciągle jeszcze uważa ją za chorą. Zanim zaczęła mówić dalej, namyślała się przez chwilę, jakich słów użyć, by go przekonać o prawdziwości opowiadanych faktów.

— Pozwól mi mówić, wysłuchaj mnie spokojnie! Przyszłam tu, by cię ostrzec. W przeciągu kilku godzin będą bez wątpienia na Placu Zamkowym. — Chcą splądrować katedrę. Życie twoje wisi na włosku, rozumiesz?

— Ależ proszę cię, Lizinko! — odparł medyk nadworny, mimo wszystko przestraszony. — Przecież najpóźniej za godzinę zjawi się wojsko. Cóż sobie wyobrażasz? W dzisiejszych czasach takie szaleństwa! Przyznaję, że tam na dole, na „świecie”, w Pra-

dze może być niedobrze. Ale tu, na górze, gdzie się mieszczą koszary?

— Tak, są tu koszary, ale puste! Wiem równie dobrze jak i ty, że żołnierze się zjawią. Wtedy będzie za późno. Wierzaj mi. Tadeuszu, Hradczyn jest podminowany! Gdy się tylko pokażą pierwsze karabiny maszynowe, wszystko wyleci w powietrze.

— No dobrze, może masz rację. Cóż jednak mam robić? — jęknął medyk. — Widzisz przecież, że jestem bez spodni!

— Włóż jakie bądź!

— Nie mogę znaleźć klucza! — ryknął Pingwin, obrzucając saski kufer wściekłym spojrzeniem. — A to bydlę, gospodyni, uciekła!

— Masz jakiś kluczyk na szyi! Może to ten?

— Kluczyk? Na szyi? — Pan medyk nadworny złapał się za grdykę, wydał przejmujący do szpiku kości okrzyk radości i ze zwinnością kangura przeskoczył przez stos kamizelek.

Po upływie kilku minut siedział na szczycie lawiny koszul, rozpromieniony jak dziecko, ubrany w surdut, spodnie, pończochy i buty; na przeciwległym wzgórzu rozłokowała się czeska Elżbietka; na dole ciągnęła się aż do pieca kolorowa wstęga krawatów.

Starą znowu ogarnął niepokój.

— Ktoś chodzi po dziedzińcu. Słyszysz, Tadeuszu?

— To zapewne Władysław — odpowiedział Pingwin obojętnym tonem. Z chwilą gdy włożył spodnie, zapomniał o lęku i bezradności.

— W takim razie pójde sobie! Byłby skandal, gdyby mnie tu zobaczył. Na miłość Boską, nie zwlekaj. Śmierć stoi na progu. Chciałam ci jeszcze,... nie, nie mogę — łzy popłynęły nagle z jej oczu... Chciała podejść do okna. Delikatnym ruchem zmusił ją medyk nadworny do pozostania na wzgórzu.

— Ależ Lizinko, tak odejść ode mnie nie powinnaś. Uspokój się na chwilę, pozwól mi mówić.

— Władysław może wejść w każdej chwili, musisz uciekać. Musisz. — Dynamit...

— Tylko spokojnie, Lizinko. Przede wszystkim nie powinno cię to obchodzić, czy ten dureń Władysław wejdzie, czy nie; po drugie, dynamit nie będzie eksplodować. — Głupi praski kawał z tym dynamitem i koniec! Nie wierzę w to! Najważniejszy jest jeden fakt, że przyszłaś, by mnie ratować. Prawda? Powiedziałaś przedtem: „wszyscy o tobie zapomnieli, nikt się o ciebie nie zatroszczył”. Sądzisz więc, że mógłbym być takim łajdakiem i wstydić się ciebie, ciebie, jedynej istoty, która pomyślała o mnie? Musimy zastanowić się Lizinko, co robić. Wiesz, chciałbym... — pod wpływem uczucia szczęścia, że nie trzeba siedzieć tylko w koszuli, pan medyk nadworny popadł bezwiednie w gadulstwo i nie zauważył nawet, że twarz czeskiej Elżbietki stała się szara jak popiół, że drżą jej ręce i nogi, że otwiera i zamyka usta, nie mogąc złapać oddechu — ... chciałbym na czas mego pobytu w Karlsbadzie umieścić cię gdzieś, na wsi. Oczywiście dostaniesz pieniądze i nie będziesz miała żadnych kłopotów, Lizinko! A potem, potem osiadziemy razem w Litomierzycach — nie, nie w Litomierzycach, to przecież po drugiej stronie Mołdawy! — uświadomił sobie, że przy tej podróży trzeba będzie minąć most! — A może, może — zaapelował w duchu do swej znajomości geografii — może w Pisku. Słyszałem, że tam można żyć spokojnie. Tak, tak. Písek będzie najlepszy... Oczywiście rozumiem przez to — mówił nerwowo, w obawie, by nie pomyślała o miodowych miśsiącach — rozumiem przez to okoliczność, że nikt nas tam nie zna. Będziesz prowadziła gospodarstwo, będziesz uważała na moje spodnie; tak żyć będziemy... Nie będę wymagający: rano kawusia z dwiema bułeczkami, w południe gulasz z trzema solankami do wycierania sosu, a na obiad, jesienią knedle ze śliwkami... Na miłość Boską, Lizinko, co ci się stało! Jezus, Maria!

Bełkocząc coś, rzuciła się w otchłań krawatów; położywszy się u jego nóg, chciała całować mu buty.

Na próżno starał się ją podnieść, na próżno perswadował:

— Ależ, Lizinko, nie rób hysterii. Cóż w tym... — wzruszenie nie pozwoliło mu mówić dalej.

— Zostaw mnie tu, zostaw — szlochała stara. — Nie patrz na mnie, nie patrz, zabrudzisz sobie oczy...

— Liz... — wykrztusił medyk nadworny, nie kończąc imienia. Chrząknął, zdawało się, że to krakanie kruka, który się broni przed gwałtownym napadem kaszlu.

Przypomniał sobie pewien ustęp z Biblii; w obawie, by nie wpaść w patos, wstydził się go wypowiedzieć.

— Zresztą, nie pamiętał go dokładnie. Wreszcie wyrecytował automatycznie:

— I spadnie z nich chwała...

Sporo czasu upłynęło, zanim czeska Elżbietka wróciła do równowagi.

Stała teraz przed Flugbeilem zupełnie zmieniona.

Skryty, nieśmiały lęk, właściwy ludziom starym, którzy mają za sobą długoletnie doświadczenie, zmuszał go do refleksji, że po wylewie uczuć może nastąpić czczy, niesmaczny nastrój; stało się jednak coś wprost przeciwnego.

Położywszy mu ręce na plecach, stał teraz przed nim ktoś, niepodobny zupełnie do starej, obrzydliwej Elżbietki, daleko również odbiegający od portretu Elżbietki z młodych lat.

Ani słowem nie podziękowała za ofertę.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł Władysław. Zobaczywszy Elżbietkę, zdumiał się, stanął na progu i cofnął się po chwili; nie spojrzała nań nawet.

— Tadeuszu, drogi, pocziwy, stary Tadeuszu, teraz dopiero wiem, dlaczego tak mnie do ciebie ciągnęło. Zapomniałam o tym przedtem. Chciałam cię przestrzec i prosić, abys uciekał, zanim będzie za późno, tak! Ale nie tylko o to mi chodziło. Powiem ci, jak się to stało. Onegdaj wieczorem wypadła mi z ręki twoja podobizna — wiesz, ta, która stoi na komodzie — właśnie w chwili gdy ją chciałam pocałować. Byłam zrozpaczona, zdawało mi się, że nie przeżyję tego. Nie śmiej się, był to jedyny upominek od ciebie. Zrozpaczona, wbiegłam do pokoju Zrcadla; myślałam, że mi coś poradzi — nie był jeszcze wtedy... trupem. — Wstrząsnęła się na wspomnienie okropnej śmierci aktora.

— Poradzi? Co on miał poradzić? — zapytał medyk nadworny. — Zrcadlo miał ci w czymś pomóc?

— Nie mogę ci tego wytłumaczyć, Tadeuszu. To długa, bardzo długa historia. Powiedziałabym może: „odłóżmy to na drugi raz”, gdybym nie była pewna, że się już nie zobaczymy, przynajmniej... — twarz jej zabłysła dziwnym blaskiem, zdawało się, że czarująca piękność młodości chce zmartwychwstać — ... ale nie powiem nic; gotów jesteś pomyśleć: za młodu prostytutki, na starość pokutnice...

— Czy Zrcadlo był twoim — przyjacielem? — Nie zrozum mnie źle, Lizinko, myślałem tylko...

Czeska Elżbietka uśmiechnęła się.

— Rozumiem, o co chodzi. To wykluczone, abym cię mogła źle rozumieć, Tadeuszu! Przyjaciół? Był mi więcej niż przyjacielem. Chwilami zdawało mi się, że diabeł zlitował się nad moją nędzą i wcielił się w trupa jakiegoś aktora, by złagodzić mój los. Powtarzam: Zrcadlo był mi więcej niż przyjacielem; był czarodziejskim lustrem, w którym mogłam się przejrzeć, ilekroć chciałam... Zupełnie jak dawniej... Twój głos, twoje rysy! Nie mogłam nigdy pojąć, w jaki sposób to robi. Nic w tym zresztą dziwnego, cuda trudno rozumieć.

— Kochała mnie tak gorąco, że wywoływała mój obraz — szepnął do siebie, głęboko wzruszony.

— Nic udało mi się nigdy dowiedzieć, kim naprawdę był Zrcadlo. Zobaczyłam go raz przed oknem, siedział nad Jełnim Rowem. To wszystko, co mi o nim wiadomo. Ale nie chcę odbiegać od tematu; otóż, jak mówiłam, zrozpaczona pobiegłam do Zrcadła. W pokoju było już prawie ciemno; stał pod ścianą, jak gdyby na mnie czekał. Tak mi się przynajmniej zdawało, gdyż z trudem mogłam rozpoznać kontury jego postaci. Nazwałam go twoim imieniem, nie wcielił się jednak w ciebie, jak się to dotychczas zdarzało. Mówię świętą prawdę, przysięgam na to! Nagle zamiast niego stanął przede mną ktoś inny, kogo nigdy przedtem nie widziałam. Nie był to już człowiek, ale naga zjawa, z opa-

ską na biodrach, z czymś czarnym, wysokim na głowie, co błyszczało w ciemnościach...

— To dziwne, bardzo dziwne, właśnie dziś w nocy śniła mi się taka zjawa — pan medyk nadworny złapał się za głowę. — Mówił z tobą? Co ci powiedział?

— Coś, co teraz dopiero zrozumiałam: — Bądź zadowolona, że podobizna się stłukła. Czyż nie życzyłaś sobie zawsze, aby się tak stało? Spełniłem twe życzenie, dlaczegoż więc płaczesz? Był to fałszywy obraz. Nie smuć się... — Potem mówił jeszcze o portrecie w duszy, który nie ulega zniszczeniu, o krainie wiecznej młodości... Nie rozumiałam go dokładnie, byłam zrozpaczona i wołałam ciągle: oddaj mi podobiznę!

— I dlatego ciągnęło cię do...

— Tak dlatego ciągnęło mnie do ciebie. Nie patrz na mnie teraz, Tadeuszu; zwątpienie, wyczytane w twych oczach, sprawiłoby mi wielki ból. Choć brzmi to głupio w ustach starej baby i... wyrzutka społeczeństwa, powiadam ci, Tadeuszu, że cię zawsze kochałam. Z początku ciebie, potem podobiznę twoją; ale podobizna nie odwzajemniała mej miłości, nie odpowiadała, jak tego chciałam, z głębi serca, była głucha i martwa. Chciałam wierzyć, że jestem czymś dla ciebie, czymś choćby najdrobniejszym; nie mogłam! Wmawiając to w siebie, czułam, że się okłamuję. Uważałabym za wielkie szczęście, gdybym choć raz mogła w to uwierzyć.

Kochałam cię miłością, jakiej sobie wcale wyobrazić nie potrafisz. Kochałam tylko ciebie. Od pierwszej chwili poznania...

Nie miałam spokoju ani w dzień, ani w nocy, chciałam iść do ciebie i prosić o nową fotografię. Zawsze zawracałam z drogi. Zdawało mi się, że nie przeżyję twej odpowiedzi: „nie”! Niedawno dopiero sama byłam świadkiem, jak pierwszą fotografię zabrać chciałeś, wstydząc się, że stoi na mojej komodzie... Nareszcie odważyłam się przyjść...

— Lizinko, przysięgam na zbawienie duszy, że nie mam żadnej fotografii! Od tego czasu nie fotografowałam się — za-

pewnia! Pingwin z zapalem. — Przyrzekam jednak, że gdy tylko przybędziemy do Pisku...

Czeska Elżbietka potrzęsnęła przecząco głową:

— Fotografii tak pięknej jak ta, którą mi wtedy darowałeś, nie będziesz mi już mógł darować, Tadeuszu!

— Elżbietko, cóż ci wpadło do głowy! Lizinko! — zawołał Pingwin, szukając jej ręki. — Chcesz mnie zostawić samego, teraz, gdyśmy się nareszcie odnaleźli?

Stara stanęła w drzwiach i, uśmiechając się przez łzy, zegnała go ruchem ręki...

Powietrze rozdarła straszliwa eksplozja, szyby zadzwoniły w oknach.

Drzwi się otworzyły, stanął w nich trupio blady Władysław.

— *Váznosti*, ekscelencjo, idą na górę po schodach zamkowych! Całe miasto leci w powietrze!

— Kapelusze! Szpadę, szpadę! — zawołał medyk nadworny. — Wyprostował olbrzymi swój korpus, oczy mu zabłyśły, zaciśnął wąskie usta. Twarz nabrała wyrazu dzikiej determinacji; załęczniony służący cofnął się na ten widok o kilka kroków.

— Szpadę, daj mi moją szpadę! Nie rozumiesz? Pokażę tym psom przeklętym, co znaczy iść na zamek królewski! Precz!

Władysław rozłożył ramiona i stanął w otwartych drzwiach.

— Ekscelencja nie pójdzie! Nie pozwolę!

— Co to ma znaczyć? Precz, precz! — pinił się medyk.

— Nie puszcze waszej ekscelencji. Chyba po moim trupie! — twarz miał koloru wapna, nie ruszał się z miejsca.

— Zwariowałeś, łotrze! Czy także należysz do tej bandy? Daj mi szpadę!

— Ekscelencja nie ma szpady, a zresztą opór jest daremny! Za drzwiami czeka pewna śmierć. Odwaga to piękna rzecz, ale bezcelowa. — Później, gdy ekscelencja zechce, zawiozę ekscelencję naprzeciwko, do pałacu arcybiskupiego. — Stamtąd łatwo uciec wśród ciemności. — Zamknąłem za sobą ciężką furtę dębo-

wą. Nie tak prędko się tu wedrą! — Nie mogę patrzeć na to, aby jaśnie pan walił się prosto w objęcia śmierci!

Pan medyk nadworny opamiętał się wreszcie.

Obejrzał się dokoła.

— Gdzie Elżbietka?

— Nie ma jej, poszła *pric*.

— Muszę iść za nią, dokąd poszła?

— Tego nie wiem.

Medyk nadworny jęknął; poczuł się bezradny.

— Ekscelencja musi się przede wszystkim porządnie ubrać — ciągnął Władysław ze spokojem. — Ekscelencja nie ma na sobie krawata! Tylko bez zbytniego pośpiechu! Do popołudnia ukryję ekscelencję, a wtedy minie najgroźniejsza burza. Przynajmniej tymczasem. Potem postaram się sprowadzić powóz. Mówiłem już z Waclawem. Gdy się ściemni, będzie czekać z Karliczkiem przy Strachowskiej Bramie. Tam panuje zupełny spokój, tak daleko nie zapędzi się żywa dusza! No, a teraz proszę przypiąć tylną spinkę, bo kołnierz ucieknie do góry. Koniec! Teraz musi ekscelencja tu zaczekać. Inaczej nie można. Obmyśliłem wszystko dokładnie. — Proszę się nie martwić! Posprzątam tu później... Mnie nie zabiją, gdyby nawet chcieli, nie poszłoby im to łatwo! — A zresztą, jestem przecież Czechem!

Opuścił pokój i zanim pan medyk nadworny zdążył zaoponować, zamknął drzwi na klucz...

Godziny upływały Pingwinowi nieznośnie wolno; miał wrażenie, że do ich nóg, zazwyczaj tak szybkich, przymocowano ciężkie ołowiane ciężary.

Ogarniały go różne, zmieniające się ustawicznie nastroje: po atakach, podczas których walił pięściami w zamknięte drzwi i wołał Władysława, przychodziły momenty zupełnej rezygnacji. W pewnej chwili poczuł czczość i zaczął szukać w szafce schowanego salami; przygnębienie z powodu straty przyjaciela Elsenwagera ustępowało radosnej pewności, że po przyjeździe do

Pisku rozpocznie nowe życie. Równocześnie niemal uświadamiał sobie jednak, że nadzieja ta jest nonsensem, że tego rodzaju sanguinstyczne plany muszą się skończyć niczym.

Chwilami ogarniało go coś w rodzaju skrytego zadowolenia, że czeska Elżbietka odrzuciła proponowane przez niego miejsce gospodyni; w chwilę później wstydził się do głębi duszy, że nie przyprawiają go o rumieniec wypowiedziane tak niedawno do Elżbietki słowa, jako młodzieńcze uniesienie, jako koziołki niedowarzonego studenta...

— Zamiast wysoko nieść swój obraz, który mi zabrała, wdeptuję go w błoto! Pingwin? Ja? Byłbym zadowolony, gdyby tak było. — Jestem po prostu świnią!...

Niepocieszający widok bezładu dokoła pogłębiał melancholijny nastrój.

Nie mógł trwać długo nawet w smutku i biadaniu nad sobą samym. — Na wspomnienie blasku, jaki dojrzał w oczach Elżbietki, skrucha ustąpiła, a na myśl o czekających go pięknych dniach w Karlsbadzie a potem w Pisku przeszła w milczącą, entuzjastyczną radość...

Przed wyruszeniem w podróż włożył na siebie w duchu wszystkie „ja”, przez które przeszedł w dotychczasowym życiu. Ostatnim strojem, którym się okrył, było ubranie pedanta.

Nie interesował go zupełnie zgiełk i gwałt, dochodzący od czasu do czasu jego uszu; hałas przypominał chwilami głosy myśliwskiej nagonki, chwilami, gdy fale powstańców odpływały od podnóża zamku, milkł w bezdźwięcznej ciszy... Wszystko, co miało jakikolwiek związek z motłochem, było dla Flugbeila od zarania lat godne pogardy, obojętne lub nienawistne.

— Przede wszystkim trzeba się ogolić — rzekł do siebie. — Resztę załatwię później. Nie mogę udawać się w podróż nie ogolony.

Drgnął przy wymawianiu słowa: podróż. Miał wrażenie, że mu ktoś na mgnienie oka położył ciężką rękę na sercu...

W tejże chwili poczuł całym wnętrzem, że będzie to jego ostatnia podróż; mimo to chęć ogolenia się i uporządkowania pokoju przed opuszczeniem go przewyciężała wszelki niepokój.

Budząca się świadomość duszy, że Noc Walpurgi życia ustąpi wkrótce przed dniem pełnym blasku, napełniała go zadowoleniem; radosny nastrój powiększała nieokreślona, pełna przyjemnych drżeń pewność, że niczego nie pozostawi na ziemi, czego by się wstydzić należało.

Nagle stał się prawdziwym ekscelencją.

Ogolił się i umył niezwykle starannie, obciął i wypolerował paznokcie, pozawieszał na wieszadłach starannie wyprasowane ubrania i zamknął je do szafy, poukładał kołnierze w symetryczne koła, zrobił z krawatów barwną chorągiew. Wodę z miednicy wylał do wiadra, zwinął kauczukową wannę, buty włożył na prawidła.

Potem poustawiał wzdłuż ściany puste kufry...

Z miną poważną, ale bez wyrzutu, zamknął „jasną kanalię”; by na przyszłość nie wodziła nikogo na pokuszenie, przewiązał jej pysk niebieską wstążeczką, na której umieszczony był klucz...

Nie zastanawiał się do tej chwili nad kwestią wyboru ubrania podróżnego, nie uczynił tego i teraz: odpowiedni pomysł przyszedł w odpowiedniej chwili.

Mundur galowy, nie noszony od lat, wisiał w wytapetowanej szafie ściennej; obok munduru stała szpada, nad nim wisiał aksamitny kapelusz trójgraniasty.

Zachowując dostojny spokój, włożył czarne pantalone ze złotymi wyszyciami, lśniące lakierowane buty, frak przetykany złotem, wąski żabot koronkowy, kamizelkę; przepasał się szpadą o rękojeści z macicy perłowej, szyję zaś otoczył łańcuchem, z którego zwisało szyldkretowe lorgnon.

Potem usiadł przy biurku. Spełniając życzenie Elsenwängera, zaopatrzył poźółkłą, pustą kopertę w umówiony dopisek; wycią-

gnął z szuflady leżący w niej od czasu dojścia do pełnoletności testament i napisał na końcu:

„Cały moj majątek w papierach wartościowych należec ma po mej śmierci do panny Elżbietki Kossut, zamieszkałej na Hradczynie, przy ulicy Nowy Świat, pod numerem siódmym, na parterze. W razie śmierci panny Kossut, zapisuję majątek mój wraz ze wszystkimi ruchomościami służącemu memu, panu Władysławowi Podroužkowi.

Wiszące na kandelabrze spodnie, które dziś miałem na sobie, zapisuję mej gospodyni.

Pogrzebem ma się w myśl paragrafu 13 regulaminu cesarskiego zająć cesarsko-królewski fundusz administracji zamku.

Co do miejsca pogrzebania, nie mam żadnych życzeń; gdyby fundusz zgodził się na poniesienie kosztów przewozu, zgodziłbym się na pochowanie mnie na cmentarzu w Písku; podkreślam wyraźnie, że pod żadnym warunkiem nie wolno transportować mej cielesnej powłoki ani koleją, ani za pomocą jakiegokolwiek mechanicznego środka komunikacji; nie wolno również grzebać mego trupa na dole w Pradze lub w miejscowości położonej na drugim brzegu rzeki”.

Opatrzywszy testament pieczęcią, pan medyk nadworny wyciągnął diariusz i zaczął zapisywać wszystko, co zaszło w ostatnich dniach...

W jednym tylko punkcie odstąpił przy tym od zwyczaju przodków:

Pod ostatnią notatką podpisał się i podkreślił podpis grubą linią.

Czuł się do tego upoważniony, nie miał bowiem potomków, którzy by go w tym wyręczyć mogli. Powolnym ruchem włożył później na ręce białe rękawiczki glace.

Przy tej sposobności wzrok jego padł na leżącą na ziemi, owiniętą sznurkiem paczkę.

— To zapewne własność Elżbietki. Niewątpliwie chciała mi to dziś rano ofiarować, lecz nie miała odwagi.

Rozwinął sznurek. Trzymał w ręku chusteczkę z monogramem „L.K.” Była to ta sama chustka, której żywe wspomnienie owładnęło nim w „Zielonej Żabie”.

Z największym wysiłkiem opanował rozsadzające piersi wzruszenie. — Łzy nie licują z powagą munduru. — Ucałował tylko gorąco chusteczkę.

Wkładając ją do kieszonki, zauważył, że zapomniał własnej.

— Dzielna Elżbietka pamiętała o wszystkim. Niewiele brakowało, a byłbym się udał w podróż bez chusteczki! — szepnął do siebie.

Nie uderzyło go to wcale, że dokładnie w tej samej chwili, w której skończył przygotowanie, zgrzytnął klucz w zamku i uwolnił go z zamknięcia.

Był przyzwyczajony do tego, że z chwilą włożenia munduru wszystko szło jak w zegarku. Wyprostowany jak struna, zaczął zstępować ze schodów; Władysław patrzył nań ze zdumieniem.

Fakt, że na dole, przed wewnętrzną bramą zamkową czeka dorożka, przyjął pan medyk nadworny jako coś samo przez się zrozumiałe. Na słowa służącego:

— Ekscelencjo! *Váznosti!* Chwilowo nie ma niebezpieczeństwa, może ekscelencja wsiadać, wszyscy są w katedrze, gdzie się właśnie odbywa koronacja Ottokara III, Borivoja.

Odpowiedział chłodno:

— Dobrze, wiem o tym.

Na widok wysokiej, szczupłej postaci pana i dostojnej, spokojnej twarzy, widocznej jeszcze, mimo zapadającego wieczoru, woźnica skłonił się pokornie i zaczął natychmiast manipulować przy powozie.

— Nie, proszę nie podnosić budy! — rzekł rozkazująco medyk nadworny. — Jedź na... Nowy Świat...

Lokajowi i woźnicy serce bić przestało z przerażenia. Żaden jednak nie odważył się zaoponować...

Na widok zaprzęgniętego w upiornego bułanka powozu, który zjawiał się na wąskich uliczkach Jeleniego Rowu, rozpędzając zebranych starców i dzieci, wzdłuż wykrzywionych murów rozległy się okrzyki przerażenia.

— Żołnierze idą! Święty Wacławie, módl się za nami!

Karliczek zatrzymał się przed domem numer siedem.

Pałała się przed nim smętna latarnia. Medyk nadworny zauważył, że przed zamkniętymi drzwiami chałupy stoi grupka kobiet i stara się je otworzyć.

Niektóre zgięte w pałąk, nachylały się nad jakąś ciemną plamą na ziemi, inne rzucały ciekawe spojrzenia poprzez plecy sąsiadek.

Gdy medyk nadworny wysiadł z powozu i stanął pomiędzy nimi, usunęły się lękliwie w bok...

Na marach, sporządzonych z czterech żerdzi, leżała martwa czeska Elżbietka.

Od głowy aż do karku widniała głęboka rana.

Pan medyk nadworny zachwiał się chwytając za serce.

Usłyszał, jak ktoś rzekł półgłosem: — Powiadają, że bronila południowej bramy. Zabili ją.

Ukląkł, wziął głowę staruchy w obie ręce i patrzył długo w jej martwe oczy.

Potem ucałował czoło zmarłej, ostrożnie położył trupa na marach, podniósł się z kolan i wszedł do powozu.

Zgroza zawisła nad tłumem.

— Dokąd mam jechać? — zapytał woźnica drżącymi ustami.

— Przed siebie — mruknął medyk nadworny. — Ciągle przed siebie, przed — siebie!

Powóz płynął przez mgliste, wilgotne bezkresne i miętko przeorane grunty. Woźnica unikał szos; powozowi, wiozącemu ekscelencję ubranego w lśniący od złota, galowy mundur, śmierć groziła przy lada okazji. Karliczek potykał się ustawicznie, zdawało się, że połamie kolana. Trzeba mu było ustawicznie podciągać lejce.

Nagle koło gdzieś ugrzęzło, powóz przechylił się w bok.

Woźnica zeskoczył z kozła.

— Ekscelencjo, obawiam się, czy oś nie złamana.

Medyk nadworny nie odpowiedział, wysiadł i ruszył na długich nogach w ciemność, jak gdyby to, co się dzieje dokoła, nie go nie obchodziło.

— Ekscelencjo! Proszę zaczekać! Szkoda nie jest tak wielka! Ekscelencjo, ekscelencjo!

Medyk nadworny nie słuchał.

Szedł ciągle naprzód.

Pochyłość. Obrośnięty tarniną rów. Wdrapał się na zbocze. Nisko wiszące druty; ledwie dostrzegalny wiatr odzywa się na nich cichym, groźnym dźwiękiem.

Przeszedł przez druty.

Szyny biegną w kierunku ostatnich blasków gasnącego nieba, jakby w nieskończoność.

Medyk nadworny idzie długimi krokami od jednego progu kolejowego do drugiego, ciągle naprzód, naprzód!

Wydaje mu się, że się wspina po leżącej poziomo drabinie, która nie ma kresu.

Patrzy w daleki punkt, w którym szyny się zbiegają.

— Tam gdzie się przecinają, jest wieczność — mruknął. — W tym punkcie następuje przemiana. Tam musi leżeć... Písek.

Ziemia zaczyna drżeć.

Medyk nadworny czuje wyraźnie drżenie progów pod nogami.

Coś, jak gdyby łomot olbrzymich, niewidzialnych skrzydeł, przeszywa powietrze.

— To moje własne skrzydła — mówi szeptem medyk nadworny. Będę latać!

Nagle, w dalekim punkcie, tam gdzie się przecinają szyny, wyrasta jakaś czarna bryła, rozrasta się, olbrzymieje.

Zbliża się pociąg o ciemnych oknach.

Po obydwu stronach wagonu migają drobne, czerwone punkciki, podobne do koralików: to tureckie czapki żołnierzy bośniackich wyglądają z okien.

— Oto człowiek, który spełnia życzenia! Poznaję go. Idźcie na mnie! — woła głośno medyk nadworny i patrzy tępym wzrokiem na lokomotywę. — Dzięki ci, Boże, żeś mi go zesłał!...

W następnej minucie maszyna chwyciła go w swe tryby i zgmiotła na miazgę...

Bęben Lucypera

Poliksena stała w zakrystii kaplicy w katedrze Wszystkich Świętych, zatopiona we wspomnieniach, milcząca. Nie zwracała wcale uwagi, że Bożena i inne służące, których nie знаła, włożyły na jej białą suknię wiosenną spróchniały, podarty, pachnący zgnilizną strój, wysadzany perłami, złotem i kosztownościami, zrabowany ze skarbcza. Przy blasku wysokich, grubych świec woskowych, służące przymocowały go do sukni za pomocą igieł i klamer.

Ostatnie dni wydawały się Poliksenie snem. Przesuwały się przed nią jak obrazy, które chcą raz jeszcze obudzić się, zanim zapadną w sen wieczny; były bezkształtne, podobne do cieni, jak gdyby uleciały do epoki, która nigdy nie istniała. Osnute mdłym światłem, płynęły wolno. Podczas, gdy jeden obraz następował po drugim, uzewnętrzniała się wyraźnie ciemnobrązowa inkrustacja starych, robaczywych szaf kościelnych; był to znak życia, który dawała terażniejszości, szepcząc, że jeszcze żyje.

Poliksena pamiętała doskonale, co się działo od chwili ucieczki z Daliborki; błądząc po ulicach, zawróciła z drogi i podbiegła do domku wartownika w lipowym dworze; tam spędziła całą noc przy nieprzytomnym kochanku, dręczonym atakami serca, i powzięła stanowczą decyzję, że go nigdy nie opuści. —

Wszystko, co było przedtem: otoczenie z czasów dzieciństwa, całe życie dotychczasowe, czas pobytu w klasztorze, lata spędzone wśród starców, zapylonych ksiąg i beznadziejnych, popielatoszarych przedmiotów, wydawało się bezpowrotnie pogrzebane. — Miała wrażenie, że zamiast niej przeżył to jakiś nieczuły portret.

Z czarnej przeszłości dochodzą słowa, zjawiają się obrazy z ostatnich dni.

Na małym zebraniu Zrcadlo przemawia znowu jak wtedy w Daliborce, tylko dobitniej jeszcze. Poliksena słucha go w otoczeniu taborytów i Ottokara. Zebranie odbywa się w brudnym pokoju starej kobiety, zwanej czeską Elżbietką. — Tli płomyk lampki. Kilku mężczyzn oparło się o ścianę i słucha słów szaleńca. Znowu, jak wtedy w Daliborce, wierzą, że wcielił się w husytę Jana Žižkę. Ottokar wierzy w to również.

Jedynie Poliksena wie, że to tylko wspomnienia starej, zapomnianej legendy, które wędrują z jej mózgu do mózgu aktora, nabierają kształtu, przyoblekają się w upiorną rzeczywistość. — Zupełnie bezwiednie idzie do niej Aweysa, nie jest w stanie jej powstrzymać lub pokierować nią; działa samodzielnie, wydaje się Poliksenie, że nic słucha jej rozkazów; narodziła się tylko w jej piersi i z niej promieniuje, ale kieruje nią obca ręka. — Poliksena czuje, że to niewidoczna ręka upiornej prababki Lambua.

Po chwili jednak zaczyna w to wątpić, ma wrażenie, że to głos modlący się w dworze lipowym o ukojenie tęsknoty Ottokara walczy o spełnienie modlitwy i magiczną siłą wprawia w ruch Aweysę: — Własne jej życzenia zmarły. Niechaj ukoronują Ottokara choćby na godzinę, niech się spełni to, czego z miłości dla mnie pożąda. Wszystko mi jedno, czy sama będę szczęśliwa — oto, co się jeszcze w niej odzywa szeptem. A i te słowa mówi raczej jej konterfekt aniżeli ona sama. Kryje się podobny do wampira, nieśmiertelny zarodek starej, krwiożerczej rasy podpalaczy; odziedziczyła go poprzez pokolenia, używa jej tylko jako narzędzia, aby żyć i brać udział w okrucieństwach zbliżających się zda-

rzeń. — Patrząc na gesty i słowa aktora, widzi jak się podanie o husycie Žižce przeistacza i przystosowuje do rzeczywistości; zdejmuje ją przerażenie.

Przewiduje, jak się to skończy: upiór Jana Žižki poprowadzi szaleńców na śmierć.

Magiczna Aweysha wciela jej przeczucia w szereg obrazków. Tęsknota Ottokara zmienia się z powietrznego zamku w rzeczywistość. Zrcadlo nakazuje głosem Žižki koronację Ottokara i prorocze swe słowa pieczętuje poleceniem, aby jego własną skórę nawleczono na bęben; rozkazawszy garbarzowi Stanisławowi Havlikovi, przebija sobie serce nożem. Havlik pochyła się nad trupem.

Pozostali, ogarnięci śmiertelnym strachem, rzucają się do ucieczki.

Tylko Poliksena stoi niezłomnie przy drzwiach; konterfekt jej chce patrzeć, patrzeć. Nareszcie garbarz dokonał krwawego dzieła...

Wyłania się inny dzień:

Przychodzą i znikają godziny zapamiętania, przychodzi i mija pochłaniająca wszystko miłość. Ottokar objął ją w pół i opowiada o nadchodzących chwilach szczęścia, wspaniałości i przepychu. Otoczy ją blaskiem całego świata. Spełni każde jej życzenie. Pod wpływem jego pocałunków fantazja rozrywa pęta „niemożliwości”. Chałupa w podwórzu lipowym zmienia się w pałac. Poliksena widzi, jak w ramionach jego powstaje zamek powietrzny, który dla niej buduje. Porywa ją ku sobie. Poliksena czuje, że wchłania w siebie jego krew i staje się matką. Uświadamia sobie, że dał jej nieśmiertelność, że z ruin kiełkować zacznie gorąca miłość, że z tego, co ulega zgniliznie, wyrośnie niezniszczalne życie wieczne.

Nowe wspomnienia: otaczają ją znowu cyklopowe postacie powstańców, ludzie o pięściach ze stali, ubrani w niebieskie blu-

zy, z purpurowymi przepaskami na ramionach. Tworzą gwardię przyboczną.

Wedle zwyczaju starych taborytów zowią się „braćmi z góry Horeb”.

Obnoszą Ottokara i ją po ulicach, przystrojonych w czerwone chorągwie.

Chorągwie powiewają nad domami jak krwawe opary.

Szalony tłum z pochodniami w ręku wrzeszczy dokoła:

— Niech żyje Ottokar Borivj, cesarz świata, niech żyje małżonka jego Poliksena!

Imię „Poliksena” wydaje jej się obcym, ma wrażenie, że się do niej nie odnosi; czuje, że triumfuje w nim konterfekt prababki, że to jemu składają hołdy.

Gdy ryk milknie na chwilę, słychać głośny śmiech bębna garbarza Havlika. Tygrys w nim przybrał postać człowieka; garbarz szczerzy ekstatycznie kły i tak kroczy na czele pochodu.

Z bocznych uliczek rozlegają się okrzyki śmiertelnej trwogi, dochodzi zgiełk walki; powstańcy zmiatają z powierzchni ziemi drobne oddziały, które stawiają opór.

Jakieś głucho przeczucie mówi jej, że dzieje się to na niemy rozkaz obrazu, który nosi w piersi; ogarnia ją wielka radość, że ręce Ottokara nie splamiły się krwią.

Dotyka rękoma głów ludzi, którzy go niosą, twarz ma zupełnie białą, — oczy zamknięte...

Tak płyną po schodach zamkowych do katedry w procesji szaleństwa...

Poliksena opamiętała się wreszcie, zamiast obrazów wspomnień otaczają ją znowu gołe ściany zakrystii; plamy na starych szafach stają się coraz bardziej wyraźne.

Widzi, że Bożena pada na podłogę i całuje kraj jej szaty. Stara się odnaleźć w jej twarzy choćby ślad zazdrości lub bólu. Nie znajduje go. Bożena promienieje radością i dumą.

Od potężnych uderzeń dzwonów drżą płomienie świec.

Poliksena podchodzi do ołtarza...

Z początku oslepiają ją ciemności. Dopiero po chwili dostrzega wśród żółtych i czerwonych świateł srebrne lichtarze...

Jacyś czarno ubrani ludzie mocują się między filarami z postacią w bieli i chcą ją zmusić, by poszła do ołtarza. To ksiądz, który ma im dać ślub.

Opiera się, broni, podnosi krucyfiks do góry.

Po chwili krzyk. Upadł.

Zabili go.

Zamieszanie.

Jakieś oczekiwanie, szepty. Śmiertelna cisza...

Otworzyły się drzwi, prowadzące do kościoła. Wpływa przez nie blask pochodni.

Organy lśnią w nim czerwono.

Włoką człowieka, ubranego w brązowy habit, o śnieżnobiałych włosach.

Poliksena poznaje go: to mnich, który w krypcie Jerzego objaśnia co dzień dzieje czarnego kamienia, związane ze „zmarłą, która zamiast dziecka nosi pod sercem żmiję”.

I on się opiera, nie chce podejść do ołtarza.

Wyciągają się doń groźne ramiona.

Krzyczy i błaga, wskazuje na srebrną figurę Jana Nepomucena: — Ręce mu opadły. Tłum nasłuchuje, co mnich mówi, zaczynają się targi. Idzie pomruk.

Poliksena zgaduje, że mnich gotów jest pobłogosławić jej związek z Ottokarem, jednak nie przed ołtarzem.

Ocalał — uświadamia sobie, ale tylko na krótką chwilę. — Zabiją go, gdy tylko wypowie ostatnie słowa błogosławieństwa. — Oczami duszy widzi znowu pięść straszliwego Žižki, spadającą na czyjąś głowę, słyszy słowa:

— *Kde mas svouples?* — Mnichu, gdzie twoja tonsura?

Nie ulega wątpliwości, że duch jego pokieruje pięściami tłumu.

Ustawiają przed figurą ławkę, kładą na posadzce kobierzec.

Przez krążganek idzie chłopiec, na purpurowych poduszkach, niesie laskę z kości słoniowej.

— Berło księcia Borivoja Pierwszego — szepcze tłum.

Podają je Ottokarowi.

Bierze je jakby we śnie. Klęka, przybrany w płaszcz władcy.

Obok niego uklękła Poliksena.

Mnich stanął przed figurą.

Nagle rozlega się jakiś donośny głos:

— Gdzie korona?

Niepokój owładnął tłumem, cisza nastaje dopiero wtedy, gdy kapłan podnosi rękę.

Poliksena słyszy drzenie w głosie księdza. Padają słowa bogobojne, namaszczone, błagalne; na myśl, że wypowiadają je usta, które w tejże godzinie zamkną się na zawsze, Poliksenę przenika dreszcz.

Ceremonia ślubna skończona.

Z katedry płyną radosne okrzyki; wśród gwaru zamiera cichy, łkający jęk.

Poliksena nie ma odwagi odwrócić się: wie dobrze, co się stało.

— Dawajcie koronę! — wrzeszczy znowu jakiś głos.

— Koronę, koronę! — rozlega się od ławki do ławki.

Ktoś krzyknął:

— Schowana u Zahradki!

W dzikim nieładzie zaczynają się wszyscy tłoczyć u drzwi.

— Do Zahradki! Do Zahradki! Po koronę! Po królewską koronę!

— Cała ze złota, pośrodku lśni rubin! — zaskrzeczał ktoś z chóru. — To głos Bożeny, która zawsze wie wszystko.

— Pośrodku rubin — biegnie z ust do ust i wszyscy są przekonani, że widzą kamień na własne oczy.

Jakiś człowiek wchodzi na podwyższenie. Poliksena poznaje go, to lokaj o tępych oczach.

Wymachuje ramionami i oszalały z chciwości wrzeszczy nie-ludzkim głosem:

— Korona leży w pałacu Waldsteina!

Nikt w to nie wątpi.

— Tak, tak, w pałacu Waldsteina...

Za rozkrzyczanym motłochem ciągną ponuro i w milczeniu „bracia z góry Horeb”. Niosą na ramionach Poliksenę i Ottokara, tak samo jak w drodze do katedry.

Ottokar ubrany jest w purpurowy płaszcz księcia Borivoja, w rękę trzyma berło.

Bęben zamilkł.

W Poliksenie wzrasta ostra nienawiść do hałaśliwego tłumu, który po chwilach entuzjambu potrafi myśleć o rabunku i zniszczeniu.

— Gorszi są od zwierząt, tchórzliwsi od najtchórzliwszych kundli!

Z głębokim, okrutnym zadowoleniem myśli o nieuniknionym końcu, którym będzie pieśń karabinów maszynowych i stos trupów.

Patrząc na Ottokara, oddycha z ulgą.

— Nic nie widzi, nic nie słyszy. Trwa jak we śnie. Boże, pozwól, aby zginął, zanim się obudzi!

O własnym losie Poliksena nie myśli wcale...

Brama pałacu Wallensteina mocno zaryglowana.

Tłum chce się wdrapać na mur, ale cofa się z pokrwawionymi rękami: na gzymsie pełno odłamków szkła i ostrego żelaziwa.

—

Ktoś przyniósł belkę.

Ujmuje ją szereg rąk, zaczyna nią walić. Wyłamując z głuchym jękiem dębowe ogrodzenie, potwór rzuca się na przeszkodę; powyginały się wreszcie żelazne zawiasy i furta runęła.

Pośrodku ogrodu stoi koń o żółtych, szklanych oczach, z czerwoną uzdą w zębach. Okryty jest purpurowym czaprakiem, kopyta ma przyśrubowane do deski.

Czeka na swego pana...

Poliksena widzi, że Ottokar wyciąga szyję i jak gdyby pod wpływem budzącej się świadomości kładzie rękę na czole.

Jeden z „braci z góry Horeb” podchodzi do wypchanego rumaka, chwyta go za wędzidła, wypycha na ulicę; sadzają na nim Ottokara.

Tymczasem tłuszcza wdziera się z płonącymi pochodniami do otwartego domu.

Na bruk wypadają z hałasem ramy okien, szyby rozpryskują się w tysiącach odłamków, narastają góry srebra, pozłacanych pancerzy, broni ozdobionej kosztownościami, zegarów z brązu; nikt z „taborytów” nie wyciąga do nich ręki.

Słysząc jak noże krają gobeliny wiszące na ścianach.

— Gdzie korona? — woła garbarz Havlik.

— Nie ma jej tutaj!

Ryk, śmiechy.

— Z pewnością jest u Zahradki! — rozlega się po chwili z rżących pysków.

Mężczyźni biorą na barki deskę z koniem i z dziką pieśnią husycką na ustach maszerują w kierunku ulicy Tuńskiej. Wtórą im warczenie bębna. Wysoko nad nimi siedzi Ottokar na koniu Wallensteina; wiatr rozwiewa purpurowy płaszcz, Ottokar zdaje się jechać konno ponad głowami tłumu.

Barykady u wylotu ulicy; garstka starych, siwych lokai, którą dowodzi Molla Osman, wita tłum strzałami rewolwerowymi i gradem kamieni.

Poliksena poznaje Tatara po czerwonym fezie. Aby uchronić Ottokara przed niebezpieczeństwem, odruchowo kieruje prąd swej woli na obrońców; czuje, że Aweysa spada na ich szeregi jak błyskawica; biczowani panicznym strachem, rzucają się do ucieczki.

Tylko na Mollę Osmana Aweysha nie działa.

Stoi spokojnie, podnosi ramię, celuje, strzela. Trafiony w serce garbarz Havlik podnosi ręce do góry i wali się na ziemię.

Bęben nagle przestaje warczeć.

Po chwili jednak, ścinając przerażonej Poliksenie krew w żyłach, rozlega się warkot jeszcze bardziej straszliwy, bardziej energiczny aniżeli przedtem. Dźwięczy w powietrzu — odbija się echem od murów — od wnętrza ziemi — zewsząd.

— Szumi w uszach. To przecież niemożliwe, myślę się na pewno — mówi do siebie Poliksena i szuka oczami: garbarz leży na twarzy, palce wpił w barykady; bębna nie ma, a mimo to przeraźliwy dźwięk jego szaleje w poszumie wiatru...

W gorączkowym pośpiechu taboryci usuwają kamienie, torując sobie drogę. Tatar strzela bez przerwy, wreszcie odrzuca rewolwer i zaczyna biec ulicą w kierunku oświetlonego jeszcze domu hrabiny Zahradki.

Poliksenę prześladowuje ustawicznie przeraźliwe warczenie bębna; niesiona naprzód w szalonym tempie, widzi chwiejącego się, martwego rumaka, od którego idzie odurzający zapach kamfory.

Na rumaku Ottokar.

Na tle błędnych cieni krzyżujących się światła blasków, padających od okien i pochodni Polikseny ma wrażenie, że to pędzi cień człowieka; cień ten chwilami wychyla się wyraźnie, chwilami znika, zjawia się to tu, to tam.

Wydaje się Poliksenie, że jest nagi i nosi mitrę na głowie; zresztą nie widzi go dokładnie. — Porusza rękami, jak gdyby uderzał w jakiś niewidzialny bęben.

Kiedy się orszak zatrzymał przed domem, upiór stanął nagle u górnego wylotu ulicy; wygląda jak utkany z mgły upiór tamburzysty... z oddali dochodzi odgłos bębna.

— Jest nagi, na bęben napięto jego własną skórę. To zmięta, żyjąca w ludziach, łuszczy się, gdy umierają. Ja... woda podskórna — myśli jej się mieszają. Widzi twarz ciotki Zahradki,

bladą i zżartą przez nienawiść. Hrabina, pochylona nad żelaznymi prętami balkonu pierwszego piętra, woła przeraźliwie i szyderczo:

— Precz stąd, psy, precz!

Nadciągający ulicami tłum ryczy coraz głośniej:

— Koronę! Niech wyda koronę! Niech da synowi koronę — padają wściekle okrzyki.

— Jej syn? — woła z radością Poliksena; dzika, nieopanowana radość rozsadza ją po prostu. — Ottokar należy do tej samej rasy co ja.

— Czego, czego oni chcą? — pyta hrabina, zwracając się w głąb pokoju.

Stojąca na dole Poliksena widzi, że Tatar kiwnął głową i coś odpowiedział, słyszy pogardliwe słowa starej:

— Vondrejcie chce się koronować? Sama mu włożę — koronę!

Powiedziawszy to, stara znika w pokoju. Cień jej zjawia się za firankami, pochyla się, jak gdyby coś podnosił, po chwili znów się prostuje.

Na dole, przy bramie, walą gniewne pięści:

— Otworzyć! Chcemy korony!

Po chwili hrabina Zahradka wraca na balkon. Ręce splotła na plecach.

Twarz Ottokara, który siedzi w siodle, oparty o barki niosących go, znajduje się na tej samej niemal wysokości, co twarz hrabiny; obydwie twarze dzieli niewielka przestrzeń.

Poliksena słyszy krzyk Ottokara:

— Matko, matko!

Z ręki hrabiny wystrzela ognisty potok.

— Oto masz twą królewską koronę, bękarcie!

Ottokar, trafiony w czoło wali się na ziemię przez głowę konia.

Poliksena, ogłuszona straszliwym hukiem, klęczy obok trupa i powtarza jego imię. Widzi tylko, że na czole wykwitła mu rubinowa kropla krwi, nie może ogarnąć tego, co się stało.

Nareszcie zrozumiała, wreszcie wie, gdzie jest. Widzi jednak dokoła tylko upiorne obrazy: oszalałą tłuszcę, która się rzuca na dom, przewróconego konia, olbrzymią zabawkę z nogami przyśrubowanymi do zielonej deski.

Obok śpiące oblicze Ottokara. — Śni, jak dziecko o wieczorze wigilijnym — pomyślała.

Twarz jest spokojna. To chyba nie śmierć! — A berło!

Ucieszy się, gdy po przebudzeniu zauważy, że jeszcze trzyma je w ręku!

Dlaczego bęben tak długo milczy? — popatrzyła dokoła. Ach, tak, zapomniałam, że garbarz nie żyje!

Wszystko wydaje jej się zupełnie zrozumiałe. I to, że z okna uderza czerwony płomień, i to, że siedzi jakby na wyspie, otoczona falą ryczących ludzi, i to, że w domu padł strzał równie niesamowity i przeraźliwy jak pierwszy, i to, że w powietrzu brzmi okrzyk: żołnierze idą...

— Nic w tym dziwnego, byłam pewna, że tak być musi! —

Nowym i dziwnym wydaje jej się tylko, że Tatar wychodzi nagle wśród pożogi na balkon, zeskakuje z niego, że woła, aby szła za nim. Wołanie to jest rozkazem, który Poliksena spełnia, nic zdając sobie sprawy, dlaczego. Podniosła ręce, biegnie za Tatarem po stromej ulicy; na górze stoi rząd żołnierzy, ubranych w czerwone fezy bośniackie. Celują z karabinów, przepuścili ją.

Jakiś podoficer ryczy jej nad uchem: — Paść na ziemię!

— Paść na ziemię? Dlaczego? Dlatego, że będą strzelać?

Ten człowiek przypuszcza, że będę się bała, aby mnie nie trafili? Przecież noszę dziecko w łonie. Dziecko Ottokara. Ono niewinne, jakżeby je mogli zabić. — Zostało mi powierzone nasienie rasy Borivojów, które nie może umrzeć, które zasnęło tylko po to, by się obudzić. Jestem nietykalna.

Obok zagrała salwa. Pod wpływem wstrząśnienia Poliksena i straciła na mgnienie przytomność, po chwili idzie dalej.

Krzyk tłumu zamarł nagle.

Żołnierze stoją jak zęby w potwornej paszczy, jeden tuż przy drugim. Trzymają jeszcze karabiny przy policzkach. Jeden z nich odsunął się na bok i przepuścił ją.

Wędruje po pustej czeluści miasta, ma wrażenie, że słyszy tłumiony i łagodny, jakby płynący z oddali głos bębna; wali weń człowiek przybrany w mitrę; głos ten prowadzi ją, idzie za nim, staje przed pałacem Elsenwangerów.

Brama wyrwana, ogród — jedno rumowisko, tlejące meble, czarne drzewa, zwęglone liście...

Odwróciła głowę. — Po co patrzeć? Przecież wiem, że tam leży obraz... Poliksény. Nie żyje już, nikt go nie niepokoi. Polyksena patrzy na swój strój, spojrzała ze zdumieniem na brokatową szatę, która kryje białą suknię.

Przypomniała sobie: — Tak, bawiliśmy się w „króla i królową”. Muszę to zdjąć prędko, zanim ucichnie dźwięk bębna, zanim ból się rozpocznie.

Stała przed murem Sacre Coeur, ciągnie za sznur dzwonu.

— Chcę, aby tam wisiał mój obraz...

W pokoju medyka nadwornego, pana Tadeusza Flugbeila, stoi lokaj Władysław Podroužek, przeciera rękami wilgotne oczy i nie może się uspokoić.

— Jak pięknie wielmożny pan tu posprzątał... Biedne bydlę! — zwrócił się ze współczuciem do drżącego Broka, który skomle i szuka śladu na podłodze. — Tyś także zgubił pana! To nic, przyzwyczajmy się do siebie.

Pies podnosi mordę, patrzy na pół ośleplym wzrokiem na łóżko i wyje.

Władysław poszedł za jego wzrokiem, widzi kalendarz.

— Dobrze, że zauważyłem. Wielmożny pan gniewałby się, gdyby wiedział, że o tym zapomniał...

Odrywa kartę za kartką, zatrzymuje się dopiero na pierwszym czerwca; wśród zerwanych widnieje na jednej data:

NOCY WALPURGI

KONIEC